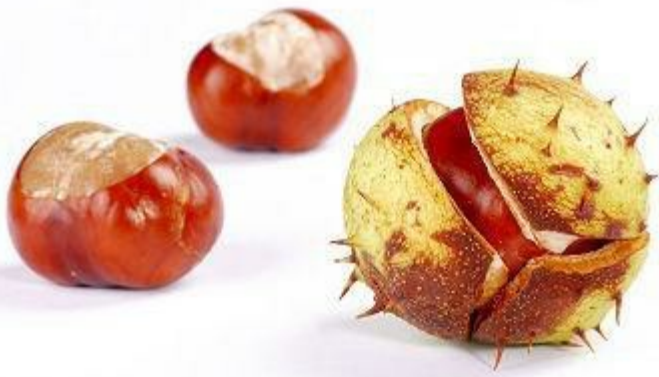


# Jedyna taka noc

Nora Roberts



calibre 0.9.43



**NORA ROBERTS**

**JEDYNA TAKA NOC**

**DOM NA GWIAZDKĘ**

**ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Przez dziesięć lat wiele może się zmienić. Jason Law był na to przygotowany. Myślał o tym przez cały lot z Londynu, a potem podczas długiej jazdy krętymi drogami na północ, z Bostonu do Quiet Valley w New Hampshire. Quiet Valley liczyło trzystu dwudziestu sześciu mieszkańców, a raczej miało ich tylu, gdy był tam po raz ostatni. Dziesięć lat nawet w takim zapomnianym miasteczku w Nowej Anglii musiało przynieść zmiany.

Ludzie rodzili się i umierali. Domy i sklepy mogły przejść w inne ręce, a niektóre w ogóle zniknąć.

Nie pierwszy już raz - odkąd postanowił odwiedzić rodzinne strony - Jason poczuł się nieswojo. Ostatecznie to całkiem prawdopodobne, że nawet nikt go nie pozna. Wyjeżdżał

stąd jako chudy, krnąbrny dwudziestolatek w przetartych dżinsach. Teraz wracał

mężczyzna, który nauczył się zastępować swą przekorę arogancją i dzięki temu coś osiągnął. Wciąż miał szczupłą sylwetkę, ale nosił świetnie leżące ubrania, pochodzące z nowojorskiej Seventh Avenue. Przez dziesięć lat z zawziętego chłopaka, zdecydowanego się czymś odznaczyć, stał się człowiekiem pozornie zadowolonym ze swoich sukcesów. Ale głęboko w środku nic w nim te lata nie zmieniły. Ciągle szukał własnego miejsca, gdzie mógłby zapuścić korzenie. Dlatego powracał teraz do Quiet Valley.

Droga wiła się pomiędzy lasami to w górę, to w dół, tak jak wtedy, gdy odjeżdżał

kursowym autobusem w przeciwnym kierunku. Śnieg przykrywający ziemię utworzył

gładką powierzchnię, na której tu i ówdzie wznosiły się ukryte pod białym puchem głazy.

Ośnieżone drzewa jarzyły się w promieniach słońca. Czy tęsknił za tym? Był przez jedną zimę w Andach, w śniegu głębokim po pas. Innym razem prażył się w Afryce. Choć te dziesięć lat skawaliło mu się w pamięci, dziwnie umiał sobie przypomnieć wszystkie miejsca, w których spędzał Boże Narodzenie, chociaż nigdy świąt nie obchodził. Szosa zwęziła się i przeszła w szeroki zakręt - otworzył się widok na przyprószone bielą góry porośnięte sosnami. Tak. Bardzo tęsknił za tym.

Słońce odbijało się od zaśnieżonych wzgórz oślepiającym blaskiem. Jason nałożył

ciemne okulary, zwolnił, a potem odruchowo zatrzymał samochód. Gdy wyszedł na zewnątrz, z ust wydobyły mu się kłęby pary. Skulił się z zimna, ale nie zapiął kurtki ani nie wyjął rękawiczek z kieszeni.

Pragnął to poczuć. Oddychanie w rozrzedzonym lodowatym powietrzu wbijało w płuca tysiące igiełek. Jason zrobił parę kroków w stronę krawędzi zbocza i popatrzył w dół na Quiet Valley.

Tam się urodził i wychował. Tam przeżył pierwszą miłość i tam zaznał smutku. Nawet z tej odległości mógł dojrzeć jej dom - dom jej rodziców, jak sobie zaraz uświadomił.

Poczuł dawny, znajomy przyptyw wściekłości. Ona teraz pewnie mieszka gdzie indziej, razem z mężem i gromadką dzieci.

Powoli rozprostował dłonie, które same zacisnęły mu się w pięści. Umiejętność panowania nad emocjami przekształcił przez te dziesięć lat w sztukę. Skoro mógł się kontrolować w pracy reportera, opisując głód, wojny i cierpienie, mógł zrobić to także w stosunku do siebie. Jego miłość do Faith była młodzięcym uczuciem. Teraz jest mężczyzną, a Faith, tak jak i Quiet Valley, stanowią tylko część jego dzieciństwa i młodości. Przejechał ponad dziewięć tysięcy kilometrów, by właśnie to stwierdzić.

Zawrócił do samochodu i ruszył na dół.

Z tej odległości Quiet Valley przypominało stare litografowane pocztówki. Całe w bieli, wtulone pomiędzy górą i lasem. W miarę jak się przybliżał, okazywało się mniej idylliczne, za to bardziej swojskie. Gdzieniedzie wyblakłe z farby tablice wskazywały na oddalone domostwa. Ploty uginały się pod śniegiem. Dostrzegł kilka nowych budynków tam, gdzie kiedyś były puste pola. Więc jednak zmiana. Przecież tego się spodziewał.

Dym unosił się z kominów. Psy i dzieci goniły się po śniegu. Spojrzał na zegarek. Wpół

do czwartej. Lekcje się skończyły, a on był w podróży już od piętnastu godzin. Jeszcze tylko musiał sprawdzić, czy gospoda w Valley dalej działa i wynając pokój. Uśmiechnął się pod nosem, zastanawiając się, czy stary pan Beantree ciągle ją prowadzi. Nie zliczyłby, ile razy Beantree powtarzał, że nic dobrego z niego nie wyrośnie. Tymczasem on dostał

Pulitzera i Międzynarodową Nagrodę Prasową, dowodząc całkiem czegoś innego.

Budynki stały tu gęsto obok siebie. Rozpoznał plac Bedforda, dom Tima Hawkinsa, a dalej wdowy Marchant. Zwolnił, mijając jej schludny niebieski drewniak. Zauważył, że nie zmieniła tego koloru i

ucieszył się jak dzieciak. I na starym świerku przed domem powiewały świąteczne jasnoczerwone wstążeczki. Wdowa dobrze go traktowała. Nie zapomniał tych wizyt, gdy przy gorącej czekoladzie słuchała godzinami jego opowieści o zamierzonych podróżach i miejscach, o których marzył. Miała koło siedemdziesiątki, kiedy wyjeżdżał, ale była mocna jak skały Nowej Anglii. Przypuszczał, że może jeszcze zastanie ją w kuchni, ostrożnie dokładającą drewno do ognia przy muzyce ulubionego Rachmaninowa.

Ulice miasteczka wyglądały czysto i porządnie. Mieszkańcy Nowej Anglii byli praktyczni, a zarazem - myślał Jason - mocno wrośnięci w swoje miejsce. Miasto nadspodziewanie mało się zmieniło. Metalowe ogrodzenie przy sklepie przemysłowym ciągle stało na rogu głównej ulicy, a poczta nadal mieściła się w budynku z cegły nie większym od garażu. Pomiedzy latarniami rozciągały się te same czerwone girlandy, które zawsze za jego pamięci wieszano w okresie świąt. Dzieci lepiły bałwana na placu Litnera. Tylko czyje to dzieci? - zastanowił się Jason. Z uwagą obserwował ich czerwone szaliki i błyszczące buty - któreś z tych dzieci może należało do Faith. Znów wezbrał w nim gniew. Odwrócił wzrok. Szyld gospody został przemalowany, lecz nic poza tym nie zmieniło się w tym dwupiętrowym murowanym budynku. Ścieżka była czysto od -

miecioną, a z obu kominów unosił się dym. Jason minął jednak gospodę, bo właśnie sobie uświadomił, że najpierw musi jeszcze coś zrobić. Mógłby zawrócić na rogu, przejechać obok bloków i popatrzeć na dom, gdzie dorastał. Ale nie zawrócił.

Gdzieś przy końcu głównej ulicy albo tuż w pobliżu powinien stać schludny biały dom, większy od pozostałych, z dwoma wielkimi oknami w wykuszach i obszernym przedsionkiem. Tom Monroe tam chyba wprowadził swą świeżo poślubioną żonę.

Reporter rangi Jasona wiedział, jak to sprawdzić. Faith zapewne powiesiła w oknach koronkowe firanki, które zawsze lubiła. I oczywiście dostała od Toma śliczne porcelanowe filiżanki, o jakich marzyła. Dał jej dokładnie to, czego pragnęła. Jason ofiarowałby jej walizkę i pokoje hotelowe w niezliczonych miastach. Dokonała wyboru.

Po dziesięciu latach odkrył, że wcale nie było mu lżej się z tym pogodzić. Opanował się jednak i nacisnął hamulec. On i Faith byli długi czas przyjaciółmi, krótko zaś kochankami.

On miał później inne kobiety, ona wyszła za męża. Ciągle jednak potrafił przywołać jej obraz w pamięci - ślicznej osiemnastoletniej dziewczyny, łagodnej i żarliwej. Chciała z nim wyjechać, ale jej nie pozwolił. Obiecała czekać, ale nie poczekała.

Z głębokim westchnieniem wyszedł z wozu. Spodobał mu się ten dom. W wielkim oknie od ulicy stała ładnie przybrana choinka, zielona w świetle dnia. Nocą na pewno rozbłyśnie magicznymi ognikami. Był o tym przekonany. Faith zawsze głęboko wierzyła w czary.

Gdy tak stał na chodniku, poczuł, że ogarnia go lęk. Robił wojenne reportaże i wywiady z terrorystami, ale nigdy żołądek nie ścisnął mu się ze strachu jak teraz, na tym wąskim, obmiecionym ze śniegu trotuarze przed staroświeckim białym domem z krzakami ostrokrzewu obok drzwi.

Ostatecznie mogą odwrócić się na pięcie, pojechać z powrotem do gospody albo w ogóle opuścić to

miasto, pomyślał. Nie mam żadnego powodu, by ją znów oglądać. Nie należy już do mojego życia.

Wtedy ujrzał w oknie koronkową firankę i dawne uczucie przeniknęło go równie mocno jak strach.

W chwili gdy ruszył chodnikiem, zza rogu domu wybiegła dziewczynka prosto pod dobrze wycelowaną śnieżkę, lecącą w jej kierunku. Dziewczynka odchyliła się, przekręciła i zrobiła unik. Natychmiast się wyprostowała i rzuciła własną.

- Trafiłam cię, Jimmy Harding! - Z tym okrzykiem zawróciła i wpadła prosto na Jasona.

- Przepraszam. - Oblepiona śniegiem od stóp do głów spojrzała nań i uśmiechnęła się.

Jason omal nie upadł z wrażenia.

Była dokładną kopią matki. Płowe włosy wystawały jej spod czapki i nieporządnie opadały na ramiona. W niedużej trójkątnej twarzyczce dominowały wielkie, wesołe, błękitne oczy. Ale dopiero ten uśmiech, który jakby mówił: „Czyż to nie zabawne?” -

chwycił go za gardło. Wstrząśnięty cofnął się o krok, dziewczynka tymczasem obserwowała go, otrzepując się ze śniegu.

- Nigdy przedtem pana nie widziałam. Wsadził ręce do kieszeni. Za to ja ciebie widziałem, pomyślał.

- Mieszkaś tutaj?

- Tak, ale sklep jest z tamtej strony. Kolejna śnieżka plasnęła u jej stóp. Dziewczynka znacząco uniosła brwi.

- To Jimmy - rzekła tonem kobiety ledwie tolerującej swego adoratora. - Marnie celuje. Sklep jest z tamtej strony - powtórzyła, schylając się po kolejną garść śniegu. -

Może pan tam iść.

Stała uzbrojona w dwie śnieżki. Jason wyobraził sobie, jak ta mała zaraz zaskoczy Jimmy'ego.

Córka Faith. Nie spytał jej o imię i w pierwszej chwili chciał ją jeszcze zawołać.

Nieważne zresztą, pomyślał. W końcu zamierzał spędzić tu tylko parę dni przed kolejną podróżą reporterską. Po prostu wpadł przejazdem. Żeby zamknąć stare sprawy.

Zawrócił i skręcił za dom. Wprawdzie Tom nie bardzo mu pasował do roli właściciela jakiegoś sklepu, uznał jednak, że to lepiej, że właśnie jego najpierw zobaczy. Niemal się z tego ucieszył.

To, co zobaczył, przypominało raczej miniaturowy wiktoriański domek niż sklep. Na zewnątrz stały sanie z dwiema lalkami ludzkiej wielkości, ubranymi w płaszcze, wysokie kapelusze i buty z cholewkami. Nad drzwiami wisiał ręcznie wymalowany fantastyczny szyld z napisem „Dom Lalki”.

Jason pchnął drzwi i przy akompaniamencie brzęku dzwonka wszedł do środka.

- Zaraz przyjdę!

Na dźwięk jej głosu znów ugięły się pod nim kolana. Nie miał jednak wyjścia, musiał się opanować. Zsunął słoneczne okulary, schował je do kieszeni i rozejrzał się wokół siebie.

Wszędzie w pokoju porozstawiano małe, jakby dziecięce mebelki, tworzące przytulny salonik.

Krzesła, stoliki, półki i szafki pełne były lalek najróżniejszych kształtów, stylów i rozmiarów. Przed miniaturowym kominkiem, w którym połyskiwały płomyki, siedziała babcia wszystkich tych lalek, ubrana w koronkowy czepiec i fartuch. Wyglądała jak żywa i Jasonowi się zdawało, że zaraz zacznie prząść na kołowrotku.

- Przepraszam, że musiał pan czekać. - Faith podeszła do drzwi. Trzymała w jednej ręce porcelanową lalkę, a w drugiej ślubny welon. - Właśnie zajmowałam się...

Przystanąła. Welon wysunął się jej z dłoni i bezszelestnie spłynął na podłogę. Zbladła, przez co niebieskie oczy stały się prawie fioletowe. Jakby w geście obrony przytuliła lalkę do siebie.

- Jason.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W ramie z drzwi, oświetlona słabym zimowym światłem wsączającym się przez nieduże okienka, okazała się jeszcze ładniejsza niż w jego wspomnieniu. Myślał, że będzie inna, że fantazje, które snuł na jej temat, są przesadzone, jak to się zwykle zdarza.

Tymczasem stała tu we własnej osobie i tak piękna, że aż mu dech zaparło z wrażenia.

Więc chyba dlatego uśmiechnął się cynicznie i odezwał chłodnym tonem.

- Witaj, Faith.

Tkwiła w miejscu, nie mogąc się ruszyć w żadną stronę. Osaczył ją znowu, tak jak wiele lat temu. Wtedy o tym nie wiedział i teraz też od niej się tego nie dowie. Opanowała napływające, a tyle czasu skrywane głęboko uczucia.

- Jak się masz? - zdołała zapytać, ściskając kurczowo lalkę.

- Wspaniale.

Podszedł w jej stronę. Boże, jak ucieszyły go nerwowe błyski w jej oczach, z jaką udręką odkrył jej dawny, znajomy zapach - łagodny, młody, niewinny.

- Wyglądasz prześlicznie - powiedział od niechcienia, jakby ziewając.

- Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałam się zobaczyć, gdy tu wchodziłam.

Dawno oduczyła się spodziewać czegokolwiek. Zdecydowana zapanować nad sobą, rozluźniła dłonie ściskające lalkę.

- Długo zostaniesz w mieście?

- Kilka dni. Mam pilne zajęcia. Roześmiała się z nadzieją, że nie zabrzmiało to histerycznie.

- Zawsze miałeś. Dużo czytaliśmy o tobie. Zobaczyłeś wszystkie te miejsca, które chciałeś.

- Nawet więcej.

Odwróciła się, by na chwilę przymknąć oczy i jakoś uporządkować własne uczucia.

- Byłeś na pierwszych stronach gazet, kiedy dostałeś Pulitzera. Pan Beantree puszył się przed wszystkimi z dumy, jakby był twoim nauczycielem. „To świetny chłopak, ten Jason Law - opowiadał - zawsze wiedziałem, że do czegoś dojdzie”.

- Spotkałem twoją córkę.

Tu tkwiło źródło jej największego lęku, największych nadziei i największego marzenia, które lata temu wybiła sobie z głowy. Schyliła się niedbale po welon.

- Klarę?

- Koło domu, na dworze. Właśnie zamierzała skosić śnieżkami pewnego chłopca, który nazywa się Jimmy.

- Tak, to Klara. - Zagadkowy uśmiech, podobnie jak u tamtej dziewczynki, przebiegł jej po twarzy. - Jest zawzięta w walce. - Chciała dodać, że tak samo jak ojciec, ale się nie ośmieliła.

Tyle rzeczy miał do powiedzenia i tak trudno je było powiedzieć. Gdyby w tej chwili mogło się spełnić jego jedyne życzenie, pragnąłby podejść i dotknąć Faith. Po prostu raz dotknąć i zapamiętać to sobie.

- Widzę, że masz te swoje koronkowe firanki. Ogarnął ją żal. Zadowoliliby się przecież gołymi oknami i pustymi ścianami.

- Owszem, mam koronkowe firanki, a ty swoje przygody.

- I masz ten sklep. - Znów się rozejrzył. - Od kiedy?

Obiecała sobie, że przebrnie przez tę nienawistną towarzyską pogawędkę.

- Otworzyłam go prawie osiem lat temu. Wziął szmacianą lalkę z koszyczka.

- A więc sprzedajesz lalki. To hobby?

- Nie, to biznes. Sprzedaję, reperuję, nawet produkuję. - W jej wzroku pojawiła się siła.

- Biznes? - Odłożył lalkę na miejsce, a uśmiech, jakim obdarzył Faith, niewiele miał

wspólnego z dobrym nastrojem. - Trudno mi sobie wyobrazić, że Tom popiera takie zajęcia żony.

- Naprawdę? - Zbolały ją te słowa, ale posadziła porcelanową lalkę na ladzie i zajęła się układaniem welonu na jej głowie.

- Nigdy nie brakowało ci spostrzegawczości, Jasonie, jednak dość długo cię tu nie było.

- Spojrzała przez ramię, a w oczach nie miała już ani poprzedniego zdenerwowania, ani siły. Tylko chłód. - Bardzo długo cię nie było. Rozwiedliśmy się z Tomem osiem lat temu.

Słyszałam, że mieszka w Los Angeles. Jak widzisz, też nie przepadał za małym miasteczkiem. Albo za prowincjonalnymi dziewczynami.

Nie był w stanie nazwać uczuć, które się w nim kłębiły, dał więc spokój. Cierpka drwina przyszła mu o wiele łatwiej.

- Widocznie źle wybrałaś, Faith.

- Widocznie. - Znów się roześmiała, chociaż welon splątał się jej w rękach.

- Nie zaczekałaś - wypalił, zanim zdołał się pohamować. Znienawidził za to i siebie, i ją.

- Nie było cię. - Powoli się odwróciła i splotła dłonie.

- Przecież obiecałem, że wrócę po ciebie, jak tylko to będzie możliwe.

- Nigdy nie napisałeś ani nie zadzwoniłeś. Przez trzy miesiące ja...

- Trzy miesiące? - W furii chwycił ją za rękę. - Po tym wszystkim, co sobie wyznaliśmy, o czym marzyliśmy, tylko trzy miesiące mogłaś mi ofiarować?

Oddałaby mu wtedy resztę życia, ale nie było wyboru. Chcąc opanować nerwy, spojrzała mu prosto w oczy.

- Przecież nie wiedziałam, gdzie się podziewasz, bo nawet o tym nie raczyłeś mnie poinformować. - Odsunęła się od niego, by nie ulec pragnieniu równie silnemu jak dawniej. - Miałam osiemnaście lat, a ciebie nie było.

- Za to był tutaj Tom. Przygryzła wargi.



- Tak, był. A ty, Jasonie, przez dziesięć lat ani razu nie napisałeś. Dlaczego teraz przyjechałeś?

- Sam się o to pytam - mruknął i wyszedł zirytowany ze sklepu.

Faith zawsze miewała wyjątkowo dziwaczne marzenia. Jako dziecko wyobrażała sobie rycerzy na białych koniach i szklane pantofelki. Za dnia poddawała się rzeczywistości, bo żyła w rodzinie, gdzie duma mniej się liczyła niż pieniądze, których stale brakowało.

Marzyć mogła tylko nocą.

Zakochała się w Jasonie, kiedy miała osiem lat, a on dziesięć i odważnie pokonał

trzech chłopaków, którzy przewrócili ją w śnieg. Wszystkich trzech. Faith dotąd przypominała sobie tanto zdarzenie z satysfakcją. Zapamiętała szczególnie ten moment, gdy Jason biegnie na pomoc i z furią przegania napastników. Był wtedy chudy, w za dużym palcie, pocerowanym na łokciach. Nigdy nie zapomni tych głębokich ciemnych oczu, patrzących na nią spod ściągniętych niepokojem brwi.

Jasne włosy miał przysypane śniegiem i zaróżowioną twarz. Popatrzyła mu wówczas w te oczy i zakochała się. A on, zrzędząc, postawił ją na nogi, po czym skrzyczał, że się wpakowała w kłopoty i odszedł majestatycznie z rękami wepchniętymi w kieszenie swego za dużego palta.

Przez całe dzieciństwo i młodość nawet nie spojrzała na innego chłopaka. Oczywiście udawała od czasu do czasu, że interesuje się którymś, z nadzieją, że Jason Law może ją zauważyć.

Zauważył wreszcie, gdy skończyła szesnaście lat i matka uszyła jej sukienkę na wiosenny bal w miejskim ratuszu. Paru innych chłopaków także ją wtedy dostrzegło.

Podczas zabawy zawzięcie ze wszystkimi flirtowała, ale myślała o jednym tylko, o Jasonie Law. Posępny i naburmuszony obserwował, jak tańczy z każdym po kolei. Czowała to, a kiedy była już całkiem pewna, popatrzyła na niego i wyszła na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. Poszedł za nią, tak jak się spodziewała. Pozowała na światową damę. On zachowywał się zwyczajnie i odprowadził ją do domu przy pełni księżyca.

Po tym zdarzeniu nastąpiły dalsze spacerunki - wiosną, latem, jesienią, zimą. Byli zakochani tak, jak tylko młodzi potrafią - niewinnie i bez troski. Faith zwierzała się z marzeń o dzieciach i o domu z koronkowymi firankami w oknach i serwisem z chińskiej porcelany. Jason opowiadał o swej pasji do podróży, by wszystko zobaczyć i wszystko opisać. Wiedziała, że czuje się uwięziony w tym miasteczku, ograniczany przez ojca, który nie okazywał mu miłości i niewiele z nim wiązał nadziei. On zaś wiedział, że Faith pragnie cichego mieszkania z kwiatami w kryształowych wazonach. Ale byli nierozłączni, trzymali się razem, a ich marzenia zlały im się w jedno.

Później, pewnej letniej nocy, gdy powietrze przepelniał zapach dzikich ziół, przestali być dziećmi, a ich miłość przestała być niewinna...

- Mamo, znowu się zamyśliłaś.

Faith z rękami w mydlinach po łokcie odwróciła się. W progu kuchni stała Klara. Ze świeżo

uczesanymi włosami i wyszorowaną buzią wyglądała jak aniołek.

- Chyba tak. - Faith sama wiedziała, że się rozmarzyła. - A ty odrobiłaś lekcje?

- Odrobiłam, ale to głupie, już prawie są ferie.

- Nie musisz mi przypominać.

- Coś jesteś nie w humorze - stwierdziła Klara, zerkając w stronę talerza z ciasteczkami. - Powinnaś pójść na ten swój spacer.

- Weź, ale tylko jedno - uprzedziła Faith, bez trudu odgadując zamiary córki. - I nie zapomnij umyć zębów.

Zaczekała, aż Klara sięgnie do talerza.

- Spotkałaś dziś po południu wysokiego mężczyznę z jasnymi włosami?

- Uhm... - dziewczynka z pełnymi ustami odwróciła się do matki. - Szedł w stronę domu i odesłałam go do sklepu.

- Czy... czy coś ci mówił?

- Właściwie nic. Najpierw spojrzał rozbawiony, a potem tak patrzył, jakby mnie wcześniej widział. Znasz go?

Faith wycierała ręce, a w tym czasie głucho uderzenia serca powoli się uspokajały.

- Tak. Mieszkał tu dawno temu.

- Och, Jimmy'emu strasznie spodobał się jego samochód. - Klara zastanawiała się, czy uda się jej wziąć kolejne ciasteczko.

- Chyba wyjdę na spacer, ale ty masz znaleźć się w łóżku.

Z tonu matki dziewczynka zrozumiała, że ciasteczko musi poczekać.

- A mogę jeszcze raz policzyć prezenty pod choinką?

- Liczyłaś je już z dziesięć razy.

- Może jest jakiś nowy.

- Nie ma szans. - Faith ze śmiechem chwyciła ją i podniosła do góry, a potem obie pobiegly do salonu. - Ale nie zaszkodzi sprawdzić.

Gdy wyszła na dwór, mróz zelżał i pachniało śniegiem. Nie musiała zamykać drzwi na klucz w mieście, w którym wszyscy się znali. Zapinając dokładniej palto, spojrzała w okno na piętrze, gdzie

spala córka. Dzięki Klarze ten dom nie był zimny, a jej życie puste, choć obie z tych rzeczy tak łatwo mogły się przecież zdarzyć.

Zostawiła zapalone lampki na choince i żaróweczki nad drzwiami, roztaczające wokół

kolorowe, czarodziejskie promienie. Za cztery dni święta, pomyślała, i znów jest w domu nastrój oczekiwania. Z miejsca, gdzie stała, miasto wyglądało tak ładnie, jak na pocztówce.

Smugi świateł, na placu choinka z gwiazdą, łagodny blask ulicznych latarni. W powietrzu unosił się zapach dymu z kominów i intensywny aromat sosen.

Ktoś mógłby uznać to wszystko za zbyt przyziemne, nudne, a nawet głupie. Ale Faith z tego właśnie uczyniła swój dom dla siebie i córki, której podporządkowała własne życie, i było jej z tym całkiem dobrze. Niczego nie zamierzam żałować, przyrzekła sobie, rzucając ostatnie spojrzenie na okno Klary. Absolutnie niczego.

Kiedy szła, zerwał się lekki wiatr. Czowała, że spadnie śnieg na święta. Powinna patrzeć w przyszłość, a nie za siebie.

- Ciągle lubisz spacerować?

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Czy wiedziała, że go spotka? Chyba tak. I chyba również tego potrzebowała.

- Niektóre rzeczy się nie zmieniają - odparła zwyczajnie, gdy Jason zaczął iść razem z nią.

- Stwierdziłem to w ciągu jednego popołudnia - rzekł, myśląc o mieście, które zastał

prawie takie samo, i o własnych uczuciach do tej kobiety idącej obok niego. - A gdzie córka?

- Poszła spać.

- Nie zapytałem, czy masz jeszcze inne dzieci. - Był spokojniejszy niż po południu i zdecydowany zachować ten spokój.

- Mam tylko Klarę.

- Skąd ci przyszło do głowy to właśnie imię? Uśmiechnęła się. Tylko on potrafił zadać pytanie, na które nikt inny by nigdy nie wpadł.

- Z „Dziadka do orzechów”. Chciałam, żeby umiała marzyć. - Tak jak ona sama umiała.

Teraz włożyła ręce do kieszeni i próbowała sobie wmówić, że oto para starych przyjaciół przechadza się po cichym miasteczku.

- Zatrzymałeś się w gospodzie?

- Tak. - Jason, rozbawiony, potarł dłonią brodę. - Beantree osobiście wtaszczył na górę moje walizki.

- Nasz chłopak odniósł sukces. - Odwróciła się, by popatrzeć na niego. Jakoś łatwiej jej to przyszło podczas spaceru. Zresztą zdała sobie sprawę, że gdy ujrzała go dziś po raz pierwszy, widziała ciągle tamtego chłopca. Teraz zobaczyła mężczyznę. Włosy mu trochę ściemniały, ale wciąż były bardzo jasne. I wreszcie porządnie uczesane. Świetnie ostrzyżone. Twarz miał nadal szczupłą i lekko zapadnięte policzki, co zawsze strasznie się jej podobało. Usta też te same, ale nabrały jakiegoś ostrego wyrazu, którego przedtem nie miały.

- Chyba ci się powiodło w życiu? Dokonałeś wszystkiego, czego chciałeś.

- Prawie wszystkiego.

Kiedy ich oczy się spotkały, poczuła, że wraca cała jej dawna tęsknota.

- A ty, Faith?

Potrząsnęła głową i idąc, patrzyła w niebo.

- Nigdy nie pragnęłam aż tyle, co ty.

- I jesteś szczęśliwa?

- Jeśli ktoś nie jest, sam sobie winien.

- To zbyt proste.

- Nie widziałam rzeczy, które ty widziałeś.

Nie miałam do czynienia ze sprawami, z którymi ty miałeś. Jestem prostą dziewczyną, Jasonie. Czy o to ci chodziło?

- Nie. - Obrócił ją twarzą do siebie i pogłaskał dłońmi po policzkach. Był bez rękawiczek i czuła ciepło jego rąk.

- Mój Boże, ty nic się nie zmieniłaś. - Powiódł palcami wzdłuż jej opadających na ramiona włosów. - Bez końca wyobrażałem sobie, jak wyglądasz w świetle księżyca. I właśnie tak wyglądasz.

- Zmieniłam się, Jasonie - rzekła, lecz zabrakło jej tchu. - I ty też.

- Niektóre rzeczy się nie zmieniają - przypomniał jej i owładnęło nim dawne uczucie.

Kiedy dotknął jej ust, wiedział, że naprawdę wrócił do domu. Wszystko, co pamiętał i co uważał za utracone, znów należało do niego. Była delikatna i pachniała wiosną, mimo że wokół leżał śnieg. Jej usta całowały tak samo namiętnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy zaznał ich smaku. Nawet samemu sobie nie potrafił wytłumaczyć tego, że każda inna kobieta okazywała się tylko słabym cieniem

wspomnienia tej jednej. Teraz ona była rzeczywista w jego ramionach i dawała mu to wszystko, o czym już zapomniał, że mógłby mieć.

Tylko ten raz, obiecywała sobie Faith, przytulając się do niego. Jeszcze tylko ten raz.

Skąd mogła przypuszczać, że tak jej tego dotąd brakowało? Próbowała wykreślić z życia tę część, którą stanowił Jason, choć to było niemożliwe. Próbowała sobie wmówić, że to jedynie młodzieńcza miłość i dziewczęce marzenie, choć wiedziała, że to nieprawda. Nie było innych mężczyzn, tylko nieustanna pamięć o nim, i pragnienia, i na pół zapomniane sny.

Teraz miała nie wspomnienie, ale jego we własnej osobie, tak rzeczywistego i gwałtownego jak zawsze. Wszystko było w nim znajome - ten dotyk ust, te włosy, w których zanurzała palce, ten dawny męski zapach szorstkiego i nieznośnego chłopaka.

Szepcząc jej imię, przygarnął ją jeszcze bliżej, jakby się bał, że te lata, co minęły, znów ich mogą rozdzielić.

Objęła go tak samo namiętna, żarliwa i zakochana jak wtedy, kiedy ostatni raz trzymał ją w ramionach. Wiatr kurzył śniegiem wokół ich stóp, a księżyc świecił nad głowami.

Ale dziś to nie wczoraj - przestrzegła samą siebie i cofnęła się. Dziś to dziś i należy sobie z tego zdawać sprawę. Już nie była nieodpowiedzialną dziewczynką, żeby miłość przesłoniła jej cały świat. Musiała wychowywać dziecko i stworzyć mu dom. A on żył po cygańsku i nigdy nie udawał, że chciałby inaczej.

- Z nami wszystko skończone, Jasonie. - Przytrzymała jednak jego rękę chwilę dłużej. -

I to od dawna.

- Nie. - Schwycił ją, zanim zdążyła się odwrócić. - Nie jest skończone. Też sobie to wmawiałem i właśnie wróciłem, aby się przekonać. Zabrałaś mi połowę życia, Faith. To nigdy nie będzie skończone.

- Zostawiłeś mnie. - Choć obiecywała sobie, że się nie rozplacze, nie mogła pohamować łez. - Zraniłeś mnie w samo serce. Ledwo się pozbierałam. Nie zrobisz tego znowu.

- Wiesz przecież, że musiałem wyjechać. Gdybyś zaczekała...

- Teraz to nieważne. - Potrząsnęła głową i odsunęła się. Nigdy nie zdoła wytłumaczyć mu, dlaczego nie mogła czekać. - Nieważne, bo i tak za parę dni wyjedziesz. Nie chcę, abyś wpadał i wypadał z mojego życia, zostawiając mnie w chaosie uczuć. Oboje dokonaliśmy wyboru, Jasonie.

- Cholernie za tobą tęskniłem. Przymknęła oczy, a gdy je znów otworzyła, były zupełnie suche.

- Ja musiałam przestać tęsknić. Zostaw mnie teraz samą. Gdybyśmy mogli zostać przyjaciółmi...

- Zawsze nimi byliśmy.

- To „zawsze” też minęło. - Jednak wyciągnęła ręce i ujęła jego dłonie. - Och, Jasonie, byłeś moim najlepszym przyjacielem, ale nie mogę cieszyć się z twojego powrotu tylko dlatego, że ci mnie piekielnie brakowało.

- Faith, musimy mieć więcej czasu na rozmowę. Spojrzała na niego i głęboko westchnęła.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Zawsze wiedziałeś. A teraz muszę już wracać do domu.

- Pozwól, że cię odprowadzę.

- Nie. - Już spokojniejsza, uśmiechnęła się. - Nie tym razem.

Z okna swojego pokoju Jason mógł obserwować prawie całą główną ulicę. Na przykład ruch w tanim sklepie „Five and dime”, czy gromady ludzi przechodzących tędy i włączających się po miejskim placu. Łapał się na tym, że coś za często wzrok jego wędrował

w stronę białego domu przy końcu ulicy.

Prawie nie spał tej nocy, stanął więc rankiem przy oknie. Widział, jak Faith wyszła z Klarą i patrzyła na córkę wybierającą się do szkoły z grupką kolegów. Przykucnęła, by poprawić małej kołnierz palta. Potem podniosła się, odwróciła tyłem do niego i dość długo przyglądała się dzieciom, które powlokły się niezbyt chętnie na lekcje. Wiatr targał i rozwiewał jej włosy, bo była bez czapki. Jason czekał, że Faith się odwróci, spojrzy w stronę gospody, pokaże jakoś, że myśli o nim tutaj. Jednak przeszła za dom i nie popatrzyła w tę stronę.

Ileś godzin później znów tkwił przy oknie, ciągle niespokojny. Sądząc po liczbie ludzi odwiedzających „Dom Lalki”, interes prosperował całkiem niezle. Ona pracowała, czymś się zajmowała, tymczasem on sterczał nieogolony przy szybie, a jego przenośna maszyna do pisania spoczywała beczynnie na biurku.

Przez te parę dni zamierzał posiedzieć nad powieścią, którą obiecał sobie napisać. To była właśnie jeszcze jedna z tych obietnic nigdy niedotrzymanych z powodu podróży i reportaży. Spodziewał się, że będzie w stanie popracować tutaj, w tym cichym, spokojnym miasteczku swojej młodości, z dala od obowiązków dziennikarskich i życia w pośpiechu, jakie tam prowadził. Wielu rzeczy się spodziewał. Nie spodziewał się tylko po sobie tej dzikiej, gwałtownej miłości do Faith, takiej samej jak wtedy, gdy miał dwadzieścia lat.

Jason odwrócił się od okna i zerknął na swoją maszynę do pisania. Leżały tam papiery, notatki w wypchanych szarych kopertach, niedokończone kartki rękopisu. Mógłby usiąść i zmusić się do pracy przez te kilka godzin do wieczora. Miał wystarczająco dużo samodyscypliny. Ale w jego życiu nie tylko ta książka pozostała niedokończona. Właśnie zaczynał to rozumieć.

Kiedy się golił i ubierał, minęło południe. Przez chwilę miał chęć pójść naprzeciwko do Mindy i sprawdzić, czy nadal przyrządza najlepsze obiady domowe w mieście. Ale nie czuł się w nastroju do pogawędek przy kontuarze. Rozmyślnie skierował się na południe, by oddalić się od domu Faith. Nie

chciał robić z siebie głupca i uganiać się za nią.

Podczas marszu minął kilka znajomych osób. Z żywym zainteresowaniem witano go, klepano po plecach i ściskano ręce. Poszedł potem w dół zakrętem Left Bank, w górę Carnaby Street i wąskimi uliczkami Venice. Po dziesięciu latach nieobecności spacer główną ulicą wydał mu się czymś fascynującym. Wysoko na maszcie wirował szyld fryzjera. Przed salonem z odzieżą tekturowy święty Mikołaj wielkości człowieka zapraszał

przechodniów do środka.

Ujrawszy na wystawie z kwiatami gwiazdę betlejemską, wstąpił do sklepu i kupił

największą, jaką mógł unieść. Sprzedawczynią okazała się koleżanka z maturalnej klasy.

Przytrzymała go rozmową z dziesięć minut, zanim zdołał się wymknąć. Spodziewał się, że ludzie będą go tu wypytywać, nigdy wszak nie przypuszczał, że zostanie miejscową znakomitością. Ubawiony szedł sobie dalej ulicą, bo czasu miał mnóstwo. Kiedy dotarł do wdowy Marchant, ominął zawsze zamknięte frontowe wejście i starym zwyczajem, okrążając dom, zapukał do drzwi kuchennych. Ciągle grzechotały. Mała rzecz, a ogromnie się ucieszył.

Gdy wdowa otworzyła i poprzez czerwone listki kwiatów zobaczył przypatrujące mu się jej małe ptasie oczy, uśmiechnął się jak dziesięciolatek.

- Jesteś nareszcie - powiedziała, wpuszczając go do środka. - Wytrzymaj nogi.

- Tak jest, psze pani. - Jason wytarł buty o matę, a potem umieścił kwiaty na kuchennym stole.

Niziutka wdowa stała, trzymając się pod boki. Przygarbiła się z wiekiem, a twarz porysowały bruzdy i zmarszczki. Fartuch miała powalany mąką. Jason poczuł zapach ciasteczek w piecyku i usłyszał majestatyczne dźwięki muzyki klasycznej, dobiegające z salonu.

- Zawsze zdradzałeś skłonność do dużych rzeczy - stwierdziła wdowa, wskazując na kwiaty. Kiedy potem odwróciła się i lustrowała go z góry do dołu, Jason odruchowo się wyciągnął. - Przytyłeś parę kilo, ale jeszcze trochę by nie zaszkodziło. Chodź, pocałuj mnie.

Pochylił się posłusznie do jej policzka, a potem nieoczekiwanie ją przytulił. Poczuł, jak jest krucha i słaba, czego wcześniej nie dostrzegł. Ale wciąż pachniała tym wszystkim, co pamiętał sprzed laty: mydłem, pudrem i rozgrzanym cukrem. Uwielbiał te zapachy.

- Nie zdziwił pani mój widok - mruknął, gdy się wyprostował.

- Wiedziałam już, że przyjechałeś. - Odwróciła się i zajęła piecykiem, bo oczy jej zwilgotniały. - Rozniosło się to, zanim atrament wysechł na twoim podpisie meldunkowym w gospodzie. Rozbierz się i usiądź, ja muszę wyjąć te ciasteczka.

Siedział cicho, gdy krzątała się w kuchni, i chłonał atmosferę tego domu. To tu zawsze mógł przyjść jako dziecko, tu czuł się bezpiecznie. Rozglądał się, a tymczasem wdowa zaczęła grzać czekoladę w

pogiętym garnuszku.

- Jak długo zostaniesz?

- Nie wiem. Powinienem być w Hongkongu za dwa tygodnie.

- Hongkong. - Wdowa ściągnęła usta, wykładając ciasteczka na talerz. - Byłeś we wszystkich tych swoich wymarzonych miejscach, Jasonie. Czy okazały się tak ciekawe, jak myślałeś?

- Niektóre tak. - Wyciągnął nogi. Już zapomniał, czym jest relaks ciała, duszy i umysłu.

- Ale niektóre nie.

- A teraz wróciłeś do domu. - Przeszła obok, by postawić ciastka na stole. - Dlaczego?

Przed kimś innym mógłby się wykręcać. Nawet siebie mógłby okłamywać. Ale z nią musiał być szczery.

- Faith.

- Jak zwykle. - Wróciła do kuchni i mieszała czekoladę. Dawniejszy strapiony chłopiec pozostał strapionym mężczyzną. - Słyszałeś, że wyszła za Toma.

Przed wdową nie potrzebował ukrywać swojej goryczy.

- Zadzwoiłem sześć miesięcy po wyjeździe stąd. Znalazłem zajęcie w „Today's News”.

Chcieli wysłać mnie do Chicago w sprawie jakiejś dziury w murze, to już było coś na początek. Telefon odebrała jej matka. Z wielką uprzejmością, a nawet sympatią poinformowała mnie, że Faith trzy miesiące temu wyszła za męża i spodziewa się dziecka.

Rzuciłem słuchawkę i poszedłem się upić. Rankiem wyjechałem do Chicago.

Sięgnął po ciasteczko z talerza i wzruszył ramionami.

- Życie idzie naprzód, no nie?

- Owszem. Niezależnie, czy ciągnie nas ze sobą, czy przetacza się ponad nami. A teraz dowiedziałeś się o rozwodzie?

- Coś sobie przyrzekliśmy nawzajem. A ona poślubiła kogoś innego.

Syknęła jak para uchodząca z czajnika.

- Z wyglądu jesteś teraz mężczyzną, a nie postrzelonym chłopakiem. Faith Kirkpatrick...

- Faith Monroe - poprawił ją.



- Niech ci będzie. - Ostrożnie napełniła kubki gorącą czekoladą, postawiła na stole i usiadła, lekko posapując. - Faith jest silną i piękną kobietą w każdym znaczeniu tego słowa. Sama wychowuje tę małą dziewczynkę i robi to znakomicie. Otworzyła sklep i go prowadzi. Sama. A ja coś wiem o samotności.

- Gdyby zaczekała...

- No, ale nie zaczekała. Moje domysły na temat powodów zatrzymam dla siebie.

- A dlaczego rozeszła się z Tomem? Staruszka oparła się wygodniej, kładąc łokcie na poręczach fotela.

- Opuścił ją i dziecko, jak Klara miała pół roku.

Zacisnął palce wokół kubka.

- Co to znaczy... opuścił?

- Sam powinieneś wiedzieć. W końcu nie byłeś lepszy. - Uniosła swój kubeczek i trzymała w dłoniach. - Po prostu spakował walizkę i wyjechał. Zostawił dom oraz niezapłacone rachunki. Oczyszczył konto w banku i wyruszył na zachód.

- Ma przecież córkę.

- Nawet nie spojrzał na nią po urodzeniu. Faith wszystkim się zajmowała. Musiała myśleć raczej o dziecku niż o sobie. Rodzice bardzo ją wspierali. To dobrzy ludzie. Wzięła pożyczkę i rozkręciła ten interes z lalkami. Jesteśmy dumni, że mamy ją w miasteczku.

Patrzył przez okno, gdzie rozłożyste konary starego jaworu ugiwały się pod śniegiem.

- A więc ja ją zostawiłem, wyszła za Toma, potem on też ją zostawił. Zdaje mi się, że Faith ma zwyczaj wybierać niewłaściwych facetów.

- Tak uważasz?

Już zdążył zapomnieć, jak oschły potrafi być czasem jej głos. Prawie się roześmiał.

- Klara jest strasznie podobna do Faith.

- Hm... powiadasz, podobna do matki... - Wdowa uśmiechnęła się zza kubka. - A ja zawsze widziałam w niej ojca. Czekolada ci stygnie, Jasonie.

Zamyślony wypił parę łyków. Razem z tym smakiem napłynęły wspomnienia.

- Nie przypuszczałem, że znów poczuję się tu jak w domu. Zabawne, ale zdaje mi się, że nawet kiedy tu byłem, tak się nie czułem, a teraz...

- Odwiedziłeś już swój dawny dom?

- Nie.

- Mieszka tam teraz miłe małżeństwo. Zrobili z tyłu ładny ganek.

Nie miało to dla niego znaczenia.

- To nigdy nie był prawdziwy dom. - Odstawił czekoladę i ujął staruszkę za rękę. -

Tutaj był. Nie znałem żadnej innej matki prócz pani.

Pogłaskała go suchą jak papier dłonią.

- Twój ojciec miał twardy charakter, może dlatego, że tak wcześnie utracił żonę, twoją mamę.

- Gdy umarł, odczułem wyłącznie ulgę. I nawet nie jest mi przykro z tego powodu.

Chyba dlatego wyjechałem właśnie wtedy. Jego nie było, domu nie było, więc zrobiłem to, zdaje się, w odpowiednim momencie.

- Dla ciebie może odpowiednim. I może obecnie jest odpowiedni moment, byś tu znów wrócił. Nie byłeś dobrym chłopcem, Jasonie, choć złym również nie. Podaruj sobie teraz trochę tamtego czasu, który tak strasznie bałeś się stracić dziesięć lat temu.

- A Faith?

- Jeśli dobrze pamiętam, nigdy specjalnie się do niej nie zalecałeś. Zdaje się, że to ona pożerała cię wzrokiem. Światowiec równie obyty jak ty, wiedziałby, jak starać się o kobietę.

Przypuszczalnie użyłby paru uwodzicielskich słówek.

Wziął z talerza ciasteczko.

- Tak z jedno lub dwa zdania?

- Nie znam kobiety, na którą by to choć trochę nie podziałało.

Przechylił się i ucałował jej rękę.

- Tęskniłem za panią.

- Wiedziałaś, że wrócisz. Ludzie w moim wieku umieją czekać. Idź do swojej dziewczyny.

- Myślę, że powinienem. - Podniósł się i włożył palto. - Przyjdę jeszcze do pani.

- A więc do zobaczenia. - Czekwała, aż otworzy drzwi. - Zapnij się, Jasonie. - Dopiero gdy usłyszała, że zamknął je za sobą, wyciągnęła chusteczkę.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Na dworze jaskrawo świeciło słońce. Bałwan po drugiej stronie jezdni gwałtownie tracił na wadze. Ulice, podobnie jak w dniu przyjazdu, pełne były dzieci wracających ze szkoły. Jason skierował się na północ i wtedy spostrzegł dziewczynkę, która oderwała się od grupki kolegów i szła mu naprzeciw. Choć była okutana w czapkę i szalik, rozpoznał, że to Klara.

- Przepraszam. Czy mieszkał pan tu kiedyś?

- Zgadza się. - Miał ochotę wsunąć jej włosy pod czapkę, ale się zreflektował.

- Mama mi powiedziała. A dziś w szkole pani mówiła, że pan stąd wyjechał i stał się sławny.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Faktycznie, wyjechałem.

- I dostał pan nagrodę. Tak jak brat Marty, co wygrał puchar.

Przypomniawszy sobie swego Pulitzera i o mało nie wybuchnął śmiechem.

- Coś w tym rodzaju.

Zdaniem Klary wyglądał jednak zupełnie zwyczajnie i nie przypominał żadnego podróżnika ani poszukiwacza przygód. Podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Naprawdę był pan wszędzie tam, gdzie mówią?

- To zależy, co mówią. - Zgodnie zaczęli iść obok siebie. - Tu i ówdzie byłem.

- Na przykład w Tokio? Wiem ze szkoły, że to stolica Japonii.

- Na przykład w Tokio.

- Jadł pan surową rybę?

- Od czasu do czasu.

- To naprawdę obrzydliwe - stwierdziła, lecz wyglądała na zadowoloną. Nie przerywając marszu, schyliła się i zebrała trochę śniegu.

- A czy we Francji ugniatają winogrona nogami?

- Sam nigdy tego nie widziałem, ale słyszałem, że tak.

- Fu, odtąd więcej nie wypiję tego soku. Jechał pan kiedyś na wielbłądzie?

Rzuciła śnieżką prosto w pień drzewa.

- Owszem, jechałem.

- I jak było?

- Niewygodnie.

Zadowolili ją ten opis, bo akurat to potrafiła sobie wyobrazić.

- Czytaliśmy dziś w szkole pański artykuł. Ten o grobowcu odkrytym w Chinach.

Widział pan te posągi?

- Tak, widziałem.

- Czy były jak „Jeźdźcy”?

- Jak co?

- No wie pan, w tym filmie z Indiana Jones. Zatkalo go na chwilę, a potem się roześmiał.

Bez zastanowienia nasunął jej czapkę na oczy.

- Myślę, że trochę tak.

Stali już na chodniku przed jej domem. Jason spojrzał zaskoczony. Nie zdawał sobie sprawy, że zaszli tak daleko. Żałował, że nie zwolnił nieco po drodze.

- Musimy napisać reportaż o Afryce. - Klara potarła nosek. - Na całe pięć stron. Mamy przynieść pani Jenkins zaraz po feriach.

- Kiedy? - Za jego szkolnych czasów zadawano krótsze wypracowania.

Klara narysowała kółko na śniegu, tuż z brzegu trawnika.

- Za dwa tygodnie.

Stwierdził z pewną przyjemnością, że to nie było tak dużo.

- I co, już zaczęłaś pracować?

- Tak jakby - odrzekła i obdarzyła go tym swoim szybkim, pięknym uśmiechem. - A pan był w Afryce, prawda?

- Parę razy.

- To chyba pan wszystko wie o klimacie, kulturze i takich tam głupstwach.

- Prawie wszystko.

- Może mógłby pan zostać dziś wieczorem na kolacji.

Nie czekając na odpowiedź, wzięła go za rękę i poprowadziła obok domu do sklepu.

Gdy weszli, Faith pakowała lalkę do pudełka. Włosy miała spięte do tyłu, luźny sweter i dzinsy. Śmiała się z czegoś, co powiedziała klientka.

- Lorna, wiesz przecież, że nie ma innego wyjścia.

Kobieta położyła dłoń na swym ogromnym brzuchu i westchnęła.

- Ja naprawdę chciałabym urodzić to dziecko przed świętami.

- Masz jeszcze cztery dni.

- Cześć, mammo!

Faith odwróciła się, by uśmiechem powitać córkę. Na widok Jasona szpulka wypadła jej z ręki, a wstążka rozsunęła się po podłodze.

- Klaro, nie wytarłaś nóg - zdołała powiedzieć, ale nie spuszczała z niego oczu.

- Jason! Jason Law! - Siedząca kobieta ruszyła się z miejsca i wzięła go w ramiona.

- To Lorna, Lorna McBee!

Popatrzył na miłą okrągłą twarz swej wieloletniej sąsiadki.

- Cześć, Lorna.

Zmierzył ją wzrokiem od dołu do góry.

- Gratulacje.

- Dzięki, ale to już trzecie.

Przypomniał sobie chudziutką, nieopanowaną dziewczynkę z przeciwka.

- Troje? Szybko działasz.

- Tak jak i Bill. Pamiętasz chyba Billa Easterday?

- Wyszłaś za Billa? - Pamiętał takiego chłopca, który często włóczył się po miejskim placu, szukając guza. Parę razy Jason dopomógł mu go odnaleźć.

- Poprawił się przy mnie. - Jej uśmiech sprawił, że w to uwierzył. - Prowadzi bank.

Mina Jasona rozbawiła Lornę.

- Mówię serio, przynajmniej od czasu do czasu. No, ale już powinnam lecieć. To pudełko muszę gdzieś zamknąć, żeby najstarsza córka nie wypatrzyła. Dzięki ci, Faith, to jest śliczne.

- Mam nadzieję, że się jej spodoba.

Chcąc zająć czymś ręce, Faith zaczęła nawijać wstążkę na szpulkę. Podmuch zimnego powietrza wpadł do sklepu, gdy Lorna wychodziła.

- To była ta lalka w ślubnej sukni? - dowiadywała się Klara.

- Tak, ta.

- Za bardzo wystrojona. Mogę iść do Marty?

- A odrobiłaś lekcje?

- Nie mam nic poza tym głupim reportażem z Afryki. Pan mi pomoże - uśmiechnęła się do Jasona i uniosła brwi. - Prawda?

Jason założyłby się, że żaden mężczyzna w promieniu stu mil nie oparłby się temu spojrzeniu.

- Tak, pomogę.

- Klaro, nie powinnaś...

- Wszystko w porządku, bo zaprosiłam go na kolację - oznajmiła rozpromieniona i pewna, że matka, która tyle mówi o dobrych manierach, nie będzie miała teraz innego wyjścia.

- Jest całe dziesięć dni ferii, więc wolno mi przecież zabrać się do tego po kolacji?

Jason pomyślał, że nie zaszkodzi wstawić się trochę za tą małą.

- Spędziłem kiedyś w Afryce sześć tygodni. Klara mogłaby dostać piątkę.

- No więc dobrze - mruknęła Faith, patrząc razem z Jasonem na dziecko. I w tym momencie jej serce należało do nich obojga. - Chyba lepiej wezmę się za kolację.

Zanim Faith zamknęła drzwi sklepu, wywieszając tabliczkę „Zamknięte”, Klara już biegła przez podwórko sąsiadów.

- Przepraszam, jeśli sprawiła ci kłopot, Jasonie. Ma zwyczaj zamęczać ludzi pytaniami.

- Lubię ją - rzekł po prostu i patrzył, jak Faith mocuje się z klamką.

- To miło z twojej strony, ale naprawdę nie musisz pomagać jej przy tym wypracowaniu.

- Już obiecałem. Zawsze dotrzymuję słowa, Faith. - Dotknął spinki w jej włosach. -

Prędeż lub później.

Nie mogła na niego nie spojrzeć.

- A więc oczywiście zapraszam cię na kolację - rzekła, skubiąc guziki przy palcie. - Będę piec kurczaka.

- Pomogę ci.

- Nie, to nie... Zacisnął palce na jej dłoni.

- Nie miałem zamiaru cię zdenerwować. Z trudem się uspokoiła.

- Nie zdenerwowałaś. - Za parę dni go tu nie będzie, ostrzegala sama siebie. Ani w moim życiu. Może nie powinnam rezygnować z tego czasu, niezależnie, co przyniesie.

- W porządku, pomagaj, jeśli chcesz.

Gdy szli przez trawnik, wziął ją za rękę, mimo że wyczuł opór Faith.

- Odwiedziłem dziś wdowę Marchant. Dostałem ciasteczka prosto z pieca.

Faith rozluźniła się, otworzywszy drzwi własnej kuchni.

- Przechowuje wszystko, co kiedykolwiek napisałeś.

Ta kuchnia była dwa razy większa od kuchni wdowy i nosiła ślady obecności dziecka.

Na lodówce wisiały rysunki, a w kącie leżały rzucone niedbale puszyste kapcie. Faith z przyzwyczajenia najpierw włączyła czajnik, a potem dopiero zdjęła palto. Powiesiła je na kołku za drzwiami, później zwróciła się do Jasona po kurtkę. Przytrzymał ją za rękę.

- Nic nie mówiłaś mi, dlaczego Tom cię zostawił.

Wiedziała, że i tak zaraz od kogoś o tym usłyszy.

- Bo nie jest to temat moich codziennych rozmyślań. Kawy?

Powiesiła kurtkę Jasona na drzwiach. Zagroził jej drogę.

- Co się stało, Faith?

- Popełniliśmy błąd - odrzekła z chłodnym spokojem. Takiego tonu nigdy wcześniej u niej nie słyszał.

- Była przecież Klara.

- Przestań. - W jej oczach przez chwilę błysnął szybko stłumiony gniew. - Ją zostaw w spokoju, Jasonie. Klara to moja sprawa. Małżeństwo i rozwód to też moja sprawa. Nie licz, że skoro teraz

wróciłeś, poznasz wszystkie odpowiedzi.

Stali przez chwilę, patrząc na siebie w milczeniu. Kiedy czajnik zagwizdał, Faith cicho odetchnęła.

- Jeśli chcesz pomóc, możesz obrać parę kartofli. Są tam w koszyczku.

Ale zawzięta w tej robocie - myślał z gniewem, gdy nalewała olej do rondla, by go rozgrzać i smażyć kurczaka. Jej impulsywny charakter nie był dlań niczym nowym. Już wcześniej miał z nim do czynienia. Czasami nie zwracał na to uwagi, czasami sprzeciwiał

się. Umiał też ją ułagodzić. Dlatego zaczął opowiadać, najpierw jakby sobie, o różnych miejscach, w których bywał. Przy historii z Południowej Afryki, kiedy obudził się z węzłem zwiniętym koło głowy, nareszcie się roześmiała.

- Wtedy to nie było dla mnie zbyt zabawne. W pięć sekund wyleciałem z namiotu kompletnie goły. Mój fotograf zrobił zaraz bardzo interesującą serię zdjęć. Musiałem zapłacić pół setki, żeby mi oddał negatywy.

- Jestem pewna, że były więcej warte. Nie wspominałeś o węźle w swoich reportażach z San Salvador.

- Nie. - Zdziwiony i zaciekawiony opuścił kozik od obierania kartofli. - Czytałaś to?

Włożyła kurczaka do gorącego oleju.

- Oczywiście. Wszystko czytałam. Poszedł do zlewu umyć ziemniaki.

- Naprawdę wszystko?

Uśmiechnęła się, słysząc to, ale nie do niego.

- Nie popadnij zaraz w dumę, Jasonie. Zawsze z tym miałeś duży problem. Założę się, że dziewięćdziesiąt procent mieszkańców Quiet Valley przeczytało wszystkie twoje reportaże. Można powiedzieć, że dzięki tobie czują się dowartościowani. Ostatecznie nikt z nas nie jadł obiadu w Białym Domu.

- Zupka była marna.

Podśmiewając się, postawiła garnek z wodą na kuchni i wrzuciła kartofle.

- Pewnie musiałeś, że się tak wyrażę, zjeść tę łyżkę dziegciu w beczce miodu. Parę lat temu widziałam twoje zdjęcie w gazecie - dodała z ironią w głosie. - Chyba zrobiono je w Nowym Jorku, na jakiejś imprezie dobroczynnej. Trzymałeś w ramionach półnagą kobietę.

- Ja trzymałem? - spytał zaskoczony.

- Może nie była półnaga. - Faith grała na zwłokę. - Może mi się tylko wydawało, bo miała więcej



włosów niż ubrania. Blondyna, jeśli mnie pamięć nie myli. I... powiedzmy...

niezupełnie trzeźwa.

- Wielu ciekawych ludzi spotyka się w moim zawodzie - odrzekł po chwili namysłu.

- No jasne. - Z dużą wprawą obróciła kurczaka. Olej zasyczał. - Na pewno bardzo cię to odświeża.

- Nie tak bardzo jak rozmowa z tobą.

- Jeśli nie znosisz gorąca - mruknęła.

- Właśnie. Robi się ciemno. Czy Klara nie powinna być już w domu?

- Ona jest tu naprzeciwko. Wie, że ma wrócić o wpół do szóstej.

Mimo to podszedł do okna popatrzeć na tamten dom. Faith obserwowała jego profil.

Był bardziej wyrazisty, ostrzejszy. Przypuszczała, że i sam Jason jest teraz taki, powinien być taki. Ile w nim zostało z tamtego chłopaka, którego tak desperacko kochała? Może coś zostało, choć niczego nie mogła być pewna.

- Wiele o tobie myślałem, Faith. - Choć stali plecami do siebie, prawie namacalnie czuła te słowa przez skórę. - Zwłaszcza o tej porze roku.

Na co dzień umiałem te myśli zagłuszać pracą i terminami, ale podczas świąt powracały. Pamiętam każdą razem spędzoną Gwiazdkę, jak mnie ze sobą ciągałaś po sklepach. Te nasze wspólne kilka lat wynagrodziło mi za wszystkie czasy to, że w dzieciństwie nie miałem się do czego budzić w święta.

Faith przez moment poczuła przyływ dawnego współczucia.

- Twój ojciec nie potrafił sobie poradzić ze świętami, nie umiał ich znieść po śmierci twojej mamy.

- Teraz lepiej to rozumiem. Po tym... jak ciebie straciłem.

Odwrócił się. Nie patrzyła na niego, lecz pilnie pochylała się nad kuchnią.

- Ty też sama spędzałaś święta.

- Nie, bo mam Klarę. - Zesztywniała, gdy podchodził do niej. - Ty z nikim nie wkładasz prezentów do północy ani nie dzielisz sekretów na temat paczek pod choinką.

- Jakoś sobie radzę. Trzeba by drugiego życia, żeby mieć wszystko, co się chce.

- Właśnie - odparła. Ujął ją ręką pod brodę.

- Zaczynam w to wierzyć.

Trzasnęły otwierane drzwi. Klara - mokra i rozpromieniona - wycierała buty o matę.

- Robiliśmy anioły ze śniegu. Faith uniosła brwi.

- Widzę. Masz dziesięć minut, żeby zdjąć te mokre rzeczy i usiąść do stołu.

Mała zrzuciła palto.

- Mogę zajrzeć pod choinkę?

- Ruszaj.

- Chodźmy. - Klara wyciągnęła rękę do Jasona. - Jest najładniejsza w całym mieście.

Faith pełna sprzecznych uczuć patrzyła, jak razem wychodzą.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Po skończonej kolacji nadal czuła się nieswojo. Wiedziała, że jej córka jest dzieckiem towarzyskim, czasem nawet zbyt bezpośrednim, lecz Jasona Klara traktowała szczególnie, jak dawno niewidzianego przyjaciela. Gadała z nim bez przerwy, jakby się znali od lat.

To przecież rzuca się w oczy, myślała Faith, gdy Klara zbierała talerze. Żadne z nich tego dotąd nie zauważyło. A co robi, jeśli zauważą? Nie wierzyła w pożytki z kłamstwa, tymczasem z tym jednym musiała żyć.

Tamci dwoje siedzieli nad książkami Klary i niewiele na nią zwracali uwagi. Jason zaczął malej opowiadać o Afryce. Z wrodzoną sobie swadą, lekko i potoczyście mówił o pustyniach, górach i o gęstej zielonej dżungli, tajemniczej i niebezpiecznej.

Kiedy tak pochylali się razem nad jakimś obrazkiem, Faith nagle ogarnęła panika.

- Wychodzę tu obok, do warsztatu. Mam dużo zaległej pracy.

Jason skwitował jej słowa tylko jakimś niedbałym mruknięciem. Ostry skurcz ścisnął

jej gardło aż do bólu. Schwyciła palto i szybko się wymknęła.

Te zabawki były dla niej czymś więcej niż zabawkami. Czymś więcej niż biznesem. W

oczach Faith te lalki na półkach tworzyły magiczny świat młodości, niewinności, wiary w czary. Chciała otworzyć ten sklep zaraz po urodzeniu Klary, ale Tom stanowczo się temu sprzeciwił. Dała więc spokój, bo i tak miała wobec Toma dług wdzięczności. Kiedy została sama z dzieckiem na utrzymaniu, uznała to za rzecz naturalną.

Spędzała tu długie godziny, by złagodzić uczucie pustki, której nawet miłość do córki nie była w stanie zapełnić.

W warsztacie na zapleczu sklepu znajdowały się półki z różnymi częściami lalek.

Leżały tam porcelanowe główki, nóżki z plastiku i korpusy. W osobnym miejscu spoczywały lalki uszkodzone, zwane przez Faith chorymi lub rannymi, które przynoszono jej do reperacji. I choć chętnie zajmowała się sprzedażą, a wyrób własnych lalek dostarczał

wielu twórczych emocji, najwięcej satysfakcji miała wtedy, gdy mogła naprawić czyjąś zepsutą, ukochaną zabawkę.

Ta praca działała na nią kojąco. W miarę upływu czasu ustępowało zdenerwowanie. Za pomocą szydełka, cienkich gumek, kleju i plastra przyprawiała z powrotem oderwane rączki i nóżki. Precyzyjnymi ruchami pędzelka przywracała uśmiech lalkom bez twarzy.

Niektóre dostawały nowe ubranie czy perukę, inne potrzebowały jedynie igły z nitką i zręcznych palców.

Nucąc, sięgnęła po rozerwaną szmacianą lalkę.

- Chcesz to przymocować? Zaskoczona, o mało nie ukłuła się igłą. W progu stał Jason z rękami w kieszeniach i przyglądał się jej z uśmiechem.

- Tak, właśnie zamierzam to zrobić. A gdzie Klara?

- Prawie zasnęła nad książką. Zaniósłem ją do łóżka.

- Dobrze, to ja... - Zaczęła się podnosić.

- Już śpi, Faith, z jakąś kudłatą zieloną kulą, która ma na imię Bernardo.

Faith z powrotem usiadła i postanowiła chwilę odpocząć.

- To jej ulubieniec. Klara nie przepada za zwykłymi lalkami.

- W przeciwieństwie do mamy? - Z zaciekawieniem rozglądał się po warsztacie. -

Myślałem, że zepsute czy niepotrzebne zabawki się wyrzuca.

- Zbyt często tak się robi. Zawsze uważałam to za straszne lekceważenie czegoś, co wcześniej dostarczało przyjemności.

Wziął w rękę uśmiechającą się do niego miękką plastikową główkę, jeszcze łysą i gładką.

- Może masz rację, ale nie wiem, co da się zrobić z tą kupą gałganków, które trzymasz.

- Bardzo dużo.

- Ciągle wierzysz w magiczne zaklęcia, Faith? Uniosła wzrok i po raz pierwszy jej uśmiech był

zupełnie szczerzy, a oczy pełne ciepła.

- Tak, oczywiście, że wierzę. Szczególnie podczas świąt.

Nie potrafił się powstrzymać. Pochylił się i pogładził ją po policzku.

- Mówiłem ci wcześniej, że mi cię brakowało. Chyba nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo.

Odezwało się w niej dawne uczucie i tęsknota. By to ukryć, zajęła się lalką.

- Doceniam to, że pomogłeś Klarze, Jasonie. Ale nie chciałabym cię zatrzymywać.

- Czy nie będzie ci przeszkadzać, jeśli chwilę popatrzę, jak pracujesz?

- Nie. - Zaczęła wymieniać pakuły. - Czasami mała mamusia też tu zostaje i w skupieniu obserwuje kurację pacjenta.

Oparł łokcie na kontuarze.

- Wiele różnych rzeczy sobie wyobrażałem... wracając. Ale tego nigdy.

- Czego?

- Że będę tu stał i gapił się, jak wpychasz życie w te gałganki. Może nawet nie zauważyłaś, ale te istoty nie mają nawet twarzy.

- Będą miały. A czy udał się reportaż Klary?

- Musi go jeszcze tylko ostatecznie wyszlifować i będzie dobry.

Uniosła rozbawiony wzrok znad roboty.

- Klara?

- Zareagowała identycznie. - Uśmiechnął się i odszedł kawałek. Pomieszczenie pełne było jej zapachu. Ciekawe, czy ona o tym wie. - Jest bardzo bystrym dzieckiem, Faith.

- Czasami za bardzo.

- Poszcęściło ci się.

- Owszem. - Szybкими umiejętnymi ruchami umieściła pakuły w korpusie.

- Dziecko chyba kocha matkę niezależnie od wszystkiego, nieprawdaż?

- Nie. - Znow popatrzyła na niego. - Trzeba sobie zasłużyć. - Za pomocą igły z nitką zaczęła zeszywać.

- Wiesz, ona już padała z nóg, ale koniecznie musiała zatrzymać się przy choince i policzyć prezenty. Majak twierdzi, przecucie, że przybędzie jeszcze jeden.

- Obawiam się, że spotka ją rozczarowanie. Jej lista życzeń przypomina plan rekwizycji zaborczej armii. Muszę ograniczać te zapędy. - Odłożyła igłę i sięgnęła po pędzelek. -

Rodzice wystarczająco ją rozpuścili.

- Ciągłe tu mieszkają?

- Uhm. - Właśnie wpadł jej do głowy pomysł, jakim charakterem obdarzyć laleczkę.

Zabrała się do malowania. - Od czasu do czasu przebąkują coś o Florydzie, ale nie sędzę, żeby kiedykolwiek tam się przenieśli. Z powodu Klary. Uwielbiają ją. Mógłbyś wpaść do nich, Jasonie. Wiesz, że mama zawsze cię lubiła.

Oglądał miękką czerwoną sukieneczkę, nie większą od jego dłoni.

- Ale tata nie. Uśmiechnęła się na te słowa.

- Po prostu nie bardzo ci ufał. A który ojciec by ufał?

- Miał powody. - Gdy podszedł w jej stronę, zobaczył lalkę, którą trzymała.

- Nie do wiary. - Zachwycony przybliżył ją do światła. To, co niedawno było bezkształtną kupką szmatek, przemieniło się teraz w pulchną, rozkoszną laleczkę. Wielkie rzęsy czarnymi promieniami otaczały oczka. Przyszyte loki sięgały aż do brwi. Była miękka i miłutka jak z obrazka. Nawet dorosły mężczyzna mógł pojąć, że sprawi ona radość jakiejś małej dziewczynce.

Faith miała dziwne uczucie satysfakcji, widząc, jak Jason uśmiecha się do jej dzieła.

- Podoba ci się?

- Robi wrażenie. Za ile takie coś sprzedajesz?

- Ta nie jest na sprzedaż.

Usiadła na dużym pudle w końcu pokoju.

- Jest w mieście kilkanaście dziewczynek, których rodzice nie mają wiele na święta.

Oczywiście są też i chłopcy. Ja i Jake, co mieszka obok sklepu „Five and dime”, rozwiązaliśmy ten problem parę lat temu. W Wigilię zostawia się pudełko na progu.

Dziewczynki otrzymują lalki, a chłopcy samochody ciężarowe, piłki czy coś innego.

Powinien wcześniej się domyślić, takie to było typowe dla niej, cała ona.

- Więc święty Mikołaj istnieje. Uśmiechnęła się do niego.

- W Quiet Valley tak.

To przez ten jej szczery, znajomy uśmiech Jason podszedł bliżej, zanim oboje się zorientowali.

- A ty? Dostaniesz na Gwiazdkę to, co byś chciała?

- Mam wszystko, czego mi potrzeba.

- Wszystko? - Ujął dłońmi jej twarz. - Czy to nie ty tak lubiłaś marzyć, że spełnią się twoje życzenia?

- Zdążyłam dorosnąć. Chyba powinieneś już pójść, Jasonie.

- Nie wierzę w to. Nie wierzę, że przestałaś marzyć, Faith. I ja przy tobie znów zaczynam...

- Jason. - Położyła mu ręce na piersi, wiedząc, że musi przerwać to, co nigdy nie będzie miało zakończenia. - Nie zawsze możemy mieć to, czego pragniemy. Za kilka dni wyjedziesz do stu innych państw, stu innych miejsc.

- Co to ma teraz do rzeczy? Teraz to teraz, Faith. - Zanurzył ręce w jej włosach, tak że wypadła spinka. Jak ciepły, gęsty piasek przesypywały mu się przez palce. Zawsze lubił ich dotykać i lubił ich zapach.

- Jesteś jedyna - wyszeptał. - Zawsze istniałaś tylko ty.

Przymknęła oczy, zanim zdołał przyciągnąć ją bliżej.

- Ty wyjedziesz. Ja zostanę. Już kiedyś stałam i patrzyłam, jak odchodzisz. Nie sądzę, bym to zniosła po raz drugi. Czy tak trudno ci to zrozumieć?

- Nie wiem. Wiem i rozumiem, że pragnę cię teraz bardziej niż kiedykolwiek. Nie jestem pewny, czy zdołasz mnie utrzymać na dystans - powiedział i jednak odsunął się kawałek. - Jeżeli, to nie na długo. Mówiłaś przedtem, że nie mam prawa do wszystkich odpowiedzi na moje pytania. Może to prawda. Ale zależy mi na jednej.

Zyskała tę chwilę do namysłu. Westchnęła głęboko i skinęła przyzwalająco głową.

- Zgoda. Ale czy przyrzekasz odejść stąd teraz, jeśli odpowiem?

- Odejdę. Czy go kochałaś?

Nie potrafiła kłamać. Nie leżało to w jej charakterze. Toteż spojrzała nań śmiało, z dumnie podniesionym czołem.

- Nie kochałam nikogo prócz ciebie.

W oczach Faith błysnął triumf i gniew. Jason ruszył w jej stronę, ale go odepchnęła.

- Powiedziałeś, że pójdziesz, Jasonie. Uwierzyłam w twoje słowo.

Przechytrzyła go. Zadała cios.

- Trzeba było wierzyć dziesięć lat temu. Odwrócił się i wyszedł z warsztatu w mroźną ciemność nocy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W miasteczku Quiet Valley zapanował już przedświąteczny ruch. Z głośnika na dachu sklepu przemysłowego rozbrzmiewały kolędy. Przedsiębiorczy młodzieniec z pobliskiej farmy oferował chętnym przejażdżki powozem wzdłuż głównej ulicy. Dzieci podniecone feriami i nadchodzącą Gwiazdką biegały wszędzie z radosną wrzawą. Niebo było całe w chmurach, ale śnieg jeszcze nie padał.

Jason siedział przy barze w gospodzie i popijał kawę, przysłuchując się miejscowym plotkom. Mówiono, że najstarszy chłopiec Henneyów ma wietrzną ospę i będzie się drapał

przez całe ferie. Carlotta sprzedaje choinki za pół ceny, a sklep przemysłowy kilkakrotnie zwiększył obroty.

Dziesięć lat temu takie rozmowy wydawałyby się Jasonowi nieciekawe i przyziemne.

Teraz siedział sobie zadowolony przy kawie i słuchał. Może tego właśnie mu brakowało w jego powieści, nad którą męczył się już tyle czasu. Zwiedził wprawdzie cały świat, ale zawsze w pośpiechu, pod presją. Bywało, że nie tylko jego reportaż, ale i życie wisiało na włosku. Wtedy, gdy się to działo, nie myślał o tym, bo nie mógł. Ale tu, w ciepłym barze pachnącym kawą i smażonym bekonem, miał czas zastanowić się nad przeszłością.

Podejmował się różnych zadań, częstokroć niebezpiecznych, ponieważ nie chciał okazać się mięczakiem. Zatracił wówczas pewną część samego siebie, którą cenił. Wprawdzie przez te lata coś tam w sobie odbudował po kawałku, ale nigdy nie odnalazł tamtej dawnej całości, bo zostawił ją tutaj, gdzie dorastał. Tymczasem musiał postanowić, co, u diabła, ma dalej robić.

- W tym lokalu chyba każdego można spotkać! - krzyknął męski, radosny głos.

Jason niespiesznie podniósł wzrok, a potem się uśmiechnął.

- Paul, Paul Tydings!

Dwie ogromne dłonie wyciągnęły się na powitanie Jasona.

- A niech to, Jas, jak zwykle szczupły i w znakomitej formie.

Jason przyjrzał się swemu staremu przyjacielowi. Mocne włosy Paula wiły się wokół

okrągłej rumianej twarzy, przyozdobionej teraz krzaczastymi wąsami. Jego silna postura zawsze gwarantowała mu przewagę w czasie bójek. Przytył przez te lata i był, jak to się oględnie mówi, słusznej tuszy.

- No więc - namyślił się Jason - ty też nieźle wyglądasz.

Paul ryknął śmiechem i mocno poklepał go po plecach.

- Nigdy nie sądziłem, że cię tu znów zobaczę.

- Ani ja ciebie. Myślałem, że teraz mieszkasz w Bostonie.

- Mieszkałem. Zarobiłem trochę grosza, ożeniłem się.

- Nie żartuj. Dawno?

- Będzie siedem lat tej wiosny. I mam pięcioro dzieci.

Jason zakrztusił się kawą.

- Pięcioro?

- Troje i parka bliźniaków. Sześć lat temu przywiozłem tu żonę z wizytą i strasznie się jej spodobało. Miałem sklep jubilerski w Manchesterze, więc otwarłem i tutaj. Zdaje mi się, że powinienem ci za to wszystko podziękować.

- Mnie? Dlaczego?

- Zawsze nabijałem sobie głowę twoimi pomysłami. A gdy wyjechałeś, ja też postanowiłem na własną rękę zobaczyć parę innych miejsc. Rok później pracowałem w sklepie jubilerskim w Bostonie i uganiałem się za najmiłszą dziewczuszką, jaką kiedykolwiek widziałem. Tak byłem w nią zapatrzony, że zapomniałem skasować jej kartę kredytową przy płaceniu rachunku. Przyszła nazajutrz i uratowała mnie od wylania z roboty. A potem uratowała moje życie, bo za mnie wyszła.

Nigdy bym jej nie spotkał, gdybyś ty nie opowiadał o tych wszystkich miejscach wartych obejrzenia. Paul skinieniem podziękował za przyniesioną kawę.

- Chyba odwiedziłeś już Faith?

- Owszem, odwiedziłem.

- Wpadam tam często po drodze, bo mam trzy dziewczynki i wszystkie małe. -

Uśmiechnął się i wsypał dwie torebeczki cukru do kawy. - Ona dalej jest tak samo ładna jak wtedy, gdy miała szesnaście lat i tańczyła na zabawie w ratuszu. To wtedy się między wami zaczęło, prawda?



Jason na wpół ze śmiechem odstawił stygnącą kawę.

- Może.

- Wpadnij kiedyś do mnie. Poznasz moją rodzinę. Mieszkamy na południowym krańcu miasta w jednopiętrowym murowanym domu.

- Widziałem go po drodze.

- To jak będziesz znów wyjeżdżał, nie wolno ci nas nie odwiedzić. Mało teraz kumpli, co by wracali na stare śmiecie. - Popatrzył na zegarek. - Wiesz, zdaje się, że Faith ma teraz przerwę na lunch. No, muszę uciekać.

Klepnął go na pożegnanie w plecy i zostawił samego przy barze.

Jason w zamyśleniu dopijał kawę. Nie było go tu dziesięć lat, dość długo w końcu, a wszyscy, których spotkał w miasteczku, ciągle uważali go z Faith za parę.

Niby łatwo wykreślić takie dziesięć lat. Łatwo każdemu poza nim i Faith. Może mógłby wyrzucić z pamięci ten utracony czas, ale jak zapomnieć o jej małżeństwie i dziecku?

Dalej pragnął Faith. To się nie zmieniło. Dalej cierpiał. To nie zniknęło. Ale co ona czuła? Powiedziała wczoraj wieczorem, że nie kochała nikogo innego. Czy to znaczy, że jeszcze go kocha? Jason zapłacił za kawę i wstał. Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć. Pójdzie do niej i spyta.

„Dom Lalki” rozbrzmiewał dziecięcym gwarem. Kiedy Jason tam wszedł, krzyki i śmiechy odbijały się echem od ścian. Pod sufitem wisały balony wypełnione helem, a na podłodze wałały się okruchy ciastek. W drzwiach warsztatu stanął wysoki kartonowy zamek. Przed połyskującą białą kurtyną poruszały się kukielki - święty Mikołaj i zielony elf. Z przesadnym wysiłkiem wkładały kolorowe pudełka do złocistych sań, wiele przy tym gadając. Elf dwa razy upadł na nos, gdy unosił paczkę, wywołując salwy dziecięcego śmiechu. Po wielkich trudach wszystkie prezenty zostały załadowane. Mikołaj z głośnym okrzykiem „Ho, ho, ho!” wspiął się i usiadł w saniach. Zadzwończy dzwoneczki i wyjechał

za kurtynę.

Pośród gromkich oklasków rząd kukielek wybiegł kłaniać się na scenie. Jason rozpoznał panią Mikołajową, dwa elfy, renifera z wielkim nosem kłameczucha, wreszcie samego Mikołaja, wydzwanającego świąteczną piosenkę. Sam nie wiedząc kiedy, oparł się o drzwi i chichotał, podczas gdy Faith we własnej osobie stanęła przed zamkiem i też się kłaniała.

Jednak go dostrzegła. Poczuli się trochę głupio, ukłoniła raz jeszcze, a dzieci zaczęły wstawać z miejsc. Wtedy z wprawą doświadczonej przedszkolanki skierowała je w stronę soku i ciastek.

- Bardzo zajmujące - szepnął jej do ucha.

- Szkoda, że nie widziałem przedstawienia od początku.
- Nic szczególnego. - Przeczesała włosy palcami. - Robię to od lat prawie bez żadnych zmian.
- Popatrzyła na dzieci. - Im to zdaje się nie przeszkadza.
- Powiedziałbym, że jednak było to zajmujące.
- Podniósł jej dłoń i ucałował. - A nawet bardzo.
- Pani Monroe! - Mały piegowaty chłopczyk o włosach koloru marchewki pociągnął ją za spodnie. - Kiedy przyjedzie Mikołaj?

Faith kucnęła i pogładziła go po głowie.

- Wiesz, Bobby, słyszałam, że jest w tym roku okropnie zajęty.

Buzia wygięła mu się w podkówkę.

- Ale zawsze przyjeżdża.
- Jestem pewna, że znajdzie sposób, by dostarczyć wam tu prezenty. Wyjdę na chwilę i sprawdzę.
- Ale ja muszę z nim porozmawiać.
- Jeśli się nie uda, będziesz mógł mi dać list do niego. Obiecuję, że mu przekażę.
- Jakiś problem? - szepnął Jason, gdy się wyprostowała.
- Jake zawsze był Mikołajem po przedstawieniu. Rozdajemy drobiazgi, ale dzieciom strasznie na tym zależy.
- A w tym roku Jake nie może?
- Złapał wietrzną ospę od chłopca Henneyów.
- Rozumiem. - Nie obchodził świąt od lat... chyba odtąd, jak opuścił Faith...
- Ja to zrobię - powiedział nagle ku swojemu i jej zaskoczeniu.
- Ty?

Miała tak zdziwioną minę, że Jason, widząc to, postanowił zostać świętym Mikołajem lepszym od oryginału.

- Owszem, ja. Gdzie jest ten strój?
- W pokoiku na zapleczu, ale...

- Chyba nie zapomniałaś wypchać go poduszkami - powiedział, wychodząc.

Nie sądziła, że on to faktycznie zrobi. Po pięciu minutach oczekiwania nabrała pewności, że się rozmyślił i poszedł dalej, na ulicę. Dlatego nikt - nawet dzieciaki zajęte ciastkami - nie był bardziej od niej zdumiony, gdy frontowymi drzwiami wkroczył Mikołaj z wielkim worem przewieszonym przez plecy.

Zdażył tylko zagrzemieć: „Wesołych świąt!” i już wszyscy go obstąpili. Zaskoczona nie mogła zrobić kroku i patrzyła, jak dzieci tłoczą się wokół niego, skaczą, dotykają.

- Mikołaj potrzebuje krzesła. - Jason posłał jej wymowne spojrzenie, tak że musiała otrząsnąć się z dużym wysiłkiem, zanim zdołała się ruszyć. Wynałazła na zapleczu fotel z wysokim oparciem i ustawiła pośrodku pokoju.

- A teraz musicie się uspokoić - zaczęła, zgarniając całą gromadę. - Wszyscy otrzymają po kolei. - Odsunęła tace z ciastkami i posadziła dzieciaki przy stole obok fotela. Jedno po drugim wspinały się Jasonowi na kolana. Faith początkowo nieco się obawiała. Jake'a nauczyła odpowiadać właściwie i - co ważniejsze - nie obiecywać niczego, co mogłoby potem przynieść rozczarowanie. Jednak gdy trzecie dziecko zeszło z kolan Jasona, odetchnęła z ulgą. Był cudowny w tej roli.

I czuł się w niej tak dobrze, jak nigdy w życiu. Zgodził się pomóc, trochę by zrobić wrażenie, tymczasem sam dostał o wiele więcej. Nigdy nie trzymał na kolanach dzieci, patrzących nań z taką wiarą i miłością. Wysłuchiwał ich życzeń, wyznań i skarg. Każde mogło potem sięgnąć do jego worka i wyjąć sobie prezent.

Obejmowano go, całowano wilgotnymi buziami, popychano. Jeden zmyślny chłopczyk mocno chwycił za sztuczną brodę, zanim Faith zdążyła podejść. Dzieciaki, uszczęśliwione, zaczęły grupkami opuszczać sklep.

- Byłeś wspaniały. - Po wyjściu ostatniego dziecka Faith odwróciła wywieszkę na drzwiach sklepu i odetchnęła z ulgą.

- Też chcesz usiąść mi na kolanach? Podeszła ze śmiechem.

- Naprawdę byłeś świetny. Trudno wyrazić, jak jestem ci wdzięczna.

- To mi pokaż. - Posadził ją na kolanach, gdzie utonęła w poduszkach. Znow się roześmiała i ucałowała go w nos.

- Zawsze uwielbiałam facetów w czerwonych strojach. Szkoda, że Klary tu nie ma.

- A dlaczego jej nie ma?

Faith lekko westchnęła i oparła się o niego, odpoczywając.

- Mówi, że jest na to za duża. Poszła przejść się po sklepach razem z Martą.

- Dziewięć lat to za duża?

Zamilkła na chwilę, a potem wzruszyła ramionami.

- Dzieci szybko rosną. - Odwróciła się, by spojrzeć na niego. - Wiele z nich dziś uszczęśliwiłeś.

- Chciałbym cię uszczęśliwić. - Dotknął jej włosów. - Był czas, że mogłem to zrobić.

- Czy pragnąłeś kiedykolwiek, żebyśmy znów byli razem? - Z zadowoleniem wtuliła się mu w ramiona. - Jak mieliśmy te kilkanaście lat, wszystko zdawało się takie proste. A potem nagle człowiek robi się dorosły. Och, Jasonie, marzyłam sobie, że mnie zabierzesz do zamku i na szczyt góry. Strasznie byłam romantyczna.

Dalej pieścił jej włosy, gdy tak siedzieli pośród lalek i przebrzmiałych odgłosów dziecięcego śmiechu.

- A ja nie byłem romantyczny, prawda?

- Zawsze mocno stąpałeś po ziemi, a ja chodziłam z głową w chmurach.

- A teraz?

- Teraz muszę wychowywać córkę. Chwilami przeraża mnie ta wielka odpowiedzialność za czyjeś życie. A ty... - zawahała się, bo weszła na niebezpieczny teren.

- Czy kiedyś chciałeś mieć dziecko?

- Nie zastanawiałem się nad tym. Muszę czasem jeździć w takie miejsca, gdzie nie odpowiada się nawet za własne życie.

Nieraz się tego bała - i śniły się jej koszmary.

- Ciągle cię to podnieca.

Pomyślał o strasznych rzeczach, które zdarzało mu się oglądać, o nędzy i okrucieństwie.

- Już dawno nie. Ale jestem dobry w tym, co robię.

- Zawsze wiedziałam, że będziesz dobry. - Przesunęła się kawałek, chcąc mu patrzeć prosto w oczy.

- Cieszę się, że wróciłeś.

Zacisnął palce, gdy przytuliła policzek do jego twarzy.

- Musiałaś poczekać, aż będę wypchany i gruby jak mors, żeby mi to powiedzieć.

Ze śmiechem zarzuciła mu ręce na szyję.

- Bo to chyba najbezpieczniejszy moment.

- Nie polegaj na tym za bardzo. - Przygarnął ją i poczuł, że Faith trzęsie się ze śmiechu.

- Co cię tak bawi?

Odsunęła się, tłumiąc chichot.

- Och nic, nic takiego. Zawsze marzyłam, że będzie mnie przytulać pan z białą brodą, w czerwonej czapce z dzwoneczkami. Muszę posprzątać ten bałagan.

Kiedy wstała, on też się ruszył.

- Twoja godzina wybije prędzej czy później.

Nic nie odpowiedziała, zbierając kawałki kolorowych bibulek. Jason wziął swój worek i zajrzał do środka.

- Jest tam jeszcze jedna paczka.

- To dla Luke'a Henneya. Tego z wietrzną ospą.

Popatrzył na pudełko, a potem na nią. Włosy przysłoniły jej twarz, kiedy schylała się po lizak, leżący na dywanie.

- A gdzie on mieszka?

Stała z lizakiem w ręku. Ktoś mógłby powiedzieć, że Jason wyglądał idiotycznie, wypchany od stóp do głów, w czerwonym stroju, z białą karbowaną brodą zasłaniającą pół

twarży. Dla Faith jednak nigdy nie wyglądał cudowniej. Podeszła bliżej i pociągnęła za tę sztuczną brodę. Objęła go, znalazła drogę do jego ust.

Jej pocałunek był jak zawsze ciepły, pełen nadziei i prostej dobroci. Owładnęło nim pragnienie, które zmieniło się w poczucie słodkiego zadowolenia.

- Dziękuję. - Raz jeszcze przyjacielsko go ucałowała. - Mieszka na rogu Elm i Sweetbriar.

Począł chwilę, by się uspokoić.

- Dostanę filiżankę kawy po powrocie?

- Tak. - Umieściła mu białą brodę na swoim miejscu. - Będę tu obok.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Musiał przyznać, że spacer przez miasto w tym stroju dostarczył mu wielu wrażeń. Szły za nim dzieci. Dorośli wołali doń i pozdrawiali. Bez przerwy częstowano go słodyczami.

Największą wszakże satysfakcję sprawiła mu zdumiona mina małego Luke'a. Przewyższył

ją tylko przerażony wzrok pani Henney, gdy ujrzała świętego Mikołaja, stojącego przed drzwiami.

W drodze powrotnej Jason przespacerował się po placu. Ze zdziwieniem odkrył, jak łatwo jest zmienić osobowość razem z ubraniem. Czuł się... no, dobroczyńcą. Gdyby spotkał go teraz któryś z jego współpracowników, zemdlałby chyba z wrażenia. Jason Law cieszył się opinią człowieka niecierpliwego, brutalnie szczerego i gwałtownego. Za życzliwość nie dostałby Pulitzera. Jednak w tej chwili bardziej się cieszył z tej sztucznej brody i dziesięciocentowych dzwoneczków niż ze wszystkich otrzymanych wyróżnień.

Szedł sobie, pohukując, gdy akurat z pobliskiego sklepu wyszła Klara. Wesoło szczebiotała razem z małą ciemnowłosą koleżanką.

- Ale to przecież jest...

Jason spojrzał na nią zmrużonymi oczami. Sztuczka się udała.

Klara zamilkła, odchrząknęła i wyciągnęła rękę na powitanie.

- Jak się masz, święty Mikołaju.

- Bardzo dobrze, Klaro.

- To nie Jake - poinformowała Klarę Marta. Podeszła bliżej, by rozpoznać twarz ukrytą pod białą, skłębioną brodą.

Rozbawiony Jason puścił do niej oko.

- Witaj, Marto.

Brunetka zrobiła wielkie oczy.

- Skąd on zna moje imię? - szepnęła do przyjaciółki.

Klara, chichocząc, przysłoniła usta.

- Święty Mikołaj wszystko wie, prawda, Mikołaju?

- Mam swoje źródła.

- Nie ma żadnego świętego Mikołaja - stwierdziła Marta, ale ta jej niby dorosła pewność siebie zaczęła słabnąć.

Jason pochylił się nad nią i przytknął w pompon u czapki.

- W Quiet Valley jest - powiedział i prawie sam w to uwierzył. Spostrzegł, że Marta przestała niedyskretnie mu się przyglądać i zgodziła się, że to czary. Jednak postanowił

więcej nie ryzykować i ruszył z powrotem.

Wprawdzie nie jest łatwo grubasowi w czerwonym płaszczu wślizgnąć się niepostrzeżenie do domu, ale Jason miał pewne doświadczenie. Gdy znalazł się na zapleczu sklepu, zdjął z siebie strój Mikołaja. Spodobało mu się i miał chęć kiedyś to powtórzyć. Wkładając swoje własne wąskie spodnie, zdał sobie sprawę, że dawno tak dobrze się nie bawił. Może trochę przez ciepłe spojrzenie Faith, choć nie trwało ono długo.

A trochę, bo po prostu dostarczył innym radości. Nie pamiętał już, kiedy coś zrobił bezinteresownie. Jego pracą rządziła nieustająca wymiana. Ty mi dasz to, ja ci dam tamto.

Musiał wyzbyć się współczucia i litości, aby dotrzeć do prawdy i ją zrelacjonować. Jeśli pisał drapieżnie, to dlatego, że zawsze szukał tematów, które tego wymagały. Dzięki temu mógł zapomnieć. Co teraz, po powrocie do domu, było niemożliwe.

Jakim był właściwie człowiekiem? Nie miał w tej kwestii żadnej pewności. Wiedział

tylko, że odrodzić go może ta jedna kobieta. Albo rozbić do reszty. Zostawił strój Mikołaja w warsztacie i poszedł do niej.

Czekała na niego. Gotowa była przyznać, że czeka tak już od dziesięciu lat. Podczas tego popołudniowego odpoczynku Faith podjęła własne decyzje. Doszła już do czegoś w życiu. I choć to nie zawsze było łatwe, odnalazła w końcu zadowolenie. Z upływem lat nabrała pewności siebie i wiedziała, że poradzi sobie sama. Przestała się bać myśli o ponownym odjeździe Jasona. Postanowiła cieszyć się tym, co otrzymała od losu. Teraz był

tutaj, a ona go kochała.

Kiedy wszedł do domu, znalazł ją zwiniętą w fotelu koło choinki. Odczekała, aż do niej podejdzie.

- Czasami w nocy siedzę sobie w ten sposób. Klara śpi na górze, w domu panuje cisza.

Rozmyślam o drobnych sprawach i o większych, jak za czasów dzieciństwa. Palą się lampki na choince, a drzewko cudownie pachnie. Mogę wtedy znaleźć się wszędzie, gdzie tylko zechcę.

Uniósł ją do góry, a potem usiadł w fotelu z nią na kolanach.

- Pamiętam, jak tak siadywaliśmy razem w czasie świąt jeszcze w domu twoich rodziców. Twojemu ojcu się to nie podobało.

Umościła się wygodniej. Nie było teraz poduszek, tylko jego smukłe ciało, które tak dobrze znała.

- Mama wyciągała go do kuchni, abyśmy mogli zostać przez chwilę sami. Wiedziała, że ty nie masz własnej choinki.

- Ani niczego innego.

- Nigdy cię nie pytałam, gdzie teraz mieszkasz, czy znalazłeś sobie miejsce, w którym czujesz się szczęśliwy.

- Dużo podróżuję, ale bazę mam w Nowym Jorku.

- Bazę?

- No, apartament.

- To nie brzmi jak dom - szepnęła. - A stawiasz choinkę w oknie na święta?

- Chyba z raz czy dwa, gdy akurat byłem w pobliżu.

Współczuła mu z całego serca, ale nic na to nie powiedziała.

- Mama zawsze mówiła, że jesteś poszukiwaczem wrażeń. Niektórzy tacy się rodzą.

- Musiałem coś udowodnić.

- Komu?

- Sobie. - Oparł policzek o czubek jej głowy. - Tobie, do diabła.

Westchnęła i poczuła zapach jodły. Lampki migotały na choince. Bardzo dawno temu też tak siedzieli razem. Wspomnienia były prawie równie słodkie jak rzeczywistość.

- Nigdy nie potrzebowałam, żebyś mi cokolwiek udowadniał.

- Może właśnie przez to musiałem. Byłaś dla mnie za dobra.

- To śmieszne. - Odsunęłyby się, gdyby jej wciąż nie trzymał tak mocno.

- Byłaś i ciągle jesteś. - On również wpatrywał się w choinkę. Bombki błyszczały w świetle jak coś czarodziejskiego, co zawsze pragnął jej ofiarować.

- Może dlatego musiałem akurat wtedy wyjechać... a teraz wrócić. Jesteś dla mnie wszystkim, co najlepsze, Faith. Przy tobie odkrywam własne dobre cechy, a na Boga, nie jest ich wiele.

- Zawsze zbyt surowo się oceniałeś. Nie podoba mi się to. - Tym razem się przesunęła, oparła rękę o jego ramiona i popatrzyła mu prosto w oczy. - Zakochałam się w tobie nie bez przyczyny. Byłeś miły, choć udawałeś, że nie jesteś. Wolałeś, by cię uważali za nieznośnego łobuziaka, bo wtedy się czułeś bezpieczniej.

Uśmiechnął się i pogładził ją czule palcem po policzku.

- Byłem łobuziakiem.

- Może i to mi się podobało. Że nie przyjmowałeś rzeczy takimi, jakie są, że nie bałeś się stawiać



pytań.

- Dwa razy mało nie wyleciałem ze szkoły za takie pytania.

Wezbrał w nim dawny gniew. Czyżby nikt poza nią go nie rozumiał? Czy tylko ona umiała dostrzec to, co się z nim w środku działo?

- Byłeś bystrzejszy od innych. I dowodziłeś tego, kiedy musiałeś.

- Wiele razy mnie broniłaś, prawda?

- Wierzyłam w ciebie. Kochałam cię.

Ujął jej twarz gestem takim jak dawniej, czym poruszył ją do głębi serca.

- A teraz?

Miała mu tyle jeszcze do powiedzenia, tylko nie wiedziała, jak to zrobić.

- Pamiętasz tę noc czerwcową po mojej maturze? Wyjechaliśmy za miasto. Świecił księżyc, a powietrze pachniało latem.

- Włożyłaś wtedy niebieską sukienkę, przy której twoje oczy wydawały się szafirowe.

Byłaś tak piękna, że bałem się ciebie dotknąć.

- Więc cię uwiodłam.

Roześmiał się na widok jej zadowolonej miny.

- Wcale nie uwiodłaś.

- Ależ tak. Inaczej nigdy byś się ze mną nie kochał. - Przywarła do jego ust. - Czy mam to zrobić znowu?

- Faith...

- Klara je dziś kolację tu obok, u Marty, i będzie tam nocować. Chodź ze mną do łóżka, Jasonie.

Ten cichy głos wywołał dreszcz, który przeszył jego ciało. A dotyk jej ręki palił policzek jak ogień. Lecz razem z pożądaniem splotło się uczucie miłości, które nigdy się nie zestarzało.

- Wiesz, że cię pragnę, Faith, ale już nie jesteśmy dziećmi.

- Nie jesteśmy dziećmi. - Odwróciła twarz i przycisnęła usta do jego dłoni. - Ja też cię pragnę. Bez obietnic i bez pytań. Kochaj mnie tak jak wtedy, tej pięknej nocy, gdy byliśmy razem. - Wstała i wyciągnęła rękę. - Chciałabym coś mieć na następne dziesięć lat.

Trzymając się za ręce, poszli po schodach do sypialni. Zapomniał w tym momencie i o innym mężczyźnie, którego wybrała, i o życiu, na jakie się zdecydowała. Wyrzucił z pamięci swoje dziesięć lat żalu, by przyjąć to, co mu ofiarowała.

Zimą wcześniej zapada zmrok. W milczeniu zapaliła świece. Pokój wypełnił się złotymi płomykami pośród ruchomych cieni. Gdy się odwróciła, uśmiechała się, patrząc nań wzrokiem pełnym ufności i kobiecej wiedzy. Bez słowa przybliżyła się do niego, by ofiarować mu wszystko.

Sięgnęła śmiało do guzików jego koszuli. Jemu drżały palce, kiedy rozpiął jej sukienkę. Rozbierali się nawzajem powoli, jakby milcząco rozumiejąc, że potem każda z tych chwil będzie na zawsze wyryta w ich sercach.

Gdy ujrzał ją tak jak przedtem - wiotką, śliczną, niewinną - zakręciło mu się w głowie od żądy, niepewności i marzeń. Lecz podeszła, przytuliła się i rozwiała wszelkie wątpliwości. Była silniejsza niż kiedyś. Nie ciałem, lecz duchem. Pewnie się zmieniła, ale tęsknoty, które w nim odżyły, były te same jak u dorastającego młodzieńca.

Jak beztroskie rozbawione dzieci upadli na łóżko.

Nie mieli kiedy żyć ze sobą i nabrać doświadczenia. Było to doznanie równie świeże i dziko ekscytujące jak tamtej czerwcowej nocy. Tyle że już dojrzeli i stali się bardziej wymagający, zachłanni. Przyciągnęła go bliżej do siebie i dotykała z odkrytą właśnie niecierpliwością, z wyzwolonym pragnieniem. Tak długo czekała, tak długo, że nie mogła już ani chwili dłużej. Ale ujął jej rękę, podniósł do ust i uspokoił ten rozwibrowany oddech.

- Słabo pamiętam, co z tobą robiłem za pierwszym razem. - Delikatnie wtulił twarz w jej szyję, aż jęknęła w szalonym oczekiwaniu. Unosząc głowę, uśmiechnął się do niej. - Już sobie przypomniałem.

I potem zabrał ją do miejsc, w których nigdy nie była. Wiódł ją wyżej, ciągle wyżej, potem nagle zapadli się głęboko tam, gdzie powietrze było gęste i ciemne. Pochwycona w wietrzny wir, przylgnęła do niego kurczowo. Uczynił ją bezsilną. Czule, miękko i delikatnie pieścił ją palcami, póki jej ciałem nie wstrząsnął dreszcz. Całował namiętnie, zachłannie, a później znów spokojnie i kojąco. Przepelniona doznaniem, nie miała już żadnych myśli ani nawet wspomnień.

Zespoleni w jedno wszystko odczuwali razem. Czas się nie cofnął, lecz ich uwięził w jakiejś wiecznej teraźniejszości.

Otoczył ją mocno ramieniem. Milczeli. Faith z przymkniętymi oczami chłonęła tę ich wspólnotę, tę ich miłość. Przez chwilę tylko to istniało. Jego wszakże, mimo ekstazy i zadowolenia, męczyły różne pytania. Ona była tak ciepła, tak wolna i szczerza w uczuciu.

Kochała go. Ani teraz, ani nigdy przedtem nie potrzebował żadnych słów, by się o tym przekonać. Ale lojalność, którą uważał za nieodłączną cechę jej charakteru, została naruszona. Jak może być spokojny, jeśli nie wie, dlaczego to zrobiła?

- Muszę wiedzieć, dlaczego straciliśmy te dziesięć lat, Faith. - Kiedy nic nie odpowiedziała,

odwrócił ją w swoją stronę. Oczy błyszczały jej w migotliwym świetle, ale się nie rozpląkała.

- Teraz bardziej niż przedtem muszę to wiedzieć.

- Żadnych pytań, Jasonie. Nie dzisiaj.

- Już dość długo czekałem. Oboje czekaliśmy wystarczająco długo.

Usiadła z głębokim westchnieniem. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła rękami.

Włosy rozsypały się jej na plecach.

Nie umiał powstrzymać się, by nie zadać tego kłopotliwego pytania. Kiedyś całkowicie do niego należała. Nikt poza nim nie mógł jej tknąć. Zdawał sobie sprawę, że musi się pogodzić z jej małżeństwem i dzieckiem innego mężczyzny, chciał jednak zrozumieć najpierw, dlaczego zrobiła to tak szybko po jego wyjeździe.

- Odpowiedz coś, Faith. Cokolwiek.

- Kochaliśmy się, Jasonie, ale pragnęliśmy różnych rzeczy. - Odwróciła się, by popatrzeć na niego. - I dalej chodzi nam o różne rzeczy.

- Przytuliła jego rękę do swego policzka. - Gdybyś mi pozwolił, wszędzie bym za tobą poszła. A ty zostawiłeś mój dom, rodzinę, i nawet się nie obejrzałeś. Chciałeś jechać sam.

- Niczego ci nie mogłem zapewnić... - zaczął, lecz mu przerwała.

- Nie dałeś mi żadnego wyboru.

- A gdybym teraz ci dał?

- Teraz mam córkę, a ona ma dom, którego nie mogę jej pozbawić. Moje własne pragnienia mniej się liczą. - Odsunęła się, by spojrzeć na niego. - I twoje też. Przedtem jakoś nigdy nie sądziłam, że naprawdę wyjedziesz. Tym razem wiem, że tak. Weźmy to, co można. Podarujmy sobie te jedne święta. Nic więcej. Proszę.

Położyła mu rękę na ustach i powstrzymała dalsze pytania.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Dzień wigilijny ma w sobie coś magicznego. Faith zawsze głęboko w to wierzyła. Tym bardziej, gdy obudziła się z Jasonem śpiącym u jej boku. Przez chwilę po prostu leżała i patrzyła na niego. Wyobrażała to sobie przedtem w marzeniach - jako dziewczyna i jako kobieta - teraz jednak już nie potrzebowała marzyć. Był tuż koło niej, ciepły i cichy, a za oknem w porannym brzasku padał śnieg.

Ostrożnie wyślizgnęła się z łóżka.

Kiedy się przekręcił, poczuł pozostawiony przez nią na poduszce wiosenny zapach. Na parę minut pogrążył się w nim bez reszty. Potem, zadowolony, położył się na plecach i zaczął rozglądać się po pokoju, którego w wieczornym półmroku dobrze nie widział.

Na ścianach była tapeta w kolorze kości słoniowej z fioletowymi gałązkami. W oknach pracowicie wydziergane firaneczki. Na antycznym biurku z drzewa różanego stały przeróżne flakony i pudełka, a w kasetce szczotka ręcznie inkrustowana srebrem i grzebień. Patrzył na padający śnieg, rozkoszując się aromatem potpourri, umieszczonego w pobliżu łóżka. Ten pokój był dokładnie taki, jak ona sama - czarujący, świeży i bardzo, bardzo kobiecy. Mężczyzna mógł tu odpocząć, nawet jeśli wiedział, że może trafić na pończochy przewieszane przez krzesło, czy bluzkę pośród własnych koszul. Naprawdę mógł odpocząć. Nie zamierzał pozwolić, by Faith znów odeszła.

W połowie schodów, gdy szedł na dół, dotarł do niego zapach kawy. Słuchała świątecznej muzyki z taśmy i smażyła bekon. Dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, jak to wspaniale jest po prostu zejść do kuchni, w której twoja kobieta przygotowuje ci śniadanie.

- A więc wstałeś jednak. - Była po szyję zawinięta w jasną suknię z flaneli. Poczuł głód.

- Tu masz kawę.

- Pachnie w całym domu - rzekł, podchodząc.

- Wiedziałem o niej od chwili przebudzenia. Oparła mu głowę na ramieniu i próbowała nie myśleć, że mogłoby tak być od dawna jeśli tylko...

- Wyglądałeś, jakbyś miał jeszcze spać parę godzin. Dobrze, że już wstałeś, bo bekon by wystygł.

- Gdybyś została jeszcze parę minut w łóżku, to nie odpowiadam...

- Mamo! Mamo! Śnieg pada! - Klara wpadła jak burza i tańczyła po całej kuchni. -

Będziemy dziś wieczorem jeździć z kolędami na wozie z sianem! Wszędzie jest tyle śniegu!

- Stanęła przed Jasonem i uśmiechnęła się. - Cześć.

- Cześć, Klaro.

- My z mamą idziemy lepić bałwana. Mama mówi, że w święta najlepiej się udaje.

Możesz nam pomagać.

Faith nie wiedziała, jak Klara zareaguje na widok Jasona przy stole podczas śniadania.

Zaczęła wbijać jajka do salaterki. Powinna była się domyślić, że dziecko jest gotowe przyjąć każdego, kogo ona polubi.

- Musisz najpierw zjeść coś na śniadanie. Klara dotknęła swojego plastikowego Mikołaja

przypiętego w klapie, któremu po pociągnięciu za sznurek świecił się nos. Nigdy nie przestawało ją to bawić.

- Jadłam u Marty płatki.

- Podziękowałaś mamie Marty za gościnę?

- Taaak. - Zamilkła na chwilę. - Zdaje mi się, że podziękowałam. Zresztą będziemy lepić wspólnie dwa bałwany i zrobimy im ślub... i w ogóle. To Marta chce tego ślubu -

objaśniła Jasonowi.

- Klara wolałaby wojnę.

- Wymyśliłam, że potem może być wojna. Ale chyba najpierw napiję się czekolady. -

Zerknęła na talerz z ciasteczkami i rozważyła swoje szanse. Niewielkie w najlepszym razie.

- Zaraz ci zrobię czekoladę. A ciasteczko będzie po bałwanie - powiedziała Faith, nawet nie zadając sobie trudu, by się odwrócić. - Powieś palto za drzwiami.

Rozbierając się, Klara gawędziła z Jasonem.

- Nie wybierasz się teraz do Afryki, prawda? Afryka chyba nie jest fajniejsza od świąt.

Mama Marty mówiła, że pewnie pojedziesz w jakieś inne przyjemne miejsce.

- Za parę tygodni powinienem być w Hongkongu. - Spojrzał na Faith. Nie odwróciła się.

- Ale przez święta zostanę tutaj.

- Masz choinkę w swoim pokoju?

- Nie.

Popatrzyła nań zdziwiona.

- To gdzie położysz prezenty? Nie ma świąt bez choinki, prawda, mamó?

Faith pomyślała o dzieciństwie i młodości. Ja - sona, kiedy nigdy nie miewał choinki.

Pamiętała, z jakim trudem udawał, że to nie takie ważne.

- Choinka jest tylko po to, aby innym pokazać, że obchodzimy święta.

Klara niezupełnie przekonana klapnęła na krzesło.

- No, może...

- Twoja mama często mi to samo powtarzała - powiedział Jason Klarze. - W każdym razie nie sądzę, by panu Beantree spodobały się igły porozrzucane na podłodze.

- My mamy choinkę, więc możesz jeść u nas obiad - postanowiła Klara. - Mama upiecze wielkiego indyka i będzie dziadek z babcią. Babcia przynosi ciasto i objadamy się, póki nas brzuch nie rozboli.

- Brzmi zachęcająco. - Rozbawiony patrzył, jak Faith przekłada jajecznicę na talerz. -

Parę razy jadłem świąteczny obiad z twoimi dziadkami.

- Tak? - Klara przyglądała mu się z zainteresowaniem. - Chyba gdzieś słyszałam, że podobno byłeś chłopakiem mamy. Dlaczego nie zostaliście małżeństwem?

- Masz tu i pij tę gorącą czekoladę, Klaro. - Faith usiadła. - Lepiej się pospiesz, bo Marta czeka.

- A ty wyjdiesz?

- Niedługo. - Szczęśliwa, że córka tak łatwo zmieniła temat, postawiła jajecznicę na stole i usiadła, jakby nie dostrzegając na pół rozbawionej miny Jasona.

- Potrzebne nam będą marchewki, wstążki i szmatki.

- Zajmę się tym.

Klara z uśmiechem pochłonęła czekoladę.

- A kapelusze?

- Będą i kapelusze.

Śnieżka uderzyła w kuchenne okno. Dziewczynka błyskawicznie poderwała się z krzesła.

- To ona. Już lecę. Najlepiej, jak zaraz przyjdiesz, mamo.

- Tylko się ubiorę. Nie zapomnij zapiąć się pod szyją.

Klara wahała się jeszcze w progu drzwi.

- Mam u siebie małą plastikową choinkę. Mogę ci dać, jeśli chcesz.

Patrzył na nią wzruszony. Zupełnie jak matka, pomyślał, i po raz drugi się zakochał.

- Dziękuję.

- Fajnie. To pa.

- Świetny z niej dzieciak - powiedział, gdy zamknęła już drzwi za sobą. - Pójdę jej pomóc przy bałwanie.

- Nie musisz, Jasonie.

- Ale chcę, a potem powinienem załatwić to i owo. - Spojrzał na zegarek. To pierwsza taka Wigilia od dawna. Kiedy dano człowiekowi drugą szansę, głupotą byłoby tracić czas. -

Zaprosisz mnie na dzisiejszy wieczór?

Faith uśmiechnęła się i wodziła widelcem po swoim talerzu.

- Nigdy nie potrzebowałeś o to prosić.

- Nic nie gotuj. Coś przyniosę.

- Dobra, ja...

- Nie gotuj - powtórzył, wstając od stołu. Pochylił się, by ją pocałować. - Niedługo wrócę.

Kiedy wyszedł, Faith spojrzała na pokruszoną grzanekę, którą miała w ręku.

Hongkong. W końcu tym razem wiedziała przynajmniej, dokąd Jason pojedzie.

Bałwany w kącie podwórza uśmiechały się do Jasona, gdy przechodził obok nich, taszcząc zakupy. Obladowany zapukał do drzwi końcem buta. Śnieg nie przestawał padać ani na chwilę.

- Jason! - Cofnęła się bez słowa, a on wepchnął się z tym wszystkim do środka.

- Gdzie Klara?

- Klara? - Ciągle patrzyła, odrzuciwszy włosy do tyłu. - Jest u siebie w pokoju, szykuje się do rajdu na wozie z sianem.

- W porządku. Weź tę paczkę z wierzchu.

- Coś ty tu, na Boga, przyniósł?

- Weź ją, jeśli nie chcesz mieć pizzy rozrzuconej po całej podłodze.

- Dobrze, ale... - Kiedy ogromne pudło, które trzymał, zachwiało się, wybuchnęła śmiechem. - Co tam jest, Jasonie?

- Prezent. - Zaczął umieszczać go pod choinką, lecz stwierdził, że nie ma tam dosyć miejsca. Trochę wszystko poprzestawiał i udało mu się wsunąć pakunek z tyłu drzewka.

Odwrócił się z uśmiechem. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu czuł się lepiej. -

Wesołych Świąt.

- Tobie też, Jasonie. Co jest w tym pudle?

- Do diabła, zimno jest dziś na dworze. - Dopiero teraz zacierał ręce na rozgrzewkę, przedtem wcale nie zauważył lodowatego wiatru. - Dostanę trochę kawy?

- Jason, powiedz.

- To dla Klary. - Odkrył, że nawet takie trochę głupawe uczucie nie jest pozbawione ciepła.

- Nie musiałeś kupować jej prezentu - zaczęła Faith, ale ciekawość przemogła. - Co to jest?

- To? - Jason pogłaskał półtorametrowe pudło. - Och, nic takiego.

- Jeśli mi nie powiesz, nie dostaniesz kawy. - Uśmiechnęła się. - I zabieraj sobie pizzę.

- Jesteś nieznośna. To sanki. - Wziął Faith pod ramię i wyszli z pokoju. - Kiedy lepiliśmy bałwana, Klara coś wspomniała o dziecku, które ma takie sanki i pędzi na nich...

ponieważ właśnie napadało śniegu i można zjeżdżać z tej góry, więc...

- Ty głuptasie - z wyrzutem powiedziała Faith i mocno go ucałowała.

- Odłóż tę pizzę i powtórz to jeszcze raz. Roześmiała się, lecz dalej się nią odgradzała.

- Ojej!

Faith uniosła brwi, nasłuchując hałasów w salonie.

- Zdaje mi się, że zobaczyła twoje pudło. Klara jak burza wpadła do kuchni.

- Widzieliście? Wiedziałam, że musi być jeszcze jeden, po prostu wiedziałam. Jest tak duży jak ty - oznajmiła Jasonowi. - Widziałeś? - Wyciągnęła rękę, by go tam zaprowadzić.

- Ma nalepione moje imię.

- No, no, popatrz. - Jason podniósł ją do góry i ucałował w oba policzki.

- Wesołych świąt.

- Nie mogę czekać! - Zarzuciła mu ręce na szyję i pisnęła. - Po prostu nie mogę już dłużej.

Na ten widok Faith doznała bolesnego skurczu. Skłębity się w niej sprzeczne uczucia.

Co powinna zrobić? Co może zrobić? Kiedy Jason z Klarą odwrócili się do niej, światełka z choinki jak radosne iskierki przebiegały po ich twarzach.

- Faith? - Nie potrzebował słów, by zauważyć jej zmieszanie i ból. - Co się dzieje?

Wzięła karton z pizzą.



- Nic. Muszę podać pizzę, bo wystygnie.

- Pizza? - Klara zeskoczyła uszczęśliwiona.

- Mogę dostać dwa kawałki? Są przecież święta.

- Ty łakomczuchu - besztła ją łagodnie Faith.

- Siadaj do stołu.

- Co się dzieje, Faith? - Przytrzymał ją za ramię, nim zdążyła pójść za córką do kuchni.

- Stało się coś?

- Nie. - Musiała zapanować nad sobą. Od tak dawna się z tym wszystkim męczyła. -

Zaskoczyłeś mnie po prostu. - Z uśmiechem dotknęła jego twarzy. - To stało się wcześniej.

Chodźmy jeść.

Ponieważ widać było, że nie ma ochoty na zwierzenia, dał spokój i poszedł za nią do kuchni, gdzie Klara już buszowała w pudle z pizzą. Nigdy nie widział, żeby dziecko zajmowało się jedzeniem z taką nieukrywaną radością. Nigdy też nie zdawał sobie sprawy, że Wigilia może być czymś wyjątkowym, bo dotąd właściwie jej nie obchodził.

Klara połknęła ostatni kęs drugiego kawałka.

- Może gdybym otworzyła jeden prezent wieczorem, rano byłoby mniej zamieszania.

Faith udała, że się zastanawia.

- Lubię zamieszanie - stwierdziła, a Jason pojął, że ta rozmowa ma długą tradycję.

- Może gdybym otworzyła choć jeden prezent wieczorem, tobym szybciej zasnęła.

Wtedy nie będziesz musiała tak długo czekać, żeby się skradać do mnie i napełniać pończochy.

- Hm... - Faith odsunęła swój pusty talerz i popijała wino przyniesione przez Jasona. -

Lubię się skradać późno w nocy.

- Gdybym otworzyła...

- Nie ma szans.

- Gdybym...

- Nie ma mowy.

- Ale Boże Narodzenie już za parę godzin.

- Okropne, prawda? - Faith uśmiechnęła się do córki. - A za dziesięć minut jedziesz na kolędy, więc lepiej zacznij się ubierać.

Klara wstała i zaczęła wkładać buty.

- Może, jak wrócę, wybierzesz mi jeden prezent, taki, co nie będzie na tyle ważny, żeby czekał do rana.

- Wszystkie prezenty pod choinką są absolutnie niezbędne. - Faith podniosła się, by pomóc jej nałożyć palto. - A oto moje instrukcje. Masz się trzymać grupy. Nie zdejmuj rękawiczek, wszystkie palce muszą być schowane. Postaraj się nie zgubić czapki. Pamiętaj, że opiekują się wami państwo Easterday.

- Mamo! - Klara z westchnieniem szurała nogami. - Traktujesz mnie jak małe dziecko.

- Bo jesteś moim małym dzieckiem. - Faith czule ją pocałowała. - To na razie.

- O rany, przecież już w lutym skończę dziesięć lat. To prawie jutro.

- I w lutym też będziesz moim małym dzieckiem. Baw się dobrze.

- Dobra - jęknęła Klara tonem istoty od dawna cierpiącej i niezrozumianej.

- Dobra - przedrzeźniała ją Faith. - Powiedz dobranoc.

Dziewczynka zerknęła w stronę matki.

- Zaczekasz, aż wrócę?

- Tak.

Zadowolona uśmiechnęła się i otworzyła drzwi.

- No, to cześć.

- Potwór - stwierdziła Faith i zaczęła zbierać talerze.

- Jest cudowna. - Jason wstał, aby pomóc przy sprzątanii. - Chyba mała, jak na swój wiek. Nie myślałem, że ma prawie dziesięć lat. Trudno w to... - Przerwał, gdy Faith wkładała talerze do zlewu.

- Skończy dziesięć w lutym?

- Uhm. Samej mi w to trudno uwierzyć. Czasami to się zdaje jakby wczoraj, a czasami... - ucichła, bo nagle zabrakło jej tchu. Z przesadną uwagą zaczęła nalewać płyn do zmywania. - Zaraz skończę i przyjdę, a ty tymczasem zanieś wino do salonu.

- W lutym! - Jason chwycił ją za ramię. Kiedy odwrócił ją do siebie, zobaczył, jak krew odpływa jej z twarzy. Zaciśnął palce, aż mu zsiniały, i nawet tego nie zauważył. - Dziesięć lat w lutym. Kochaliśmy się w czerwcu. Boże, sam nie wiem, ile razy tamtej nocy. Nigdy więcej cię nie tknąłem, nigdy nie mieliśmy już okazji zostać sami przed moim wyjazdem, przez te parę tygodni. A ślub z Tomem musiał być we wrześniu...

Miała gardło suche jak popiół. Nawet przełknąć nie była w stanie, lecz patrzyła na niego.

- Ona jest moja - szepnął, i słowa te echem rozeszły się po całym pomieszczeniu. -

Klara jest moja.

Otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale właściwie nie było co mówić. Prawie ze łzami przytaknęła.

- Boże! - Mocno ją przytrzymał, nieomal unosząc do góry, i popchnął, aż oparła się o blat.

Rozumiała go, toteż nie przełękała się wściekłości, z jaką na nią patrzył.

- Jak mogłaś?! Do cholery, to nasza córka, i nigdy mi tego nie powiedziałaś?! Wyszłaś za innego i mieliście nasze dziecko. Toma też okłamywałaś? Czy przekonałaś go, że ona jest jego, bo chciałaś mieć ten swój przytulny dom i koronkowe firanki?

- Jasonie, proszę...

- Przecież miałem prawo! - Odsunął ją, zanim popadł w jeszcze większą furję. - Miałem do niej prawo. Ukradłaś mi te dziesięć lat.

- Nie! To nie tak było. Jason, proszę, musisz mnie wysłuchać!

- Niech cię wszyscy diabli - powiedział spokojnie, tak spokojnie, że cofnęła się, jakby ją uderzył. Z jego gniewem mogła walczyć, przeciwstawić racjonalne argumenty. Wobec tej cichej wściekłości była bezsilna.

- Proszę, pozwól mi wytłumaczyć.

- Niczego nie masz na swoją obronę. Niczego. - Chwycił palto z wieszaka i wybiegł.

- Jesteś skończonym głupcem, szanowny Jasonie Law. - Wdowa Marchant siedziała w kuchni w swoim fotelu i groźnie spoglądała w jego kierunku.

- Okłamała mnie. Całe lata to robiła.

- Bzdura - odrzekła, trącając od niechcienia bombki na małej choince stojącej w oknie.

Z salonu dobiegały nastrojowe tony muzyki „Dziadka do orzechów”. - Zrobiła tylko to, co musiała. Nic więcej i nic mniej.

Plątał się po kuchni. Ciągle nie rozumiał, dlaczego tu przyszedł, zamiast iść prosto do baru Clancy'ego. Ponad godzinę laził w śniegu, dopóki nie spostrzegł, że stoi przed drzwiami domu wdowy.

- Wiedziała pani czy nie? Wiedziała pani, że jestem ojcem Klary?

- Miałam swój pogląd na ten temat. - Fotel lekko zatrzeszczał, gdy się poruszyła. - Jest podobna do ciebie.

Nie rozumiał, dlaczego jakoś szczególnie go to poruszyło.

- Wygląda dokładnie jak jej matka.

- To prawda, jeśli się patrzy nie dość uważnie. Ma twoje brwi i usta. A jaki charakter, to sam Pan Bóg wie. A ty, gdybyś dziesięć lat temu się dowiedział, że zostaniesz ojcem, to co byś zrobił?

- Wróciłbym po nią. - Przeczesał dłonią włosy. - Wpadłbym pewnie w popłoch - rzekł już spokojniej. - Ale bym wrócił.

- Ja też tak zawsze myślałam. Jednak to... to Faith powinna ci resztę opowiedzieć.

Najlepiej idź tam i pogadaj z nią.

- To już nieważne.

- Nie zgrywaj męczennika - mruknęła. Zerwał się, by pójść, a potem zatrzymał się w pół drogi.

- To boli. To naprawdę boli - westchnął.

- Jednak to twoje życie - rzekła nie bez współczucia. - Chcesz obie znowu stracić?

- Nie, na Boga, nie. Ale nie wiem, ile będę umiał przebaczyć.

Staruszka uniosła brwi.

- Tyle, co trzeba. I daj Faith taką samą szansę. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, drzwi kuchenne nagle się otworzyły. Na progu stała Faith cała pokryta śniegiem, z twarzą zalaną łzami. Nie bacząc na błoto, które wnosi, podbiegła do Jasona.

- Klara... - zdołała wyjąkać.

Kiedy wziął ją w ramiona, poczuł, że cała się trzęsie. I jego ogarnął strach.

- Co się stało?

- Klara zaginęła.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Zobaczysz, odnajdzie się. - Jason trzymał ją za ramię, gdy przedzierali się przez śnieżycę do samochodu. - Prawdopodobnie już ją znaleźli.

- Podobno, jak mówiło któreś dziecko, myśleli, że Klara poszła z Martą za dom na farmie oglądać konie w stajni. Lecz kiedy wrócili, tam ich nie było. Jest ciemno... - Faith machinalnie bawiła się kluczykami.

- Ja poprowadzę.

Bez słowa usiadła obok.

- Lorna i Bill zadzwonili z farmy do szeryfa. Pół miasta pojechało ich szukać. Ale jest tyle śniegu, a one takie małe. Jason...

Spokojnie ujął jej twarz w swoje dłonie.

- Znajdziemy je.

- Tak. - Otarła ręką łzy. - Pospieszmy się.

Nie mógł ryzykować szybszej jazdy niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wlekli się zasypaną śniegiem szosą, rozglądając się po okolicy za jakimś śladem. Wokół roztaczały się pola i wzgórza - ciche, puste i głuche. Faith wydawały się bezlitosne. Przepełniona strachem, powstrzymywała łzy.

Dwadzieścia kilometrów za miastem pole było oświetlone jak w biały dzień. W poprzek szosy stało kilka samochodów, a ludzie, nawołując, krążyli po śniegu. Jason nie zdążył się zatrzymać, kiedy Faith wyskoczyła z wozu i pobiegła do szeryfa.

- Jeszcze ich nie znaleźliśmy, Faith, ale znajdziemy. Nie mogły odejść daleko.

- Przeszukaliście stajnię i zabudowania? Szeryf skinął głową w stronę Jasona.

- Cał po calu.

- A gdzie indziej?

- Właśnie wysyłam ludzi.

- To my jedziemy.

Prawie nic nie było widać w zadymce, kiedy przedzierali się pomiędzy innymi samochodami. Jechał jeszcze wolniej i zaczął się modlić. Brał kiedyś udział w podobnych poszukiwaniach w Górach Skalistych. Nigdy nie zapomni, co wiatr i śnieg mogą przez parę godzin zrobić z człowiekiem.

- Powinnam jej kazać włożyć jeszcze jeden sweter. - Faith schowała dłonie pomiędzy kolana i

usiłowała wyglądać przez okno. W pośpiechu nie wzięła rękawiczek, ale nawet nie zauważyła, że ma zdrętwiałe palce. - Ona strasznie nie lubi, jak się tak o nią troszczę, więc nie chciałam jej psuć tego wieczoru. Dla Klary święta to coś zupełnie wyjątkowego. Taka była podekscytowana. - Głos Faith załamał się pod wpływem kolejnej fali strachu. -

Powinnam kazać jej włożyć ten sweter. Będzie... Stój!

Wozem zarzuciło, gdy wcisnął hamulce. Po krótkiej chwili opanował poślizg. Faith pchnęła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz.

- O, tam! Zobacz...

- To jakiś pies. - Przytrzymał ją za ramię, żeby nie pognąła przez puste pole. - To pies, Faith.

- Och, Boże. - Mimowolnie oparła się bezwładnie o niego. - Ona jest tylko małą dziewczynką. Gdzie ona może być? Och, Jasonie, gdzie ona jest? Powinnam z nią pojechać. Gdybym tam była...

- Przestań!

- Na pewno marznie i się boi.

- I potrzebuje ciebie. - Gwałtownie nią potrząsnął. - Jesteś jej potrzebna.

Próbując się opanować, przysłoniła ręką usta.

- Tak. Tak. Już wszystko w porządku. Jedźmy. Pojedźmy kawałek dalej.

- Zaczekaj w samochodzie. Przejdę się trochę po tym polu i sprawdzę, czy nie ma jakichś śladów.

- Pójdę z tobą.

- Sam zrobię to szybciej. Wrócę za parę minut.

- Zaczął ponaglać ją, by wracała do samochodu, gdy nagle czerwony błysk zwrócił jego uwagę.

- O, tam, popatrz!

Trzymał ją za rękę i starał się coś zobaczyć poprzez padający śnieg. Gdzieś w końcu pola dostrzegł to znowu.

- To Klara! - Faith już wyrwała się naprzód. - Ma czerwone palto. - Gdy biegła w tumanach śniegu, wzrok zaćmiewały jej mokre i zimne płatki zmieszane ze łzami.

Zawołała najgłośniej, jak mogła. Rozłożyła ręce i porwała w ramiona obie dziewczynki.

- O Boże! Klaro! Tak się o ciebie bałam! Chodźcie, zupełnie przemarzłyście! Idziemy do samochodu! Wszystko będzie dobrze! Już jest wszystko dobrze!

- Czy moja mama bardzo rozpacza? - chlipała roztrzęsiona Marta.

- Nie, nie, po prostu się martwi. Wszyscy się martwią.

- Hop do góry! - Jason wziął Klarę na ręce. Przez krótką chwilę pozwolił sobie przytulić twarz do własnej córki. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że Faith podnosi Martę.

- Dasz radę? - Faith uśmiechnęła się, przyciskając do siebie wciąż pochlipującą dziewczynkę.

- Nie ma sprawy.

- To wracamy do domu.

- Nie chciałyśmy się zgubić. - Łzy Klary padały mu na kołnierz.

- Oczywiście, że nie.

- Po prostu poszliśmy zobaczyć konie i wszystko nam się pomyliło... Nikogo nie mogliśmy znaleźć... Przestraszyłam się... - Gwałtownie oddychała, przytulając się do niego. - I Marta też...

Jego córka. Oczy mu zwilgotniały, gdy mocniej objął ją ramionami.

- Teraz nic wam nie grozi.

- Mama płakała.

- Już wszystko w porządku. - Zatrzymał się przy samochodzie. - Możesz usiąść z przodu i trzymać je obie na kolanach? Tak będzie im cieplej.

- Oczywiście. - Kiedy Faith usiadła z Martą, Jason podał jej Klarę. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy ponad głową dziecka.

- Nie mogliśmy dojrzeć świateł domu w tym śniegu - szepnęła Klara, sadowiąc się na kolanach matki. - A potem strasznie długo nie mogliśmy znaleźć drogi. Było okropnie zimno. Ale nie zgubiłam czapki.

- Wiem, kochanie. Zdejmij te mokre rękawiczki. I ty też, Marto. Jason włączył

ogrzewanie na pełen regulator, zanim się obejrzyście, możecie się ugotować. - Całowała dwie zimne główki i sama starała się nie rozkleić.

- Jakie kolędy śpiewałyście?

- "Jingle Bells" - powiedziała Marta, pociągając nosem.

- O, to moja ulubiona.

- I „Cichą noc” - włączyła się Klara. Ciepłe powietrze z dmuchawy owiewało jej twarz i dłonie. -

Tę lubisz bardziej.

- Chyba tak, ale zapomniałam, jak się zaczyna. A ty pamiętasz, Marto? - Uśmiechnęła się do Klary i przygarnęła ją bliżej.

Marta zaczęła nucić cieniutkim, załzawionym głosem. Zdążyła prześpiewać pierwsze słowa, gdy dotarli do reszty grupy, przeszukującej okolicę.

- To mój tata! - Marta podskakiwała na kolanach Faith i machała ręką. - Ale nie wygląda na zrozpaczonego... - dodała z rozczarowaniem w głosie.

Faith ze śmiechem pocałowała ją w czubek głowy.

- To dobrze. Wesołych Świąt, Marto!

- Wesołych Świąt, pani Monroe! Zaledwie Marta otworzyła drzwi, wpadła w objęcia rodziców.

- Co za noc! - westchnęła Faith. Machano im na pożegnanie, kiedy przedzierali się samochodem przez tłum.

- To przecież Wigilia - przypomniała matce Klara. Świat znowu stał się ciepły i bezpieczny. - Może otworzyłabym ten duży prezent dziś wieczorem?

- Nie ma szans - powiedział Jason i potargał czule jej włosy.

Faith obróciła Klarę do siebie, wzięła ją w ramiona i mocno przytuliła.

- Nie płacz, mamo.

- Muszę troszkę, przez minutkę. - I rzeczywiście, gdy podjeżdżali pod dom, oczy miała już suche.

Wyczerpana Klara drzemała w ramionach Jasona, który wniósł ją do środka.

- Wezmę ją na górę, Jasonie.

- Razem pójdziemy.

Na znak zgody opuściła wyciągnięte po dziecko ręce.

W sypialni zdjęli Klarze buty, pończochy i sweter, a potem przebrali ją w ciepłą flanelową koszulę. Coś mruzczała i próbowała nie spać, ale przeżycia tej nocy zrobiły swoje.

- To Wigilia - wymamrotała. - Jutro rano wstanę naprawdę wcześniej.

- Tak wcześniej, jak zechcesz.

- A dostanę ciasteczka na śniadanie?



- Nawet pół tuzina - zgodziła się Faith. Mała uśmiechnęła się i zasnęła, zanim matka otuliła ją kocem.

- Bałam się... - rzekła, głaszcząc policzek córki - bałam się, że nigdy jej już nie zobaczę... nie zobaczę, jak śpi tutaj. Bezpieczna, w ciepłe. Nie wiem, jak mam ci dziękować, że byłeś przy mnie. Gdybym pojechała sama... - przerwała nagle i opuściła głowę.

- Chyba powinniśmy zejść na dół, Faith.

Na dźwięk tych słów zacisnęła wargi. Obiecała sobie, że będzie gotowa stawić czoło oskarżeniom i pretensjom.

- Chętnie napiłabym się drinka - rzekła, gdy schodzili. - Trochę brandy. Zdaje się, że wygasi ogień w kominku.

- Zajmę się tym. A ty idź po brandy. Mam ci coś do powiedzenia.

- Dobrze. - Zostawiła go i poszła do barku w jadalni.

Kiedy wróciła, ogień już płonął. Jason wstał od kominka i wziął kieliszek.

- Nie usiądziesz?

- Nie, nie mogę. - Wypiła łyk brandy, ale potrzebowała więcej, by uspokoić nerwy. -

Niezależnie, co masz mi do powiedzenia, Jasonie, powinieneś wszystko powiedzieć.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Stała wyprostowana i patrzyła na niego wzrokiem płonącym od emocji, kurczowo zaciskając palce na kieliszku. W pierwszej chwili chciał podejść do niej i po prostu mocno ją przytulić. Odzyskał dziecko i omal go nie utracił tej samej nocy. Czy liczyło się coś poza tym? Jednak wewnątrz czuł jakąś pustkę, która powinna zostać wypełniona. Pytania, pretensje, oskarżenia - domagały się odpowiedzi. Musieli dokonać takiego bilansu, żeby się nawzajem zrozumieć i sobie przebaczyć. Tylko od czego zacząć?

Podszedł do choinki. Na czubku miała gwiazdę, świecącą srebrnym światłem ponad kolorowymi bombkami.

- Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Nie co dzień człowiek dowiaduje się, że ma już wyrośniętą córkę. Czuję się jakby okradziony z jej dzieciństwa. Nie widziałem, jak uczyła się chodzić i mówić. I żaden twój gest ani żadne twoje słowa mi tego nie oddadzą, prawda?

- Nie. - Jej twarz była bardzo blada i spokojna. Niezależnie, co teraz czuła, umiała zapanować nad emocjami. Tak, to już nie ta sama Faith, którą zostawił. Tamta dziewczyna nigdy nie byłaby zdolna do podobnej samokontroli.

- Żadnych usprawiedliwień, Faith?

- Sądziłam wcześniej, że tak, dopóki dziś wieczór mało nie straciłam córki. - Zamilkła i potrząsnęła głową. - Żadnych usprawiedliwień, Jasonie.

- Klara myśli, że Tom jest jej ojcem.

- Nie! - Wzrok miała teraz spokojny, ale oczy jej błyszczały. - Czy uważasz, że pozwoliłabym córce wierzyć, że ojciec ją opuścił i nawet nie raczy nic napisać, bo tak mało go ona obchodzi? W gruncie rzeczy ona zna prawdę. Nigdy jej nie okłamywałam.

- Jaką prawdę?

Głęboko odetchnęła. Gdy spojrzała na niego, ciągle była blada, lecz jej głos brzmiał całkiem stanowczo.

- Że kochałam jej tatę i on kochał mnie, ale musiał wyjechać, zanim się o niej dowiedział, i że nie mógł wrócić.

- Mógł.

- To też jej powiedziałam - odrzekła z błyskiem w oku.

- Dlaczego? - Z trudem hamował gniew. - Chciałbym wiedzieć, dlaczego zrobiłaś to, co zrobiłaś. Straciłem wszystkie te lata.

- Ty? - Prawie przestała panować nad swoją złością i żalem. Wszystko, co tłamsiła w sobie przez tyle lat, nagle wybuchło. - Ty straciłeś? Ty? - powtórzyła, krążąc wokół niego. -

Pojechałeś sobie, a ja zostałam... osiemnastoletnia, w ciąży i sama.

Nie spodziewał się oskarżeń.

- Nie zostawiłbym cię, gdybyś mi powiedziała, że jesteś w ciąży.

- Sama wtedy nie wiedziałam. - Postawiła kieliszek i zanurzyła dłonie we włosach. -

Dopiero tydzień po twoim wyjeździe zorientowałam się, że noszę nasze dziecko. Byłam przerażona. I bardzo szczęśliwa. - Zaśmiała się i splotła ręce na piersi. Przez chwilę wyglądała tak młodo i niewinnie, że aż się serce krajało. - Codziennie czekałam na twój telefon, by ci to powiedzieć. - Oczy jej zwilgotniały, a uśmiech zniknął. - Ale nigdy nie zadzwoniłeś, Jasonie.

- Potrzebowałem czasu, aby wszystko urządzić, znaleźć stałą pracę i miejsce, do którego mógłbym cię zabrać.

- Nigdy nie rozumiałeś, że nie obchodzi mnie, gdzie mieszkam, póki jestem z tobą. -

Potrząsnęła głową, zanim zdążył coś powiedzieć. - Teraz to nie ma znaczenia. Tamten rozdział jest

już dawno zamknięty. Minął tydzień, potem dwa, potem miesiąc. Czułam się źle, mdliło mnie każdego ranka i zaczęłam sobie uświadamiać, że ty w ogóle nie zamierzasz zadzwonić. Ani wrócić.

Przez pewien czas byłam zła, bo zrozumiałam, że nie bardzo ci na mnie zależało. Ot, jak to dziewczyna z małego miasteczka.

- Nieprawda. Nigdy tak nie uważałem. Przyglądała mu się chwilę prawie obojętnie.

Światła z choinki padały mu na jasne włosy i odbijały się w tych przepastnie głębokich oczach, zawsze skrywających jakąś własną tajemnicę. Jakiś niepokój.

- Czyżby? - mruknęła. - Oczywiście jest, że pragnąłeś się stąd wyrwać. A ja byłam częścią tutejszego świata.

- Chciałem cię mieć ze sobą.

- Ale nie na tyle, byś pozwolił mi z tobą jechać. - Nie dopuściła go do słowa, gdy próbował coś powiedzieć. - Nie na tyle, żebyś mnie wziął, dopóki się sam nie sprawdziłeś.

Nigdy tego nie rozumiałeś, Jasonie. A ja zaczęłam to rozumieć dopiero teraz, gdy wróciłeś.

- Czy w ogóle zamierzałaś powiedzieć mi o Klarze?

Wyczuła gorycz w jego słowach.

- Nie wiem. Słowo honoru, nie wiem. Napił się dla rozgrzewki, bo nagle przeniknęło go jakieś lodowate zimno.

- To opowiedz mi resztę.

- Pragnęłam tego dziecka, ale strasznie byłam przerażona, zbyt przerażona, by zwierzyć się matce.

Sięgnęła po swój kieliszek.

- Należało to zrobić, ale nie rozmawiałam wtedy racjonalnie.

- Dlaczego wyszłaś za Toma? - Chociaż zapytał, zdał sobie sprawę, że jego dawna zazdrość słabnie. Po prostu chciał zrozumieć.

- Tom gotów był przychodzić prawie codziennie. Rozmawialiśmy. Nie miał chyba nic przeciwko temu, bym opowiadała mu o tobie, a sam Bóg wie, jak bardzo tego potrzebowałam. A potem pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy na werandzie, załamalam się. Byłam od trzech miesięcy w ciąży i figura zaczęła mi się zmieniać. Tego ranka nie mogłam już zapiąć dzinsów. - Zaśmiała się niewyraźnie i przesunęła dłonią po twarzy. -

Teraz to brzmi śmiesznie, ale wtedy wpadłam w popłoch. Zrozumiałam, że nie mam odwrotu. Wszystko z siebie wyrzuciłam przed nim tego wieczoru. Powiedział, że się ze mną ożeni. Oczywiście

zaprotestowałam, ale zaczął mnie rozsądnie przekonywać. Ciebie nie ma, a ja jestem w ciąży. On mnie kocha i naprawdę chce mnie poślubić. Dziecko będzie miało nazwisko, dom i rodzinę. Brzmiało to szczerze, a ja pragnęłam, by dziecko było bezpieczne. Ja też potrzebowałam bezpieczeństwa.

Popiła, bo zaschło jej w gardle.

- To nie miało sensu już od samego początku. Wiedział, że go nie kocham, ale mnie pragnął, przynajmniej tak mu się zdawało. Przez pierwsze parę miesięcy próbował, oboje naprawdę bardzo się staraliśmy. Ale kiedy urodziła się Klara, nie mogł już tego wytrzymać. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, widział ciebie. Nic na to nie mogłam poradzić, że była twoja. - Przerwała na chwilę, ale uznała, że lepiej powiedzieć wszystko. -

Nie mogłam przecież tego zmienić. Póki miałam ją, miałam jakąś część ciebie. Tom czuł

to, chociaż szczerze usiłowałam sprostać jego oczekiwaniom. Zaczął pić, wdawać się w bójki, urywać się z domu. Tak jakby chciał, żebym poprosiła go o rozwód.

- Ale nie poprosiłaś.

- Nie, bo uważałam, że jestem mu coś winna. Pewnego dnia wróciłam z Klarą ze spaceru, a on zniknął. Papiery rozwodowe przysłał pocztą, i tak to się skończyło.

- Dlaczego nigdy nie spróbowałaś się ze mną skontaktować, Faith, choćby poprzez gazety, do których pisałem?

- I co miałabym ci powiedzieć? Czy pamiętasz mnie, Jasonie? A tak przy okazji, masz tu córkę w Quiet Valley. Wpadniesz kiedyś?

- Jedno jedyne słowo od ciebie, a wszystko bym rzucił i tu przyjechał. Nigdy nie przestałem cię kochać.

Przymknęła oczy.

- Patrzyłam, jak odchodzisz ode mnie, wsiadasz do autobusu i znikasz bez śladu.

Stałam tam wiele godzin, jakby spodziewając się, że na następnym przystanku wysiądziesz i wrócisz. Ja byłam tą, która musiała zostać, Jasonie.

- Dzwoniłem. Do diabła, Faith, tylko pół roku zajęło mi urządzenie się.

Uśmiechnęła się.

- A kiedy zadzwoniłeś, byłam w siódmym miesiącu. Mama o twoim telefonie powiedziała mi dopiero po odejściu Toma. Długo to ukrywała. Mówiła, że ty ją o to prosiłeś.

- Miałem swój honor.

- Wiem.

To nie ulegało wątpliwości. Uśmiechnęła się w taki sposób, jakby zawsze to rozumiała.

- Musiałaś być przerażona. Jej uśmiech złagodniał.

- Były trudne chwile.

- Musiałaś mnie zniechęcić.

- Nigdy. Jak bym mogła? Odjechałeś, ale obdarowałeś mnie czymś najpiękniejszym w życiu. Może miałaś rację, może nie. Może oboje myliliśmy się, ale była Klara. Ilekroć na nią patrzyłam, przypominałam sobie, jak bardzo cię kochałam.

- A co teraz czujesz?

- Zamęt. - Zaśmiała się z lekka, a potem opuściła ręce, postanawiając uczynić to, co należy. - Trzeba powiedzieć Klarze. Wolę zrobić to sama.

Ten pomysł kazał mu znów sięgnąć po brandy.

- I jak, twoim zdaniem, ona to przyjmie?

- Nauczyła się żyć bez ojca. Co nie znaczy, że go nie potrzebuje. - Usiadła i dumnie uniosła brodę. - Masz prawo, oczywiście, widywać ją, kiedy tylko zechcesz, ale nie z doskoku. Zdaję sobie sprawę, że twoja praca nie pozwala ci tu zostać tylko z jej powodu, ale nie myśl, że możesz po prostu tak wpadać i wypadać z jej życia. Musisz zdobyć się na ten wysiłek i utrzymywać z nią stały kontakt, Jasonie.

A więc tego się ciągle obawiała. Nareszcie teraz to pojął. Chyba zasługiwał na to.

- Ufasz mi, prawda?

- Klara jest dla mnie najważniejsza - westchnęła. - Ale... ty też.

- Gdybym ci wyznał, że pokochałem ją, zanim się dowiedziałem, że jest moją córką, zrobiłoby ci to różnicę?

Pomyślała o toboganie, o jego spojrzeniu, gdy Klara zarzuciła mu ręce na szyję.

- Potrzebuje wiele miłości. Wszyscy potrzebujemy. Tak mi ciebie przypomina, ja... -

Przerwała, bo łzy napłynęły jej do oczu. - Cholera, nie chcę teraz płakać. - Gwałtownie wytarła twarz. - Powiem jej jutro, Jasonie. Na Boże Narodzenie. Musimy razem to przygotować. Wiem, że wkrótce wyjeżdżasz, ale gdybyś mógł zostać te parę dni, dać jej trochę czasu, to ułatwiłoby całą sprawę.

Potarł zeszywniały z napięcia kark.

- Nigdy nie prosiłaś mnie o nic więcej, prawda? I nie poprosisz...

Uśmiechnęła się.

- Prosiłam kiedyś o wszystko. Ale byliśmy zbyt młodzi, by to urzeczywistnić.

- Zawsze wierzyłaś w czary, Faith - rzekł, wyjmując z kieszeni małą paczuszkę. - Jest prawie północ. Otwórz.

Zanurzyła ręce we włosach. Jak on teraz może mówić o prezentach?

- Jason, to chyba nie jest właściwa pora.

- Spóźniona o dziesięć lat.

Kiedy wręczał jej pudełeczko, pogładziła je dłońmi.

- Ale ja nic nie mam dla ciebie. Dotknął niepewnie jej twarzy.

- Właśnie podarowałaś mi córkę. Odetchnęła z ulgą. Wreszcie zamiast goryczy usłyszała słowa wdzięczności. W jej oczach błysnęła miłość, która nigdy nie wygasła.

- Jason.

- Proszę, otwórz teraz.

Odwinęła śliski czerwony papier i wydostała czarne, welurowe etui. Lekko drżącymi palcami rozchyliła je. Brylant był jakby zamrożoną łzą, w której odbijały się kolorowe światła choinki.

- Paul powiedział mi, że to najładniejszy pierścionek, jaki ma w swoim sklepie.

- Kupiłeś go, zanim się dowiedziałeś...

- Taaak, zanim się dowiedziałem, że będę prosił o rękę matkę mojego dziecka.

Zalegalizujemy naszą trójkę. - Wziął ją za rękę i czekał. - No, więc jak będzie z drugą szansą? Nie puszczę cię, Faith.

- Zawsze mnie miałaś. - Znów bliska łez dotknęła dłonią jego policzka. - To nie ty ani ja, lecz to życie tak wszystko ułożyło. Och, Jasonie, zrozum, nigdy niczego innego nie pragnęłam poza tym, żebyś mnie poślubił i żebyśmy byli rodziną.

- Więc pozwól mi włożyć ci pierścionek.

- Gdyby tylko o mnie chodziło, w jednej chwili bym z tobą pojechała. Do Hongkongu, na Syberię, do Pekinu. Wszędzie. Ale nie jestem sama i muszę tu zostać.

- Nie jesteś sama - powtórzył. Wyjął pierścionek i odłożył pudełko. - I ja muszę tu zostać, Czy myślisz, że znowu mógłbym cię opuścić? Myślisz, że mógłbym opuścić to, co mam tam na górze, że jest dla mnie coś ważniejszego niż ona? Nigdzie nie pojedę.

- A Hongkong, o którym mówiłeś?

- Zrezygnowałem. - Kiedy się uśmiechnął, poczuł, jak znika ciężar tych wszystkich lat. -

Dzisiaj. To była jedna z tych spraw, którą załatwiłem dziś rano. Zamierzam pisać książkę. -

Wziął ją w ramiona. - Zwolniłem się z pracy, mieszkam w gospodzie i proszę cię o rękę.

Wstrzymała oddech. Serce jej waliło. Tak, zawsze wierzyła w czary. I właśnie dokonały się na jej oczach.

- Dziesięć lat temu myślałam, że kocham cię tak mocno, jak to tylko możliwe. Byłeś chłopcem. Przez te kilka dni zrozumiałam, że miłość do mężczyzny to zupełnie coś innego.

- Zamilkła na chwilę i patrzyła na pierścionek, który rozbłysnął na jej palcu radosnymi promykami odbitymi od choinkowych lampek. - Gdybyś poprosił mnie o to dziesięć lat temu, powiedziałabym... tak.

- Faith...

Ze śmiechem zarzuciła mu rękę na szyję.

- Teraz dostaniesz tę samą odpowiedź. Och, kocham cię, Jasonie, bardziej niż kiedykolwiek.

- Mamy wiele lat przed sobą, by sobie tego dowieść.

- Tak. - Pocałowała go z tą samą namiętnością, z tą samą pasją jak kiedyś. -

Dowiedziemy. We trójkę.

- We trójkę. - Oparł się czołem o jej czoło. - Chcę, by nas było więcej.

- Starczy nam czasu, żeby na przyszłe święta dać Klarze braciszka albo siostrzyczkę. -

Znów go pocałowała. - Na wszystko nam starczy czasu.

Razem słuchali, jak w miejskim ratuszu biją dzwony. Północ.

- Wesołych świąt, Faith.

Czuła pierścionek na palcu. Wszystkie życzenia się spełniły.

- Witaj w domu, Jasonie.

# NICZEGO WIĘCEJ NIE PRAGNĘ

## PROLOG

Zek i Zak siedzieli w domku na drzewie, ciasno stłoczeni jeden obok drugiego, bo niewiele tu było miejsca. W tej solidnej drewnianej kryjówce pośród gałęzi starego szacownego jaworu zawsze omawiali swoje ważne sprawy i tajemnice.

Dziś drobny deszcz bębnił o daszek i moczył ciemnozielone liście. Było dość ciepło, jak na początek września, i chłopcy mieli na sobie bawełniane podkoszulki. Zek czerwoną, a Zak niebieską. Bracia bliźniacy wyglądali identycznie niby dwie krople wody. Kiedy się urodzili, ojciec wprowadził system kolorów, aby uniknąć pomyłek. Gdy zamieniali się swoimi kolorami, a często się to zdarzało, mogli nabrać każdego w Taylor's Grove. Z

wyjątkiem ojca.

W tej chwili właśnie on zaprzętał ich uwagę. Rozważali bowiem szczegółowo wszystkie czekające ich przyjemności i okropności, wiążące się z pierwszym dniem w szkole.

Pierwszym dniem w pierwszej klasie.

Będą jeździli autobusem, tak jak w zeszłym roku do zerówki. Ale teraz zostaną w szkole podstawowej w Taylor's Grove przez cały dzień razem ze starszymi dziećmi.

Kuzynka Kim ciągle powtarzała, że prawdziwa szkoła to nie jest plac zabaw.

Zak, bardziej dociekliwy z braci, już od tygodni o tym rozmyślał, dokładnie analizował

całą sprawę i zamartwiał się. Przerazały go groźnie brzmiące terminy, jak „praca domowa” czy „udział w lekcji”, o których Kim w kółko gadała. Wiedzieli, że ich kuzynka, która była już w drugiej klasie liceum, często taszczyła różne książki. Wielkie, grube i bez obrazków.

A czasem, gdy zostawali pod jej opieką, godzinami siedziała pogrążona w lekturze. Równie długo potrafiła tylko wisieć przy telefonie.

Dla Zaka - wiecznego czarowidza - był to poważny powód do niepokoju.

Tata im oczywiście pomoże, zaznaczył Zek, niepoprawny optymista. Czyż nie nauczyli się czytać „Śpiącej królowej” i „Kota w butach”, bo tata pomagał im sylabizować? Umieli również napisać wszystkie litery alfabetu i własne imiona, bo to też im pokazał.

Cały kłopot polegał na tym, że tata musiał pracować, zajmować się domem i nimi oraz Kapitanem Zarkiem, wielkim żółtym psiskiem, wziętym ze schroniska dwa lata temu.

Więc tata, zdaniem Zaka, strasznie dużo miał do roboty. A teraz, kiedy pójdą do szkoły i zaczną się odrabianie lekcji, rozwiązywanie zadań i prawdziwe stopnie, będzie potrzebował kogoś do pomocy.



- Umówił panią Hollis do sprzątanía raz w tygodniu. - Zek wodził swoim samochodzikiem po wyobrażonym na podłodze torze wyścigowym.

- To nie wystarczy - nachmurzył się Zak, a w jego błękitnych niby dwa jeziora oczach pojawił się smutek. Westchnął głęboko i odgarnął z czoła ciemny kosmyk włosów. - On potrzebuje towarzystwa dobrej kobiety, a my potrzebujemy matczynej miłości. Sam słyszałem, jak pani Hollis mówiła to na poczcie panu Perkinsowi.

- Czasem spotyka się z ciocią Mirą. Ona jest dobrą kobietą.

- Ale z nami nie mieszka. I nie ma czasu pomagać nam w odrabianiu lekcji. - Prace domowe wyjątkowo przerażały Zaka. - Trzeba znaleźć jakąś mamę. - Zek tylko westchnął, a Zak zmrużył oczy. - Przecież w pierwszej klasie będziemy musieli nauczyć się poprawnie pisać.

Zek przygryzł dolną wargę. Pisanie budziło w nim koszmarny lęk.

- A jak my ją znajdziemy?

Zak uśmiechnął się i powoli, z namysłem, powiedział wreszcie, o co mu chodzi.

- Poprosimy świętego Mikołaja.

- On nie przynosi mamus - odrzekł Zek pogardliwym tonem. - Przynosi rzeczy i zabawki. A w ogóle to dopiero przed świętami.

- Niekoniecznie. Pani Hollis chwaliła się panu Perkinsowi, że już zrobiła połowę gwiazdkowych zakupów. Mówiła, że dzięki swej przezorności będzie miała czas cieszyć się z udanych świąt.

- Wszyscy się cieszą ze świąt. One są przecież najfajniejsze.

- Aha. Ale mnóstwo ludzi wtedy szaleje, bo w ostatniej chwili robią zakupy. Pamiętasz, jak w zeszłym roku poszliśmy z ciocią Mirą do takiego wielkiego sklepu i jak narzekała na tłumy, na ceny, na brak miejsca do parkowania?

Zek aż otrząsnął się na to wspomnienie. Rzadziej niż brat wyciągał logiczne wnioski z przeszłych zdarzeń, lecz tym razem wpadł mu w słowo.

- Więc...

- Więc jeśli poprosimy teraz, Mikołaj będzie miał dużo czasu, aby nam znaleźć odpowiednią mamę.

- Ciągle ci powtarzam, że on nie przynosi mamus.

- A dlaczego nie? Jeśli naprawdę jej potrzebujemy i nie poprosimy prawie o nic więcej?

- Mieliśmy prosić o dwa rowery - przypomniał mu Zek.

- I dalej możemy - zdecydował Zak. - Ale już o nic innego. Tylko o mamę i rowery.

Teraz z kolei Zek westchnął. Nie bardzo uśmiechała mu się rezygnacja ze swojej długiej listy prezentów. Ale pomysł z mamą zaczynał mu się podobać. Nigdy jej nie mieli i zawsze intrygowała ich ta tajemnicza sprawa.

- A w jaki sposób poprosimy?

- Musimy napisać.

Zak wziął ze stoliczka przy ścianie zeszyt i ogryzek ołówka. Usiedli na podłodze i żywo dyskutując, układali prośbę.

*Kochany Mikołaju,*

*Byliśmy grzeczni.*

Zek chciał napisać „bardzo grzeczni”, ale Zak, skrupulant, nie poparł tego pomysłu.

*Karmiliśmy Zarka i pomagaliśmy Tacie. Chcielibyśmy dostać na Gwiazdkę mamusię. Jakąś ładną, ktura ładnie pachnie i jest fajna. Może się dużo śmiać i mieć jasne włosy. Musi lubić małych chłopców i duże psy. Nie przeszkadza jej nieporządek i umie piec ciasteczka. Chcielibyśmy, żeby była śliczna i elegancka i pomagała nam w lekcjach.*

*Bendziemy się nią dobrze opiekować. Chcielibyśmy też rowery. Jeden czerwony i jeden niebieski. Masz dużo czasu, żeby znaleźć mamę i zrobić rowery, więc święta będziesz miał udane. Dziękujemy kochający Zek i Zak.*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Taylor's Grove, dwa tysiące trzystu czterdziestu mieszkańców. Nie, czterdzieści jeden, z zadowoleniem pomyślała Nell, wchodząc do licealnej auli. Mieszkała w tym mieście dopiero od dwóch miesięcy, ale już uważała je za własne. Lubiła tutejszy brak pośpiechu, czyściutkie podwórka i niewielkie sklepiki. Lubiła sąsiedzkie pogaduszki, huśtawki na gankach i wilgotne od rosy chodniki.

Gdyby ktoś powiedział jej rok temu, że przeniesie się z Manhattanu do jakiegoś punkciku na mapie w zachodnim Marylandzie, uznałaby go za szaleńca. A jednak tu, w Taylor's Grove, gdzie została nową nauczycielką muzyki w liceum, poczuła się tak swojsko i błogo, jak stary pies myśliwski przed ciepłym kominkiem.

Niewątpliwie potrzebowała tej zmiany. W zeszłym roku straciła współlokatorkę, która wyszła za mąż. Sama nie była w stanie płacić ogromnego czynszu. Następną lokatorka, wybrana z dużą starannością, także się wyniosła, zabierając przy okazji wszystkie wartościowe rzeczy z mieszkania. Ta drobna przykra przygoda doprowadziła w efekcie do chyba jeszcze mniej przyjemnej sceny z chłopakiem Nell. Kiedy Bob skrzyczał ją, nazywając głupią, naiwną i nieostrożną, uznała, że najwyższy czas przerwać to pasmo niepowodzeń.

Zwolniła go więc z obowiązków narzeczonego, a wkrótce sama została zwolniona z pracy. Szkoła, gdzie uczyła od trzech lat, restrukturyzowała się, jak to dyplomatycznie oznajmiono. Zlikwidowano stanowisko nauczyciela muzyki, więc Nell musiała odejść.

Puste, lecz za drogie mieszkanie, narzeczonego, który uznał jej optymizm za dewiację, wreszcie perspektywa bezrobocia - to wszystko obrzydziło jej w końcu Nowy Jork.

Kiedy już zdecydowała się na przeprowadzkę, postanowiła wyjechać naprawdę daleko.

Idea, by pracować w małym miasteczku, opanowała ją nagle, lecz nieodparcie. Miała intuicję, myślała teraz, bo natychmiast poczuła się tu tak, jakby nigdy gdzie indziej nie mieszkała.

Czynsz okazał się na tyle niski, że mogła być sama, co się jej podobało. Wynajęła całe piętro starego przebudowanego domu, skąd od campusu szkoły podstawowej i średniej dzielił ją krótki, miły spacer.

Dopiero dwa tygodnie minęły od pierwszego nerwowego dnia w szkole, a Nell już zawładnęła sercami uczennic. Dziś szykowała się do pierwszych pozalekcyjnych zajęć ze swoim chórem.

Postanowiła przygotować na święta taki program, który powali całe miasteczko na kolana.

Stare pianino stało pośrodku sceny. Podeszła do niego i usiadła. Wkrótce zjawią się uczniowie, ale miała jeszcze chwilę. Aby się rozruszać, zagrała sobie Muddy Waters, starego dobrego bluesa. Z zadowoleniem stwierdziła, że ten wysłużony instrument był

wprost stworzony do takiej muzyki.

- Kurczę, ona jest super - szepnęła Holly Linstrom do Kim, gdy bezszelestnie wśliznęły się do sali.

- Taaa... - Kim położyła ręce na ramionach swych małych kuzynów bliźniaków i stanowczym uściskiem dała im do zrozumienia, że mają być cicho. - Stary pan Striker nigdy nie grał czegoś takiego.

- Zobacz te jej ciuchy. - Holly z podziwem i zazdrością gapiła się na Nell ubraną w wąskie spodnie, długi zakiet i krótką bluzeczkę w paski. - Nie wiem, dlaczego ktoś taki z Nowego Jorku chciał tu przyjechać. A widziałaś dziś jej kolczyki? Założę się, że kupione w najlepszym sklepie na Piątej Alei.

O biżuterii Nell krążyły już wśród dziewcząt legendy. Nosila rzeczy wyjątkowe i niezwykłe. Jej dobry gust, jej ciemnozłote włosy, opadające na ramiona w wyrafinowanym nieładzie, jej gardłowy śmiech i bezpośredni sposób bycia - to wszystko od razu zaimponowało uczniom.

- Ma swój styl - przyznała Kim. Bardziej jednak zafascynowała ją muzyka aniżeli strój pianistki. - Rany, jak ja bym chciała tak grać.

- Rany, jak ja bym chciała tak wyglądać - odparła Holly i zachichotała.

Na te odgłosy Nell odwróciła się z uśmiechem.

- Wchodźcie, dziewczyny. To darmowy koncert - powiedziała serdecznie.

- Wspaniały, panno Davis. - Kim ruszyła w stronę sceny, mocno trzymając za ręce małych podopiecznych. - Co to jest?

- Muddy Waters. Musieliśmy nauczyć się trochę bluesa podczas studiów... - Nell przerwała i patrzyła na dwie miłe buzie chłopców, towarzyszących Kim. Przez krótki moment miała dziwne, niepojęte uczucie, że ich skądś zna. - Cześć, chłopaki.

Kiedy uśmiechnęli się do niej, u obu pojawiły się na lewym policzku identyczne dołeczki.

- A umie pani zagrać „Panie Janie”? Zanim Kim zdążyła wyrazić swe oburzenie tym pytaniem, Nell z entuzjazmem zagrała tę melodyjkę.

- No i jak? - spytała chłopców.

- Może być.

- Przepraszam, panno Davis. Już od godziny się z nimi męcę. To moi kuzyni, Zek i Zak Taylorowie.

- Taylorowie z Taylor's Grove. - Nell odwróciła się od pianina. - Założę się, że jesteście braćmi. Widzę pewne podobieństwo między wami.

Chłopcy jednocześnie parsknęli śmiechem.

- Jesteśmy bliźniakami - poinformował Zak.

- Naprawdę? No to się założę, że odgadnę, który jest który. - Podeszła do brzegu sceny, usiadła i przyglądała się im zmrużonymi oczami. Znowu się uśmiechnęli. Ostatnio stracili mleczne zęby, obaj górną lewą jedynekę. - To jest Zek - pokazała palcem Nell - a to Zak.

Potwierdzili zadowoleni i zaskoczeni.

- Skąd pani wiedziała?

Jakoś głupio było jej przyznać, że miała szansę pół na pół.

- To czary - odrzekła. - A lubicie śpiewać?

- Czasami. Trochę.

- No więc dziś możecie słuchać. Usiądziecie w pierwszym rzędzie i będziecie naszą publicznością.

- Dziękuję, panno Davis - szepnęła Kim i przyjaźnie popchnęła kuzynów w stronę krzeseł.

- Na pewno będą grzeczni cały czas. Siadać! - rozkazała im władcym tonem starszej siostry. Nell,

wstając, mrugnęła porozumiewawczo do chłopców, a potem kiwnęła ręką wchodzącym uczniom.

- Proszę tutaj, zaczynamy.

Większość rzeczy dziejących się na scenie nudziła braci. Najpierw wszyscy tam po prostu o czymś rozmawiali, a potem zrobiło się zamieszanie, gdy wyjęto nuty i zajmowano wyznaczone miejsca.

Ale Zak obserwował Nell. Miała ładne włosy i duże brązowe oczy. Jak nasz Zark, pomyślał głęboko wzruszony. Jej głos był zabawny, trochę ochrypły i niski, ale miły. Od czasu do czasu Nell popatrywała na nich z uśmiechem. I wtedy coś dziwnego działo się z jego sercem, które biło tak mocno, jak po biegu.

Odwróciła się do grupy dziewcząt i zaśpiewała. To bożonarodzeniowa piosenka, stwierdził ogromnie zdziwiony Zak. Nie wiedział dokładnie jaka, coś o jasności w środku nocy, ale pamiętał, że tata w kółko puszczał tę płytę w czasie świąt.

Gwiazdkowa piosenka. Gwiazdkowy prezent.

- To ona - syknął do brata, kuksając go mocno pod żebro.

- Kto?

- To jest mama dla nas.

Zek przestał grać w swoją grę, wsunął ją do kieszeni i spojrzał na scenę, gdzie Nell właśnie dyrygowała grupą altów.

- Nauczycielka naszej kuzynki Kim to... ta mama, o którą prosiliśmy?

- To musi być ona. - Zak, okropnie podniecony, ściszył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Święty Mikołaj miał dość czasu, by dostać nasz list. A ona śpiewała świąteczną piosenkę, ma jasne włosy i miło się uśmiecha. I poza tym lubi małych chłopców, jak mi się zdaje.

- Możliwe. - Zek, niezupełnie przekonany, oglądał z uwagą Nell. Przyznał, że jest śliczna. I śmiała się dużo, nawet gdy niektórzy uczniowie robili błędy. Ale to jeszcze nie znaczyło, że lubi psy i piecze ciasteczka. - Na razie nie możemy być całkiem pewni.

Zak prychnął niecierpliwie.

- Znała nas. Wiedziała, kto jest kto. Czary.

- Popatrzył na brata poważnie i szczerze. - To mama.

- Czary - powtórzył Zek i dalej gapił się na Nell szeroko otwartymi oczami. - Czy będziemy musieli poczekać aż do świąt, żeby ją dostać na Gwiazdkę?

- Tak mi się zdaje. Chyba. - To była zagadka, nad którą Zak zamierzał się głowić.

W chwili gdy Mac Taylor zajechał przed szkołę swoją ciężarówką, głowę nabitą miał

mnóstwem różnych spraw. Co podać chłopcom na kolację. Jak sobie poradzić z podłogą w domu na Meadow Street. Kiedy znaleźć trochę czasu, aby zawieźć dzieci do sklepu i kupić im trochę nowej bielizny. Ostatnio przy praniu stwierdził, że większość ich rzeczy przypomina stare zniszczone szmaty. Rano załatwiał transport materiałów budowlanych, a wieczorem czekała go sterta papierkowej roboty.

A jeszcze Zek denerwował się swoim pierwszym dyktandem, które miał pisać za parę dni.

Wkładając kluczyki do kieszeni, Mac poruszył ramionami. Machał dziś młotkiem prawie osiem godzin. Ból mięśni mu nie przeszkadzał. To miły rodzaj zmęczenia, które świadczyło, że coś zrobił. Prace remontowe przy Meadow Street stanowiły ważną pozycję w jego planach i budżecie. Później odnowiony budynek, będący własnością Maca, pójdzie na sprzedaż albo się go wynajmie. Księgowa, jak zwykle, spróbuje zdecydować sama, ale ostatnie słowo będzie należało do niego, bo właśnie tak lubił załatwiać interesy.

Kiedy podchodził z parkingu do gmachu szkoły, rozejrzał się dokoła. Jego prapradziadek założył to miasto, wtedy zaledwie osadę, rozciągającą się od Doliny Taylora aż po pagórki Łąki Taylora.

Stary Macauley Taylor nie narzekał na brak pewności siebie.

Jednak Mac przez ponad dwanaście lat mieszkał w Waszyngtonie. Mimo że sześć lat temu wrócił do Taylor's Grove, dotąd mu się tu nie znudziło; szczycił się tym miasteczkiem i ciągle cieszył go piękne widoki pokrytych drzewami wzgórz i ciemnej linii gór w oddali. Nie sądził, by kiedykolwiek mogły mu się one znudzić.

Wiał silny wiatr z zachodu i w powietrzu czuło się lekki chłód. Ale jeszcze nie było mrozu i liście miały swą letnią, ciemnozieloną barwę. Ta dobra pogoda ułatwiała Macowi życie z wielu powodów. Jeśli się utrzyma, bez problemów uda mu się dokończyć wszystkie prace remontowe na zewnątrz. A chłopcy będą mogli spędzać popołudnia i wieczory na dworze.

W chwili gdy otwierał ciężkie drzwi i wchodził do szkolnego budynku, poczuł wyrzuty sumienia. On pracował, a dzieciaki musiały spędzić całe popołudnie w tym pomieszczeniu. Nadejście jesieni oznaczało, że jego siostra znów wpadnie w wir różnych prac społecznych. Nie mógł więc prosić ją jeszcze o opiekę nad bliźniakami. Kim miała mnóstwo zajęć pozalekcyjnych, jemu zaś trudno było pogodzić się z myślą, że synowie staną się dziećmi z kluczem na szyi.

Na razie więc to rozwiązanie wszystkim odpowiadało. Kim będzie zabierać chłopców na swoje próby, a on zaoszczędzi siostrze jeżdżenia do szkoły, bo sam potem wszystkich odwiezie do domu.

Za parę miesięcy Kim ma dostać prawo jazdy, o czym nieustannie każdemu przypomina. On jednak bałby się, gdyby dzieci podróżowały samochodem z jego szesnastoletnią siostrzenicą za kółkiem.

„Rozpieszczasz ich” - tłukły mu się po głowie słowa siostry. - „Nie możesz być dla nich ciągle i

matką, i ojcem. Jeśli nie chcesz znaleźć sobie żony, musisz pozwolić im, by stali się bardziej samodzielni”.

Wcale nie chciał, do cholery, szukać sobie żony.

Kiedy zbliżył się do auli, dobiegł go subtelny, harmonijny śpiew młodych głosów.

Piękna melodia sprawiła, że się uśmiechnął, zanim ją rozpoznał. Pieśń bożonarodzeniowa.

Dziwnie było mu słyszeć ją o tej porze roku, po całym dniu roboty w pocie czoła.

Pchnął drzwi do sali i dźwięki wypełniły go całego. Oczarowany przystanął z tyłu i przyglądał się śpiewającym. Jedna z uczennic grała na pianinie. Śliczna mała - zamyślił się Mac, widząc, jak gestami zachęca kolegów do jeszcze większego wysiłku.

Zastanawiał się, gdzie jest nauczyciel muzyki, potem dostrzegł swoich chłopców siedzących w pierwszym rzędzie. Poszedł cichutko w stronę sceny, pozdrawiając ręką Kim, która go zauważyła. Usiadł za bliźniakami i pochylił się do nich.

- Ładny występ, co?

- Tato! - Zak prawie krzyknął, zaraz jednak przypomniał sobie, że ma mówić szeptem.

- To świąteczna piosenka.

- Zgadza się. A jak tam Kim?

- Ona jest naprawdę świetna. - Zek uważał się już za eksperta w sprawach chóru. -

Będzie solistką.

- Serio?

- Strasznie się zaczerwieniła, jak panna Davis poprosiła ją, by zaśpiewała sama, ale dobrze śpiewała. - Zeka jednak bardziej teraz obchodziła Nell. - Jest śliczna, no nie?

Mac, lekko zdziwiony tym stwierdzeniem, bo chłopcy lubili Kim, ale rzadko ją wychwalali, pokiwał głową.

- Tak, to najładniejsza dziewczyna w całej szkole.

- Moglibyśmy czasem zaprosić ją na kolację - dodał przebiegle Zak. - Prawda?

Mac znów zakłopotany potargał włosy syna.

- Wiesz przecież, że Kim przychodzi do nas, kiedy tylko zechce.

- Nie ona. - Zak, naśladując ojca, przymknął oczy. - Jezu, tato, panna Davis!

- A kim jest ta panna Davis?

- To ma... - Kuksaniec brata przerwał Zekowi odpowiedź.

- Nauczycielka - dokończył Zak, piorunując spojrzeniem Zeka. - Ta ładna - pokazał palcem.

Wzrok ojca powędrował w stronę pianina.

- Ona jest nauczycielką? - Zanim Mac zdążył to przemyśleć, muzyka przycichła, a Nell wstała.

- Byliście naprawdę wspaniali. Świetnie jak na pierwszy raz. - Odrzuciła w tył

zmięzwione włosy. - Ale potrzeba jeszcze dużo pracy. Następną próbę wyznaczam na poniedziałek po lekcjach, za kwadrans czwarta.

Zrobił się już ruch i hałas, więc Nell podniosła głos, by móc dokończyć mimo tego gwaru. Potem zadowolona odwróciła się z uśmiechem do bliźniaków i spostrzegła zmieszana, że śmieje się do kogoś, kto był kopią obu braci, tyle że w starszej wersji.

Bez wątpienia to ich ojciec - pomyślała Nell. Te same gęste ciemne włosy. Te same przyglądające się jej zielonkawe oczy, obramowane ciemnymi gęstymi rzęsami. Twarzy jego brakowało miękkości i dziecięcej krągłości, ale ta surowość była równie zajmująca.

Wysoki, trzymał się prosto, ramiona miał mocne, choć nie przesadnie umięśnione. Był

opalony i miał na sobie poplamiony podkoszulek. Zastanawiała się, czy też robi mu się dołeczek w lewym policzku, kiedy się śmieje.

- Pan Taylor. - Zamiast zejść po schodkach, zeskoczyła zwinnie ze sceny jak jakaś nastolatka. Wyciągnęła rękę ozdobioną pierścionkami.

- Panna Davis. - Ujął jej dłoń we własną, stwardniałą od pracy i niezbyt czystą, o czym sobie zbyt późno przypomniał. - Dziękuję, że pozwoliła pani zostać dzieciakom na próbie razem z Kim.

- Nie ma sprawy. Lepiej mi się pracuje z publicznością. - Odgarnąwszy włosy, spojrzała na bliźniaki. - No i jak, chłopaki, wypadliśmy?

- Całkiem nieźle - odparł Zek. - Świąteczne piosenki najbardziej się nam podobają.

- Mnie też.

Dołączyła do nich Kim, wciąż jeszcze podniecona myślą o swoim solowym występie.

- Cześć, wujku Mac. Widzę, że poznałeś pannę Davis.



- Owszem. - Nie miał wiele więcej do powiedzenia. Dalej uważał, że ona wygląda za młodo na nauczycielkę. Choć i nie na nastolatkę, jak mu się wcześniej zdawało. Ale jej nieskazitelnie jasna cera i drobna sylwetka mogły człowieka zmylić. I zachwycić.

- Pańska siostrzenica jest bardzo utalentowana. - Nell naturalnym gestem otoczyła Kim ramieniem. - Ma cudowny głos i znakomity słuch muzyczny. Bardzo się cieszę, że mam ją w zespole.

- My też ją lubimy - odrzekł Mac, a Kim zaczerwieniła się po uszy.

Zak przestępował z nogi na nogę. Czy oni muszą ciągle gadać o tej głupiej Kim, pomyślał.

- Może by nas pani kiedyś odwiedziła, panno Davis - wyskoczył nagle z propozycją. -

Mieszkamy w dużym brązowym domu przy Mountain View Road.

- Z przyjemnością - odrzekła, jednak zauważyła, że ojciec Zaka nie poparł zaproszenia ani nie wyglądał na szczególnie ucieszonego tym faktem. - A wy, chłopcy, zawsze będziecie tu mile widziani jako publiczność. Popracuj nad swoją solówką, Kim.

- Oczywiście, panno Davis. Dziękuję.

- Miło mi było pana poznać, panie Taylor. Gdy coś mamrotał w odpowiedzi, Nell wskoczyła z powrotem na scenę, aby pozbierać nuty.

Szkoda wielka, myślała, że ojciec nie jest równie czarujący i towarzyski jak jego synowie.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Nie ma chyba niczego przyjemniejszego od jazdy samochodem po wiejskiej drodze w ciepłe jesienne popołudnie. Nell przypomniła sobie swoje nowojorskie wolne soboty.

Niewielkie zakupy - przypuszczała, że jeśli za czymś będzie tęsknić, to właśnie za zakupami na Manhattanie - może jakiś spacer po parku. Żadnego joggingu. Po co miała biegać, jeśli spacerem i tak doszła w to samo miejsce.

A jazda autem była jeszcze lepsza. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że przyjemnie jest nie tylko mieć samochód, ale i pędzić nim po pustej szosie za miastem przy opuszczonych szybach i muzyce z radia.

Liście zaczęły się już zmieniać, bo był koniec września. Barwne plamy wypierały zieleni.

Na drodze, w którą skręciła wiedziona jakimś impulsem, nad asfaltem pochyłały się ogromne drzewa, tworząc wspaniałą cienistą kopułę. Plamki światła błyskały i migotały, gdy jechała zygzakiem po wijących się niby wąż zakrętach.

Dopiero wtedy spojrzała przed siebie i stwierdziła, że to Mountain View Road.

Duży brązowy dom - przypomniała sobie słowa Zaka. Tu, dwie mile od miasta, nie było wielu zabudowań, ale dostrzegła parę domów poprzez liście. Niektóre brązowe, inne białe lub niebieskie. Kilka stało na dnie doliny, reszta na zboczu, gdzie miały wykopane w ziemi dróżki dojazdowe.

Przyjemnie tu mieszkać, pomyślała. I wychowywać dzieci. Mac Taylor może i był sztywnym milczkiem, ale z synami świetnie sobie radził.

Nell zdążyła się już dowiedzieć, że sam się nimi zajmuje. Poznanie rytmu życia małego miasteczka zajęło jej niewiele czasu. Tu jakaś rozmowa, tam przypadkowe pytanie i urosła z tego cała historia rodziny Taylorów.

Mac mieszkał w Waszyngtonie, od czasu kiedy jego rodzice przenieśli się stąd, gdy był

jeszcze nastolatkiem. Sześć lat temu wrócił sam z dwójką malutkich dzieci. Jego starsza siostra kończyła college w Taylor's Grove, potem poślubiła miejscowego chłopaka i osiadła tu dawno temu. To ona właśnie, jak wszyscy zgodnie twierdzili, namówiła go do powrotu, by tutaj wychowywał synów po odejściu żony.

- Porzuciła takie maleństwa - opowiadała pani Hollis, spotkawszy Nell przy stoisku z pieczywem w supermarkecie. - Wyniosła się bez słowa i od tej pory się nie odezwała. A młody Mac Taylor dotąd jest dla nich jednocześnie i ojcem, i matką.

Może, pomyślała cynicznie Nell, gdyby od czasu do czasu rozmawiał ze swoją żoną, toby została. Jednak dla matki, która opuszcza niemowlęta i więcej się nimi nie interesuje, nie znalazła żadnego usprawiedliwienia. Niezależnie od tego, jakim mężem okazał się Mac, dzieci nie zasługiwały na taki los.

Myślała o nich teraz, tak zabawnie podobnych do siebie jak lustrzane odbicia. Zawsze przepadała za dziećmi, a te bliźniaki to była podwójna przyjemność. Bardzo cieszyła ją ich obecność na widowni podczas prób chóru, odbywających się raz lub dwa razy w tygodniu.

Zek pokazał jej nawet swoje pierwsze dyktando - z wielką srebrną gwiazdą. Gdyby nie przepuścił jednego słowa, jak twierdził, otrzymałby złotą.

Nie mogła też nie zauważyć nieśmiałych spojrzeń, którymi obdarzał ją Zak, czy szybkich uśmiechów, zanim zaczerwieniony opuszczał oczy. Miło jej było na myśl, że jest obiektem jego pierwszych dziecięcych uczuć.

Odetchnęła z zadowoleniem, gdy samochód wyjechał nagle spod baldachimu drzew na pełne słońce. Ujrzała tu wreszcie owe wznoszące się na tle błękitu nieba góry, od których ta droga wzięła nazwę. Szosa wiła się zygzakiem, a one stały niewzruszone, ciemne, odległe i majestatyczne.

Drogę z obu stron okalały pagórkowate wzniesienia ze sterczącymi gdzieniegdzie skałami. Nell zwolniła na widok domu stojącego na grzbiecie wzgórza. Brązowy.

Prawdopodobnie z cedru - pomyślała. Z kamienną podmurówką i z czymś, co przypominało szklaną

taflę, a okazało się tarasem na pierwszym piętrze, ocienionym drzewami. Na jednym z nich wisiała huśtawka.

Ciekawa była, czy to rzeczywiście posiadłość Taylorów. Miała nadzieję, że jej nowi mali przyjaciele mieszkają właśnie w takim solidnym, dobrze rozplanowanym domu. Właśnie minęła skrzynkę na listy umieszczoną obok szosy na skraju podłużnej doliny.

Przeczytała napis na skrzynce: M. Taylor i synowie.

Uśmiechnęła się na ten widok. Zadowolona wcisnęła pedał gazu i bardzo się zdziwiła, gdy autem szarpnęło, a silnik zaczął się krztusić.

- Co u licha? - mruknęła, po czym zwolniła pedał i przycisnęła ponownie. Tym razem samochodem zatrzęsło i stanął na amen. - A niech to!

Lekko zaniepokojona zaczęła przekręcać kluczykiem w stacyjce i przypadkiem spojrzała na tablicę. Lampka wskazująca poziom benzyny świeciła jasną czerwienią.

- Ale z ciebie kretynka - głośno powiedziała sama do siebie. - Kompletna kretynka.

Powinnaś zatankować przed wyjazdem z miasta.

Oparła się o siedzenie i westchnęła. Naprawdę zamierzała zatankować. Już wczoraj miała to zrobić zaraz po lekcjach.

Teraz zaś stała cztery, może pięć kilometrów za miastem bez kropli paliwa.

Zdmuchnęła włosy spadające jej na czoło i popatrzyła na dom Taylorów. Na oko kilometr lub dwa spaceru. Co jednak było lepsze niż pięć kilometrów. Ostatecznie została tam zaproszona.

Schowała kluczyki, wysiadła z samochodu i ruszyła dróżką w górę. Gdzieś w połowie zbocza spostrzegli ją chłopcy. Popędzili w dół skalistą ścieżką z taką szybkością, że serce zamierało jej ze strachu. A z tyłu za nimi biegł wielki żółty pies. Zwinni jak młode kozice stanęli przed nią.

- Panna Davis! Cześć, panno Davis! Przyszła pani nas odwiedzić?

- Tak jakby. - Ze śmiechem pochyliła się, by ich przytulić i poczuła delikatny zapach czekolady. Zanim cokolwiek zdążyła na ten temat powiedzieć, pies uznał, że pora przystąpić do działania. Był na tyle grzeczny, że położył jej swe wielkie łapy na udach, a nie na ramionach.

Zak wstrzymał powietrze, lecz zaraz odetchnął z ulgą, bo Nell zachichotała i pochyliła się, głaszcząc Zarka po głowie i grzbiecie.

- Jestem duży, prawda? Duży i piękny. Zark nie miał nic przeciwko tym pieszczotom.

Nell wychwyciła szybką wymianę spojrzeń między braćmi. Coś ich obu ucieszyło i poruszyło.

- Lubi pani psy? - zapytał Zek.

- Jasne. Może teraz sobie wezmę jakiegoś. W Nowym Jorku nie miałabym serca więzić go w mieszkaniu. - Tylko się roześmiała, gdy Zek usiadł i wyciągnął łapę. - Już za późno na formalności, kochasiu - powiedziała do niego, lecz uścisnęła ją mimo wszystko. -

Wyjechałam sobie za miasto i akurat na skraju waszej doliny skończyła mi się benzyna.

Czy to nie zabawne?

Twarz Zaka cała rozplynęła się w uśmiechu. Lubi psy. Stanęła akurat koło ich domu.

Był przekonany, że to coś więcej niż czary.

- Tata to załatwi. On wszystko potrafi. - Teraz już pewien, że Nell nie odejdzie, wziął ją za rękę. Zek, nie chcąc być gorszy, chwycił drugą.

- Tata jest w warsztacie, robi krzywe krzesło.

- Na biegunach? - zapytała Nell.

- Nieee... Krzywe krzesło. Możemy pójść zobaczyć.

Poprowadzili ją dookoła domu, a potem przeszli przez półkolisty pokój oświetlony popołudniowym słońcem. Z tyłu był drugi taras, skąd wiodły schodki na wyłożone kamiennymi płytami patio. Warsztat znajdował się w głębi podwórza, zbudowany tak samo z cedru, jak dom. Sprawiał wrażenie przestronnego na tyle, że pomieściłby czteroosobową rodzinę. Nell usłyszała stukanie młotka o drewno.

Podniecony Zek pędem wbiegł do warsztatu.

- Tato! Tato! Zgadnij, co się stało!

- Domyślam się, że odmłodziłeś mnie o następne pięć lat.

Nell, słysząc rozbawiony i łagodny głos Maca, zaczęła się wahać.

- Nie chciałabym przeszkadzać - powiedziała do Zaka. - Może po prostu zadzwonię na stację benzynową.

- Ależ nie, chodźmy. - Zak pociągnął ją parę kroków dalej, aż przeszła przez drzwi warsztatu.

- Zobacz! - oznajmił z dumą Zek. - Przyszła!

- Taaa... widzę. - Mac, zaskoczony niespodziewaną wizytą, odłożył młotek na stół.

Podwinął do góry daszek czapki i skrzywił się, choć wcale nie miał takiego zamiaru.

- Panna Davis.

- Przepraszam, że pana niepokoję, panie Taylor - zaczęła, a potem zobaczyła, nad czym pracuje.

- O, gięte krzesło - mruknęła z uśmiechem. - Krzywe krzesło. Ładne.

- Dopiero będzie ładne.

Zastanawiał się, czy powinien zaproponować jej kawę? Zwiedzanie domu? Czy jeszcze coś? Nie miała w sobie nic szczególnego. No, może oczy. Takie duże i ciemne. Ale reszta naprawdę była przeciętna. Uznał jednak, że to wszystko razem tworzy wyjątkową całość.

Nell niepewna, czy to jego taksujące spojrzenie bawi ją, czy raczej wprawia w zakłopotanie, zaczęła się tłumaczyć.

- Wyjechałam za miasto. Trochę dla przyjemności, a trochę, żeby poznać lepiej okolicę.

Mieszkam tu dopiero od paru tygodni.

- Naprawdę?

- Panna Davis jest z Nowego Jorku, tato - przypomniał mu Zak. - Kim ci już mówiła.

- Faktycznie. - Wziął znowu młotek, a potem odłożył. - Ładny dzień na przejażdżkę.

- Też tak uważam. Tak było ładnie, że tylko o tym myślałam i dlatego pewnie zapomniałam nabrać benzyny przed wyjazdem z miasta. Skończyła się akurat przy waszej dolinie.

- A to szczęśliwy traf - odrzekł z błyskiem podejrzenia w oczach.

- Niespecjalnie szczęśliwy. - Jej głos, choć ciągle przyjazny, trochę ochłódł. - Byłabym wdzięczna, gdybym mogła skorzystać z telefonu i zadzwonić na stację do miasta.

- Mam benzynę - mruknął.

- Widzi pani, mówiłem, że tata to załatwi - powiedział z dumą Zak. - Są czekoladowe ciasteczka - dodał, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by jakoś zatrzymać ją dłużej. - Tata upiekł.

Może pani spróbować.

- Tak mi się zdawało, że pachniecie czekoladą. - Podniosła Zaka do góry i powąchała mu buzię. - Mam do tego nosa.

Mac instynktownie wyrwał chłopca z jej ramion.

- Dostaniecie trochę ciasteczek, chłopaki. Idziemy po benzynę.

- Dobra! - Wszyscy się podnieśli.

- Nie zamierzałam go porwać, panie Taylor.

- Wcale tak nie twierdziłem. - Przy drzwiach odwrócił się do nich. - Benzyna jest w komórce.

Szła za nim z zaciśniętymi wargami.

- Prześladował pana w dzieciństwie jakiś nauczyciel, panie Taylor?

- Proszę mi mówić Mac. Po prostu Mac. Nie, dlaczego?

- Zastanawiałam się, czy mamy tu problem osobisty, czy zawodowy.

- Nie mam żadnego problemu.

Stał przed niewielką budką, gdzie trzymał kosiarkę i narzędzia ogrodnicze.

- Zabawne, dzieci powiedziały pani, gdzie mieszkamy, i pech chciał, że właśnie tu zabrakło pani benzyny.

Nell nabrała powietrza i patrzyła, jak pochyła się po kanister, prostuje i odwraca.

- Proszę mi wierzyć, nie jestem zachwycona tym, że tak się stało, a po przyjęciu, jakie mnie tu spotkało, jeszcze bardziej jest mi przykro. Tak się składa, że to mój pierwszy samochód i ciągle jeszcze o wielu sprawach zapominam. W tym miesiącu zabrakło mi benzyny przed supermarketem. Może pan sprawdzić.

- Przepraszam. - Czuł się głupio z powodu tej swojej niepotrzebnej złośliwości.

- Nie ma sprawy. Jeśli pożyczysz mi pan kanister, wezmę tylko tyle benzyny, by dojechać do miasta, tam go z powrotem napełnię i odwiozę.

- Sam się tym zajmę - mruknął.

- Nie chcę pana zmuszać do wychodzenia. - Sięgnęła po kanister i zaczęli go ciągnąć, każde do siebie. Po chwili w kąciu jego ust ukazał się dołeczek.

- Jestem trochę większy - rzekł z uśmiechem. Cofnęła się i odrzuciła włosy spadające na oczy.

- Świetnie. Niech więc pan będzie sobie mężczyzną. - Naburmuszona poszła za nim dookoła domu.

Próbowała zwalczyć ten swój zły nastrój, bo nadbiegli bliźniacy. Obaj trzymali papierowe serwetki z ciasteczkami.

- Tata piecze najlepsze czekoladowe ciasteczka na świecie - oznajmił Zak, podsuwając poczęstunek.

Nell wzięła jedno i spróbowała.

- Chyba masz rację - zmuszona była przyznać z ciasteczkiem w ustach. - Ale ja mam na takie ciastka

własny przepis.

- Umiesz piec ciastka? - chciał wiedzieć Zek.

- Tak się składa, że powszechnie jestem znana z moich czekoladowych chipsów. -

Uśmiechnęła się nieco zdziwiona, bo chłopcy potakując, znów wymienili spojrzenia. -

Możecie kiedyś przyjść do mnie, to szybko upieczemy je razem.

- A gdzie pani mieszka? - Ponieważ ojciec nie zwracał na nich zbytnej uwagi, Zek wepchnął sobie do buzi całe ciasteczko.

- Na Market Street, zaraz koło placu. Stary murowany dom z trzema gankami.

Wynajmuję górne piętro.

- Ten dom należy do taty - oznajmił Zak.

- Kupił go, wyremontował, a teraz wynajmuje. Mamy dużo nieruchomości.

- Och - głęboko westchnęła. - Rzeczywiście.

- Przecież swoje czeki z czynszem adresowała do firmy Taylora... na Mountain View Road.

- Czyli mieszka pani w naszym domu - podsumował Zak.

- Można tak powiedzieć.

- Podoba się tam pani? - zapytał Mac.

- Owszem. Bardzo wygodnie. Mam blisko do szkoły.

- Tata ciągle kupuje domy, a potem je remontuje. - Zek zastanawiał się, czy uda mu się wziąć kolejne ciasteczko. - Tatuś lubi sam wszystko urządzać.

Jej dom został odnowiony w sposób staranny i przemyślany, toteż było oczywiste, że ich ojciec świetnie zna się na takiej robocie.

- Więc jest pan cieślą? - spytała, niezbyt chętnie zwracając się do Maca.

- Bywam. - Dotarli do samochodu. Mac nieznacznie uniósł kciuk na znak, by chłopcy z psem nie wchodzili na szosę. Zaczął odkręcać korek od baku. - Jeśli zjesz jeszcze jedno, Zek, będę musiał ci zrobić płukanie żołądka - odezwał się, nie podnosząc wzroku.

Zek niechętnie, ociągając się, odłożył ciasteczko do serwetki.

- Świetny ma pan radar - skomentowała to Nell. Stała oparta o samochód, podczas gdy Mac dolewał

benzyny.

- Odpowiednio dostosowany do obszaru - odrzekł i spojrzał na nią. Wiatr rozwiewał jej połyskujące w słońcu włosy. Twarz miała zaróżowioną od marszu i świeżego powietrza.

Nie podobało mu się, że na ten widok szybciej zabiło mu serce.

- Dlaczego wybrała pani właśnie Taylor's Grove? To spory kawałek od Nowego Jorku.

- Właśnie dlatego. Chciałam jakiejś zmiany.

- Odetchnęła głęboko, patrząc na skałę, drzewo i wzgórze. - No i mam.

- Tu żyje się dość powoli w porównaniu z tym, do czego pani przywykła.

- To akurat bardzo mi odpowiada.

Tylko wzruszył ramionami. Podejrzewał, że najdalej za pół roku zacznie umierać z nudów i myśleć o wyjeździe.

- Kim zachwyca się pani lekcjami. Opowiada o nich prawie tak dużo, jak o swoim prawie jazdy.

- Pochlebia mi pan. To szkoła jest znakomita. Nie wszyscy uczniowie tak chętnie pracują jak Kim, ale lubię trudne zadania. Zamierzam wysłać ją na konkurs stanowy.

Mac uniósł wyżej kanister.

- Naprawdę jest taka dobra?

- Dziwi to pana?

Znów wzruszył ramionami.

- Zawsze uważałem, że ładnie śpiewa, ale poprzedni nauczyciel muzyki specjalnie jej nie wyróżniał.

- Podobno, jak mówią, nigdy nie zajmował się żadnym uczniem indywidualnie ani jakimiś dodatkowymi pracami.

- Słusznie mówią. Striker był starym... - tu ugryzł się w język, bo zobaczył, że stojący obok chłopcy cali zamienili się w słuch. - Był stary - poprawił się. - I uczył według jednego schematu. Zawsze ten sam program świąteczny i ten sam na wiosnę.

- Tak. Przeglądałam jego dzienniki lekcyjne. Mogę powiedzieć, że wszyscy w tym roku powinni być mile zdziwieni. Podobno dotąd żaden uczeń z Taylor's Grove nie brał udziału w konkursie stanowym.

- Z tego, co słyszałam, to nie.

- No więc my to zmienimy. - Zadowolona, że wreszcie zaczęli rozsądniej rozmawiać, odgarnęła



włosy do tyłu. - A pan śpiewa?

- Pod prysznicem. - Znow pokazał mu się dołek w policzku na widok rozchichotanych bliźniaków. - Żadnych uwag, brzdące.

- Naprawdę śpiewa, i to głośno - powiedział Zek, nie przejmując się pogrózką ojca. - A wtedy Zark zaczyna wyć.

- To musi być całkiem niezły występ. - Nell podrapała za uszami rozradowanego psa.

Ten zamerdał ogonem, a potem jakiś wewnętrzny impuls kazał mu się obrócić i pognać w górę zbocza.

- To dla pani, panno Davis, proszę. - Obaj chłopcy podali jej ciasteczka zawinięte w serwetki i pobiegli w ślad za psem.

- Raczej nie dadzą rady - mruknęła, obserwując, jak ścigają się z czworonogiem.

- Prawie pobili rekord. Lubią panią.

- Daję się lubić. - Uśmiechnęła się i popatrzyła na niego, lecz w jego oczach nie dostrzegła ani uśmiechu, ani w ogóle żadnej reakcji. - Na ogół. Jeśli zostawi mi pan ten kanister, to go napełnię na stacji.

- Nie ma sprawy. - Mac zakręcił korek od baku i zabrał pusty kanister. - Jesteśmy tu mili i uprzejmi... znaczy... tu w Taylor's Grove. Na ogół.

- To proszę mnie powiadomić, kiedy skończy się mój okres próbny. - Nachyliła się do wnętrza auta, by umieścić ciasteczka na fotelu.

Mac z udręką musiał patrzeć na jej opięte z tyłu dżinsy. Pachniała czymś delikatnie aromatycznym i ten zapach zakręcił mu w głowie bardziej niż opary benzyny.

- Nie miałem niczego takiego na myśli. Wysunęła się z powrotem z samochodu.

Oblizwała czekoladę z palca i wyprostowała się.

- Może i nie, w każdym razie dziękuję za pomoc. - Uśmiechnęła się promiennie, otwierając drzwiczki. - I za czekoladowe ciasteczka.

- Zawsze chętnie pomogę - usłyszał własne słowa, których wolałby nie mówić.

Usiadła za kierownicą.

- Cholernie chętnie - rzekła z szelmowskim uśmiechem. Przekręciła kluczyk w stacyjce i uruchomiła silnik w taki sposób, że Mac aż się skrzywił.

- Mógłbyś wpaść od czasu do czasu na próbę, Mac, zamiast czekać na parkingu.

Nauczyłbyś się czegoś. - Całkiem świadomie przeszła na ty i czekała na jego reakcję.

- Zapnij pas bezpieczeństwa - powiedział, również przechodząc na ty bez okazywania zdziwienia.

- Och, rzeczywiście. - Posłusznie się zapięła. - Po prostu jeszcze nie przywykłam.

Pożegnaj ode mnie chłopców.

Ruszyła na pełnym gazie, beztrąsko machając ręką przez okno.

Mac patrzył za nią, dopóki nie zniknęła za zakrętem, po czym powoli rozcierał

ściśnięte mięśnie w okolicy żołądka. Coś jest w tej kobiecie, pomyślał. Coś, co sprawiło, że poczuł się tak, jakby tajał po niezmiernie długiej hibernacji.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Jeszcze pół godziny, pomyślał Mac, i skończę tapetowanie największej sypialni.

Spojrzał na zegarek. Dzieci wróciły już ze szkoły. Ale dziś przychodzi pani Hollis i zostanie aż do piątej. Jest więc sporo czasu, żeby przykleić tapetę, umyć się i pojechać do domu.

Może zrobi sobie i dzieciom ucztę i przywiezie pizzę?

Nie miał nic przeciwko gotowaniu, ale wciąż nie lubił tracić na to czasu - obmyślać, przyrządzać, a później w dodatku zmywać. Po sześciu latach samotnego rodzicielstwa zaczął w pełni rozumieć, jak ciężko pracowała jego własna matka, tradycyjnie zajmująca się domem.

Przerwał na chwilę klejenie i okiem fachowca rozejrzał się wokół siebie. Rozebrał

ściany działowe, postawił inne, a pojedynczą szybę w oknie zastąpił podwójną. Przez dwa bliźniacze lufciki sączyło się słabe światło październikowego dnia.

Teraz ten stary dom miał trzy przestronne sypialnie na piętrze zamiast czterech klitek i zbyt dużego korytarza, które były tu przedtem. W części mieszkalnej powstanie jeszcze łazienka, mieszcząca wannę i osobną kabinę z prysznicem.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dom będzie zrobiony koło świąt, a wystawi się go na sprzedaż lub wynajem w pierwszych dniach nowego roku.

Właściwie należałoby go sprzedać, myślał Mac, gładząc tapetę położoną tego popołudnia. Powinien przewyciężyć tę chęć posiadania, pojawiającą się zawsze, gdy remontował dom.

To było u niego dziedziczne, jak sądził. Już jego ojciec zarabiał na życie, skupując zrujnowane i podupadłe nieruchomości, które odnawiał i wynajmował. Mac również odkrył, że wielką satysfakcję

daje posiadanie czegoś, co zrobiło się samemu własnymi rękami.

Na przykład ten stary budynek, gdzie teraz mieszkała Nell. Zastanawiał się, czy ona wie, że jego mury liczą ponad sto pięćdziesiąt lat, a więc to całkiem ładny zabytek.

Ciekaw był, czy znowu zabrakło jej benzyny. I wielu jeszcze rzeczy dotyczących Nell Davis.

A nie powinien, upomniał sam siebie i wziął się z powrotem do tapetowania. Kobiety to same kłopoty. Tak czy inaczej. Jedno spojrzenie na Nell wystarczy, by przewidujący mężczyzna doszedł do wniosku, że nie stanowi ona wyjątku.

Nie skorzystał z jej zaproszenia i nie wpadł do szkoły posłuchać fragmentu próby. Parę razy zamierzał to zrobić, ale zdrowy rozsądek odwiódł go od tego. Była pierwszą od bardzo dawna kobietą, która wywarła na nim wrażenie. Wcale nie chcę się angażować, myślał ze złością, klejąc brzeg tapety. Nie da rady. Za dużo obowiązków, za mało czasu i - co najważniejsze - dwóch synów, wokół których ogniskuje się jego życie.

Dość pomarzyć o kobiecie i już człowiek robi się nieuważny w robocie, roztargniony i...

roznamiętniony. A wdać się w coś z babą, jeszcze gorzej. Bo trzeba znaleźć temat do rozmów i wymyślać rozrywki. Kobieta pragnie, by ją gdzieś zabierać i rozpieszczać. A kiedy już się taką naprawdę pokocha, to zdolna jest złamać ci serce.

Mac nie miał ochoty ponownie wystawiać swego serca na niebezpieczeństwo, a tym bardziej narażać uczuć dzieci.

Nie podzielał tego idiotycznego poglądu, że dzieciom potrzeba kobiecej ręki i matczynej miłości. Matka jego bliźniąt od chwili ich urodzenia mniej była z nimi związana niż byle kotka ze swoimi kociętami. Kobiecość nie daje patentu na macierzyńskie uczucia.

Nawet jeśli ktoś jest zdolny urodzić dziecko, to nie znaczy, że od razu będzie umiał się nim opiekować.

Mac przerwał pracę i zaklął. Przez całe lata nie myślał o Angie. A raczej starał się mało myśleć. Kiedy próbował, okazywało się, że ciągle go to boli, jak źle zagojona rana. Pozwolił

małej blondynce zawrócić sobie w głowie i ma za swoje.

Zirytowany przykleił ostatnią rolkę tapety. Należy skupić się na pracy, a nie rozmyślać o kobietach. Postanowił dokończyć to, co zaczął, i zszedł na dół po schodach. Więcej rolek miał w ciężarówce.

Światło na dworze nikło w zapadającym zmierzchu. Dni są już krótsze, pomyślał.

Coraz mniej czasu.

Pokonywał ostatnie stopnie, kiedy ją zauważył. Stała w samym kącie podwórka i z lekkim uśmiechem oglądała dom. Była w zamszowym beżowym żakiecie i wytartych dżinsach. W uszach połyskiwały

jakieś kolczyki. Przez ramię miała przewieszoną teczkę, z wyglądu bardzo zużytą.

- O, cześć! - W jej oczach błysnęło zdziwienie, które natychmiast obudziło w nim czujność. - Czy to jedna z twoich nieruchomości?

- Owszem. - Wyminął Nell po drodze do ciężarówki. Pożałował, że w tym momencie nie wstrzymał oddechu. Znowu pachniała delikatnie i uwodzicielsko.

- Stoję i podziwiam. Piękna budowla. Wygląda solidnie i bezpiecznie wśród tych wszystkich drzew. - Głęboko odetchnęła. W powietrzu czuło się już jesień. - Zapowiada się piękna noc.

- Możliwe. - Wziął swoją rolkę, a potem tkwił w miejscu, obracając ją w rękach. - Czy znów zabrakło ci benzyny?

- Nie. - Roześmiała się sama z siebie. - Lubię spacerować po mieście o zmierzchu. A właściwie to szłam do twojej siostry. Mieszka parę domów stąd, prawda?

Zmrużył oczy. Nie podobało mu się, że kobieta, o której zbyt wiele już myślał, zadaje się z jego siostrą.

- Zgadza się. Dlaczego?

- Dlaczego? - Zwróciła uwagę na jego ręce. Było w nich coś. Mocne, twarde. Duże.

Poczuła jakiś przyjemny dreszcz. - Co... dlaczego?

- Dlaczego idziesz do Miry?

- Och, mam trochę nut, które mogłyby zainteresować Kim.

- Jak to? - Oparł się o samochód i patrzył na nią. Uznał, że jej uśmiech jest stanowczo zbyt miły. Zbyt pociągający. - Czy chodzenie po domach z nutami należy do twoich obowiązków?

- Należy do przyjemności. - Odgarnęła włosy targane leciutkim wiatrem. - Żadna praca nie jest warta wysiłku ani zachodu, jeśli cię to choć trochę nie bawi. - Obejrzała się na dom. - Ty też przecież masz z tego radość, no nie? Bierzesz coś bez wyrazu i przerabiasz po swojemu.

Już zaczął jakąś zdawkową odpowiedź, gdy uświadomił sobie, że Nell trafiła w samo sedno.

- Tak. Choć jak zdejmiesz sufit i leci ci deszcz na głowę, to nie zawsze wydaje się to zabawne.

- Uśmiechnął się leciutko. - Ale jednak jest.

- Pozwolisz mi obejrzeć? - Przechyliła głowę.

- Czy raczej należysz do tych wrażliwych artystów, co nie chcą pokazywać swego dzieła, póki nie będzie zupełnie gotowe?

- Tam nie ma wiele do oglądania. - Wzruszył ramionami. - Lecz oczywiście możesz wejść, jeśli ci zależy.

- Dziękuję. - Zaczęła iść, oglądając się za siebie, bo Mac został przy ciężarówce. - Nie pokażesz mi?

Znów wzruszył ramionami i poszedł za nią.

- Czy mój apartament też ty urządziłaś?

- Tak.

- Piękna robota. Wygląda jak wiśnia.

- Bo to jest wiśnia - rzekł nieco zdziwiony.

- Podobają mi się te zaokrąglone narożniki. Dodają wszystkiemu miękkości. Bierzesz dekoratora do kolorów czy sam je wybierasz?

- Sam wybieram. - Otworzył jej drzwi. - Coś nie tak?

- Ależ skąd, kolorystyka kuchni naprawdę jest bardzo ładna. Te jasnoniebieskie szafki i ta złamana błękitem czerwień podłogi. O, co za bajeczne schody! - Przebiegła przez niewykończony salon i stanęła tuż przy schodach.

Mac nieźle napracował się nad nimi. Musiał wyjąć stare i zastąpić nowymi z ciemnego orzecha. Zakręcił je i poszerzył na dole, tak że prawie wpływały do salonu. Były bez wątpienia przedmiotem jego dumy i radości.

- Ty to zrobiłaś? - mruknęła, przeciągając ręką po wygiętej w łuk poręczy.

- Stare były zniszczone i rozeschnięte. Należało je wymienić.

- Muszę je wypróbować. - Wbiegła na górę i tam odwróciła się do niego z uśmiechem. -

Nie trzeszczą. Porządna robota, ale niestety nie daje pola do sentymentalnych wspomnień.

- Sentymentalnych wspomnień? Nie rozumiem...

- No, wiesz, chodzi o te późniejsze wspomnienia domu z dzieciństwa, jak się człowiek skradał na dół i znał każdy stopień, wiedział, który należy ominąć, bo trzaśnie i obudzi mamę.

W tym momencie Mac poczuł, że ma kłopot z oddechem.

- Są z orzecha - powiedział tylko, gdyż nie był w stanie myśleć o niczym innym.

- I tak są piękne. Ktokolwiek tu zamieszka, powinien mieć dzieci.

Nieznośnie zaschło mu w ustach.

- Dlaczego? - wykrztusił.

- Dlatego. - Bezceremonialnie usiadła na poręczy i zaczęła zjeżdżać. Ręce Maca same się rozłożyły, kiedy ześlizgnęła się na dół. - Są wymarzone do zjeżdżania - powiedziała, łapiąc oddech i śmiejąc się radośnie.

Śmiała się, pochylając głowę do jego twarzy. Coś w niej drgnęło w środku, gdy ich oczy się spotkały. I powrócił jakiś niepokój, którego nie mogła opanować. Zmieszana odchrząknęła, by cokolwiek powiedzieć.

- Ciągłe zjawiasz się niespodziewanie - mruknął Mac. Powinien już ją puścić, ale ręce nie chciały słuchać głowy.

- To małe miasteczko.

W odpowiedzi tylko potrząsnął głową. Jego dłonie obejmowały ją teraz w talii i najwyraźniej zamierzały powędrować w górę pleców. Zdawało mu się, że zadrżała... ale to równie dobrze mógł drzeć on sam.

- Nie mam czasu na kobiety - oznajmił, próbując głównie siebie przekonać.

- W porządku. - Usiłowała przełknąć ślinę, lecz coś jakby uwięzło jej w gardle. - Ja też jestem bardzo zajęta. - Powoli odetchnęła. Te ręce głaszczące ją po plecach sprawiły, że osłabła. - Wcale mnie to nie interesuje. Miałam naprawdę zły rok, także w sprawach uczuciowych. Myślę...

Bardzo trudno było myśleć. Jego oczy miały taki piękny niebieskawy odcień i tak intensywnie się w nią wpatrywały. Nie bardzo wiedziała, co zobaczył ani czego szukał, za to czuła, że jej kolana prawie zmiękły.

- Myślę - zaczęła ponownie - że ulży nam obojgu, jeśli szybko i uczciwie się zdecydujesz, czy zamierzasz mnie pocałować, czy też nie. Nie wytrzymam tego dłużej.

On też nie mógł wytrzymać. Bez słowa skorzystał z okazji. We wszystkim był sumienny i rozważny. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami i gdy opuszczał głowę, i gdy poczuł

tchnienie jej ust, i gdy leciutko westchnęła.

Pociemniało jej w oczach. Jego pocałunek był miękki, pewny i przerażająco cierpliwy.

Z nikim nigdy tak się nie całowała. Nawet nie wiedziała, że ktokolwiek tak potrafi. Powoli, dojrzałe i marzycielsko. Prawie się zachwiała, kiedy delikatnie pieścił jej wargi.

Zadrżała, jęknęła i poddała się ekstazie.

Mac pojął, że może dla niej stracić głowę. Nell miała w sobie wielką moc. Ten smak, zapach, tkliwość były porażające. Całym swym drobnym, zgrabnym ciałem przylgnęła do niego. Jej ręce kurczowo ścisnęły mu ramiona. Za to głowę bezwładnie odchyliła do tyłu w jakimś geście poddania,

od którego krew się w nim burzyła.

Pragnął jej dotykać. Jego niecierpliwe dłonie pokonywały materiał warstwa po warstwie, aż odnalazły jasną gładką skórę. By wypróbować i siebie, i Nell, wsunął palce pod jej sweter, gdzie gładził miękkie, ciepłe ciało na plecach, a tymczasem usta trwały w tym długim, powolnym pocałunku.

Wyobrażał ją sobie leżącą na podłodze, na kocu, na trawie. Oczami duszy widział

siebie wpatzonego w jej twarz, kiedy razem zatapiają się w rozkoszy, marzył, by poczuć na sobie jej szelmowskie, szczere i oddane spojrzenie.

To trwa za długo, stwierdził, gdy mięśnie mu zeszywniały, a w płucach zabrakło tchu.

Po prostu za długo. Stąd te głupie rojenia.

Lecz nie bardzo w to wierzył. Więc się nieco przeraził.

Niepewnym ruchem podniósł głowę i odsunął do tyłu. Nawet gdyby chciał, nie mógł

się wycofać, bo ona opierała się o niego, a jej głowa spoczywała mu na piersi. Niezdolny do jakiegokolwiek sprzeciwu błędził palcami po jej włosach.

- Kręci mi się w głowie - szepnęła. - Co to było?

- Pocałunek, nic więcej. - Sam pragnąłby tak myśleć. Lżej by mu się zrobiło na sercu.

- Chyba zobaczyłam gwiazdy. - Wciąż oszołomiona przesunęła się, chcąc na niego popatrzeć. Wykrzywiła usta w uśmiechu, ale jej oczy się nie śmiały. - To dla mnie nowość.

Obawiał się, że jeśli szybko tego nie zakończy, znów ją pocałuje. Postawił ją mocno na podłodze.

- To niczego nie zmienia.

- A miało się coś zmienić?

Zrobiło się prawie ciemno. Lepiej, że nie mógł jej widzieć wyraźnie w półmroku.

- Nie mam czasu na kobiety. I nie mam chęci czegokolwiek zaczynać.

- Ach tak. - Skąd ten ból, zastanawiała się, powstrzymując siłą dłoń, by nie rozcierała okolicy serca.

- To był całkiem niezły pocałunek, jak na kogoś niezainteresowanego kobietami. - Schyliła się po teczkę, którą rzuciła, gdy wbiegała na schody. - Zejdę ci z drogi. Nie chciałabym, abyś tracił swój cenny czas z mojego powodu.

- Nie musisz się zaraz obrażać.

- Obrażać! - Z zaciśniętymi zębami dźgnęła go palcem w pierś. - Daleka jestem od tego, przyjacielu, i postaram się o tym zapomnieć. Ależ ty jesteś zarozumiały, Mac. Czy sądzisz, że przyszedłam tu, by cię uwieść?

- Nie wiem, dlaczego przyszłaś.

- W porządku, więcej nie przyjdę. - Zawiesiła teczkę na ramieniu i zuchwale uniosła podbródek. - Nikt cię nie zmuszał, rąk ci nie wykręcał.

W duszy Maca pożądanie mieszało się z poczuciem winy.

- Ciebie też.

- Wcale się nie chcę usprawiedliwiać. Ale wiesz, nie mogę sobie wyobrazić, jak taki nieczuły głaz mógł wychować dwójkę uroczych, przemiłych dzieci.

- Chłopców w to nie mieszaj - rzekł ostrym tonem.

Zmrużyła ze złością oczy.

- Och, więc i na nich zastawiłam sidła, co? Ty idioto! - Ruszyła gwałtownie do drzwi, obracając się w ostatniej chwili, by go ostatecznie pognębić. - Mam nadzieję, że nie odziedziczyli po tobie tego spaczzonego poglądu na kobiety! - Trzasnęła drzwiami dostatecznie mocno, by jej gniew odbił się echem po całym domu.

Naburmuszony Mac wsunął ręce do kieszeni. Do diabła, wcale nie miał spaczzonego poglądu. A dzieci to jego sprawa.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Nell stanęła na środku sceny i uniosła ręce. Czekwała, aż wszyscy uczniowie skupią wzrok na niej, a potem już mogą zacząć śpiewać.

Niewiele rzeczy cieszyło ją bardziej od młodych głosów rozbrzmiewających w chóralnej pieśni. Podczas dyrygowania chłonęła te dźwięki z wyostrzoną uwagą. Nie umiała powstrzymać uśmiechu. Dzieci wykonywały właśnie utwór „Święty Mikołaj przybywa do miasta” w nowoczesnej wersji zespołu Bruce'a Springsteena, co było odstępstwem od kanonu tradycyjnych kolęd, prezentowanych rokrocznie przez poprzedniego nauczyciela.

Widziała błysk radości w ich oczach, gdy złapali wspólny rytm. Zaakcentujcie to mocniej, pomyślała, zmuszając sekcję basów, która włączyła się teraz, do większego wysiłku. Niech wam to sprawia radość. Teraz sopran, wyżej i czystiej...

I alty... Tenory... Basy...

Uśmiechnęła się promiennie, by wyrazić zadowolenie z postępów chóru.



- Dobra robota - oznajmiła. - Tenory... następnym razem proszę trochę głośniej, dobrze? Chyba nie chcecie, chłopaki, żeby was basy zagłuszyły. Holly, znowu opuszczasz głowę. Jest jeszcze trochę czasu, więc powtórzmy sobie „Na święta wrócę do domu”.

Kim?

Kim próbowała nie zwracać uwagi na lekki ucisk w sercu i trącający ją łokieć Holly.

Wystąpiła ze swojego miejsca w drugim rzędzie i stanęła przed mikrofonem z miną, jakby to był pluton egzekucyjny.

- Dobrze jest się uśmiechać, wiesz? - pouczyła ją łagodnie Nell. - I pamiętaj o oddechu.

Śpiewaj aż do końca i nie zapomnij ze zrozumieniem podawać tekstu. Tracy! - Wskazała ręką w stronę pianistki, którą wyciągnęła z drugiej klasy muzycznej.

Pieśń zaczynała się cicho. Za pomocą rąk, twarzy i oczu Nell dała sygnał do łagodnego harmonijnego akompaniamentu. Potem włączyła się Kim. Z początku zbyt nieśmiało. Nell wiedziała, że nad tymi nerwami na wstępie trzeba będzie jeszcze popracować z Kim. Ale dziewczyna miała talent i uczucie. Po paru taktach tak była skupiona na pieśni, że przestała się denerwować. Całkiem dobrze jej wychodzi, stwierdziła z zadowoleniem Nell.

Kim sporo się przez ostatnie tygodnie nauczyła. Ta sentymentalna pieśń pasowała do jej osobowości i wyglądu. Nell wprowadziła chór, trzymając go w tle. Podkreślał on teraz bogaty, romantyczny głos Kim. Oczy Nell zwilgotniały i wtedy pomyślała sobie, że jeśli wykonają to dobrze podczas koncertu, to żadne oko na sali nie pozostanie suche.

- Prześlicznie - rzekła Nell, gdy ucichły ostatnie akordy. - Naprawdę prześlicznie. Wy, chłopcy, zrobiliście wielkie postępy w ostatnim czasie. Strasznie jestem z was dumna. A teraz możecie się rozejść, życzę udanego weekendu.

Kiedy Nell podeszła do pianina, aby zebrać nuty, za jej plecami zaczęły się rozmowy.

- Dziś śpiewałaś naprawdę dobrze - powiedziała Holly do Kim.

- Serio?

- Serio. Brad też tak uważa. - Holly ostrożnie spojrzała na przyjaciółkę wkładającą szkolny sweter.

- On nawet nie wie o moim istnieniu.

- Wie, wie. Wpatrywał się w ciebie przez cały czas. Widziałam, bo ja patrzyłam na niego. - Holly westchnęła. - Gdybym wyglądała jak panna Davis, to może patrzyłby wtedy na mnie.

Kim roześmiała się, ale spod spuszczonej rzęs rzuciła okiem na Brada.

- Ona jest naprawdę cudowna. Jak ona mówi i tłumaczy. Pan Striker zawsze się złościł.

- Bo był złoŃnikiem. No to na razie, co?

- Tak. - Więcej Kim nie zdołała powiedzieć, poniewaŹ wydało jej się, i to całkiem wyraźnie, Źe Brad idzie do niej. I patrzy na nią.

- Cześć. - Błysnął uśmiechem, ukazując białe zęby z jednym krzywym na przedzie. Na ten widok serce Kim zabiło niespokojnie. - Byłaś naprawdę dobra.

- Dziękuję. - Płatał się jej język. To przecieŹ Brad. Z najstarszej klasy. Kapitan druŹyny futbolowej. Przewodniczący samorządu. I w dodatku blondyn o zielonych oczach.

- Panna Davis jest super, no nie?

- Taaak - odrzekła, uświadamiając sobie z przeraŹeniem, Źe nie wolno jej na tym skończyć rozmowy. - Dziś wieczorem przyjdzie do nas na przyjęcie. Mama zaprosiła kilka osób.

- Tylko starzy, co?

- Nie. Wpadnie Holly i jeszcze trochę ludzi. - Serce Kim łomotało, lecz w końcu zebrała się na odwagę. - Możesz zajść, jeśli chcesz.

- Byłoby ekstra. O której?

Udało się jej zamknąć usta i przełknąć.

- Och, około ósmej - powiedziała, siłąc się na obojętny ton. - Mieszkam...

- Wiem, gdzie mieszkasz. - Znow się do niej uśmiechnął, a jej serce nieco się uspokoiło. - Czy ty moŹe chodzisz jeszcze z Chuckiem?

- Chuck? - A kim dla niej był Chuck? - Spotykaliśmy się trochę, ale latem jak gdyby zerwaliśmy.

- Świetnie. To na razie.

Odszedł wolnym krokiem do grupy kolegów schodzących ze sceny.

- To bardzo fajny gość - orzekła Nell zza pleców Kim.

- Tak - westchnęła Kim z błyskiem w oku.

- Kimmy ma chłopaaka... - zaśpiewał Zek cienkim, denerwującym głósiem, którym zwracał się zazwyczaj do maluchów albo... do swoich kuzynek.

- Zamknij się, pędraku.

Tylko zachichotał i podśpiewując ten refren, zaczął tańczyć na scenie. Nell dostrzegła w oczach Kim mordercze zamiary, więc szybko postarała się coś wymyślić.

- Zdaje mi się, chłopaki, że nie macie dziś ochoty poćwiczyć „Jingle Bells”?

- Mamy! - Zak przestał wirować z bratem po scenie i rzucił się do pianina. - Wiem, które to są - obwieścił, rozgarniając bezceremonialnie równiutki stosik nut Nell. - Mogę poszukać.

- Ja znajdę! - włączył się Zek, ale brat już triumfalnie wymachiwał nutami.

- Trafiło ci się. - Nell usiadła przy pianinie, a bliźniacy stanęli z obu stron. Zagrała z uczuciem pierwszy mocny akord, po którym zachichotali.

- Proszę, muzyka to poważna sprawa. I raz, i dwa i...

Chłopcy w tej chwili naprawdę to śpiewali, a nie piszczeli, jak za pierwszym razem, gdy ich poprosiła, by spróbowali. Braki w interpretacji nadrabiali entuzjazmem. Z pełną swobodą.

Nawet Kim się uśmiechnęła, zanim skończyli.

- A teraz niech pani coś zaśpiewa, panno Davis.

- Zak posłał jej wymowne spojrzenie. - Proszę.

- Wasz tata pewnie już czeka.

- Tylko jedną piosenkę.

- Tylko jedną - wtórował Zek.

W ciągu tych krótkich paru tygodni tak ich polubiła, że nie była w stanie długo opierać się ich prośbom.

- Ale tylko jedną - zgodziła się i sięgnęła do rozrzuconych przez chłopców nut. -

Wybrałam coś, co się wam spodoba. Założę się, że widzieliście „Małą syrenkę”?

- Wiele razy - ucieszył się Zek. - Dostaliśmy kasetę.

- No więc zgadniecie, co to jest. - Zagrała początek piosenki „Część twojego świata”.

Mac, stojąc na wietrze, kulił ramiona i w końcu ruszył w stronę szkoły. Miał szczerze dosyć tego wyczekiwania na parking. Inne dzieci wyszły już ponad dziesięć minut temu.

Tyle dziś jeszcze spraw, do cholery. Najgorsze, że musi wpaść wieczorem na przyjęcie u Miry.

Nienawidził przyjęć.

Zagniewany maszerował korytarzem. I wtedy ją usłyszał. Nie mógł rozpoznać słów dobiegających z zamkniętej sali. Ale rozpoznał głos - bogaty i głęboki. Jak whisky z lodem

- myślał. Zmysłowy, uwodzicielski. Sexy.

Otworzył drzwi. Musiał. I ten głos przetoczył się falą ponad nim.

Piosenka dla dzieci. Teraz poznał. To z filmu o syrence, za którym chłopcy wciąż szaleli. Żaden normalny mężczyzna - wmawiał sobie - nie powinien dać się omotać kobiecie śpiewającej dziecinną piosenkę.

Jednak on nie czuł się całkiem normalnie od czasu, gdy popełnił wielki błąd i ją pocałował.

Wiedział też, że gdyby była teraz sama, podszedłby prosto do pianina i zrobił to jeszcze raz.

Ale nie była sama. Za nią stała Kim, a jego dzieci po bokach. Śpiewając, popatrywała chwilami w ich stronę i uśmiechała się. Zak nachylał się do niej i przekrzywiał głowę w taki sposób, jak to robił zwykle, gdy wdrapywał mu się na kolana.

Na ten widok coś poruszyło mu się w środku. Coś bolesnego i przerażającego. A zarazem bardzo, bardzo słodkiego.

Mac - wstrząśnięty - schował ręce do kieszeni i zacisnął je w pięści. Trzeba z tym skończyć. Niezależnie, co się z nim stanie, trzeba to natychmiast skończyć.

Wziął głęboki oddech, lecz właśnie muzyka umilkła. Zdawało mu się - choć z całą pewnością było to tylko głupie przywidzenie - że coś czarodziejskiego jeszcze unosi się w ciszy.

- Jesteśmy spóźnieni! - zawołał, zdecydowany przerwać ten czar.

Cztery głowy odwróciły się w jego stronę. Bliźniacy zaczęli podskakiwać na ławce.

- Tato! Hej, tato! Umiemy naprawdę dobrze zaśpiewać „Jingle Bells”! Chcesz posłuchać?

- Nie mogę. - Próbował się uśmiechnąć, by złagodzić ten zawód Zakowi, którego buzia wygięła się w podkówkę. - Naprawdę jestem spóźniony, kochani.

- Przepraszam, wujku Mac. - Kim nakładała palto. - Jakoś straciliśmy poczucie czasu.

Kiedy Mac niepewnie się kręcił, Nell pochyliła się i coś szepnęła chłopcom. Coś, po czym u Zaka znów pokazał się uśmiech, a z twarzy Zeka zniknął wyraz buntu. Obaj objęli ją i pocałowali, a później zbiegli ze sceny po palto.

- Do widzenia, panno Davis! Do widzenia!

- Dziękuję, panno Davis - dodała Kim. - Do zobaczenia.

Nell zanuciła i wstała, aby poskładać papiery. Przez całą długą drogę do wyjścia z sali Mac odczuwał to lodowate zachowanie Nell.

- Ach, bym zapomniał... Dziękuję, że pani ich zabawiła! - zawołał przy drzwiach.

Nell uniosła głowę. Widział ją wyraźnie w światłach sceny. Tak wyraźnie, że zanim się znów pochyliła, mógł dostrzec uniesione brwi i chłodny wyraz ust bez uśmiechu.

I bardzo dobrze, powiedział sobie, jadąc z chłopcami do domu. Wcale nie miał ochoty z nią rozmawiać.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Nie powinna go tak totalnie ignorować. Mac napił się jabłecznika, który wmusił w niego szwagier, i urażony kontemplował plecy Nell.

Od godziny nie odwróciła się w jego stronę.

Do diabła z jej plecami, myślał, z roztargnieniem słuchając, co burmistrz głądził koło jego ucha. Powyżej tych pleców płynną linią rysowały się proste i gładkie ramiona. Nell wyglądała bardzo powabnie w cienkim żakiecie koloru gruszki, nałożonym na dopasowaną krótką sukienkę.

Miała wspaniałe nogi. Nie sądził, żeby widział je już wcześniej. Musiałby to zapamiętać. Przedtem, jak na siebie wpadali, zawsze była w spodniach. Dziś wieczorem włożyła sukienkę chyba tylko po to, żeby go dręczyć.

Mac uciął w połowie zdania rozmowę z burmistrzem i podszedł do Nell.

- Wiesz, to jest głupie.

Nell podniosła wzrok. Właśnie była w trakcie miłej konwersacji z przyjaciółmi Miry, a zarazem nieźle bawiło ją to unikanie Maca.

- Przepraszam?

- To po prostu głupie - powtórzył.

- Zbieranie pieniędzy na zajęcia artystyczne w publicznej szkole jest głupie? - spytała, doskonale wiedząc, że nie to miał na myśli.

- Co? Nie. Do diabła, wiesz, o co mi chodzi.

- Przepraszam. - Zaczęła się wycofywać w stronę grupki osób stojących w pobliżu, ale złapał ją za ramię i popchnął na bok.

- Chcesz wywołać awanturę w domu siostry? - wycodziła Nell przez zęby.

- Nie. - Torował sobie drogę wśród gości, idąc wokół stołu w jadalni i przez drzwi do kuchni. Tam jego siostra uzupełniała właśnie tacę z kanapkami.

- Zostaw nas samych na chwilę - rozkazał Mirze.

- Widzisz przecież, że jestem zajęta, Mac.

- Rozkojarzona Mira przyglądała dłonią swoje gładkie, krótko ostrzyżone włosy. - Nie mógłbyś poszukać Dave'a i powiedzieć mu, że jabłecznik się kończy? - Kwaśno uśmiechnęła się do Nell. - Myślałam, że jestem lepiej zorganizowana.

- Zostaw nas na minutę - powtórzył Mac. Mira parsknęła niecierpliwie, zmarszczyła brwi, lecz zaraz złagodniała.

- Dobrze, dobrze - mruknęła rozbawiona i wyraźnie zadowolona. - Już się stąd wynoszę. Muszę rzucić okiem na tego chłopaka, którym tak zachwyca się Kim. - Zabrała tacę z przekąskami i pozęgłowała w stronę drzwi. Zapadła pełna napięcia cisza.

- No więc... - Nell sięgnęła od niechcienia do miseczki po marchewkę. - O co ci chodzi?

- Nie rozumiem, dlaczego musisz być tak...

- Tak? - Ugryzła marchewkę. - Co tak?

- Postanowiłaś nie odzywać się do mnie.

- Owszem - odrzekła z uśmiechem.

- To głupie.

Znalazła otwartą butelkę białego wina i naląła trochę do kieliszka. Wypiła łyk i znów się uprzejmie uśmiechnęła.

- Wcale tak nie uważam. Wydaje mi się, że z jakichś niejasnych powodów działam ci na nerwy. A ponieważ bardzo lubię twoją rodzinę, to chyba rozsądnie i uprzejmie będzie trzymać się od ciebie z daleka. - Jeszcze raz się napiła. - Czy to już wszystko? Świetnie się bawię na tym przyjęciu.

- Nie działasz mi na nerwy. Z całą pewnością. - Nie wiedział, co ma zrobić z rękami, więc chwycił marchewkę i przełamał ją na pół. - Przepraszam... za tamto...

- Przepraszasz za to, że mnie pocałowałeś, czy za to, że potem zachowałeś się jak dureń?

Rzucił na stół kawałki marchewki.

- Twarda jesteś, Nell.

- Zaczekaj. - Otworzyła szeroko oczy i przyłożyła sobie dłoń do ucha. - Chyba coś niedobrego dzieje się z moim słuchem. Przez moment zdawało mi się, że właśnie wymówiłeś moje imię... ale chyba się przesłyszałam...

- Przestań... - powiedział, a po namyśle dodał - Nell.

- Co za chwila - rzekła z patosem w głosie i wzniosła toast. - Macauley Taylor naprawdę zaczął ze mną rozmawiać, a w dodatku zwracać się do mnie po imieniu. Jestem tym do głębi poruszona.

- No wiesz! - Zirytowany krążył tam i z powrotem wzdłuż kuchennego blatu. O mało jej nie popchnął ze złością, ale udało mu się w porę powstrzymać gniew. - Po prostu chcę oczyścić atmosferę.

Zafascynowana przypatrywała się jego kamiennej teraz twarzy.

- Masz niezły mechanizm kontrolny w środku. Podziwiam. Choć zastanawiam się, co by się stało, gdybyś go tak często nie włączał.

- Człowiek, który sam wychowuje dwójkę dzieci, musi umieć się kontrolować.

- Domyślam się - mruknęła. - A teraz, jeśli to wszystko...

- Przepraszam cię - odezwał się znowu. Tym razem złagodniała. Nie umiała długo odczuwać urazy.

- W porządku. Po prostu zapomnijmy o tym.

Zostańmy przyjaciółmi - zaproponowała i wyciągnęła dłoń.

Ujął ją za rękę, która była taka bezbronna, taka mała, że znów nie mógł się powstrzymać. Jej oczy też teraz złagodniały. Wielkie wilgotne oczy, jak u łani.

- Wyglądasz... ładnie.

- Dziękuję. Ty również.

- Podoba ci się przyjęcie?

- Lubię tych ludzi. - Poczowała szybkie bicie pulsu. Ale niech on sobie nie myśli. - Masz wspaniałą siostrę. Tyle w niej energii i ma tyle różnorodnych pomysłów.

- Powinnaś na nią uważać. - Lekko się skrzywił. - Bo cię zaangażuje do jakiegoś swojego projektu.

- Za późno. Już mnie zwerbowała do komitetu sztuki. I zgodziłam się na ochotnika pomóc jej w kampanii na rzecz recyklingu.

- Trzeba umieć się wykręcać.

- Wcale mi to nie przeszkadza. Może nawet mi się spodoba?

Leciutko pogłaskał kciukiem jej rękę.

- Mac, nie zaczynaj tego, czego nie zamierzasz skończyć.

Sciągnął brwi i spojrział na ich dłonie.

- Myślę o tobie, a nie mam czasu o tobie myśleć. I nie chcę mieć czasu.

Znów zaczynała czuć podniecenie i przeszywały ją dreszcze.

- A czego chcesz?

Utkwił w niej wzrok.

- Mam z tym pewien kłopot.

Drzwi do kuchni nagle się otwały i stłoczył się w nich tabun młodzieży przytrzymywany przez Kim, stojącą na przedzie.

Kim osłupiała, ujrawszy, jak wujek puszcza rękę nauczycielki i oboje odskakują od siebie, niby ściskające się nastolatki przyłapane na kanapie w salonie.

- Przepraszam, och, przepraszam! - powiedziała ze śmiechem. - Właśnie mieliśmy... -

Zawróciła na pięcie i krzyknęła do tłoczących się za nią młodych ludzi: - Już was tu nie ma!

Wszyscy z chichotem uciekli.

- No, to teraz będzie temat do plotek - skrzywiła się Nell. Mieszkała w miasteczku wystarczająco długo, by wiedzieć, że już jutro od samego rana wszyscy zaczną gadać o Macu Taylorze i Nell Davis.  
- Słuchaj, dlaczego nie spróbujemy porozmawiać gdzieś w jakimś miłym, spokojnym miejscu?

- Randka? Prosisz mnie o randkę? - spytał zdumiony.

Straciła cierpliwość.

- Tak, o randkę. To nie znaczy, że od razu chcę ci urodzić więcej dzieci. Zresztą może lepiej dajmy sobie z tym spokój.

- Chciałbym cię dostać w swoje ręce - usłyszał Mac własne słowa i za późno już było, aby je cofnąć.

Nell w obronnym geście sięgnęła po wino.

- No cóż, to proste.

- Wcale nie jest proste.

Objęła się ramionami i znów spojrzała na niego.

- Nie - zgodziła się cicho. Zastanawiała się, ile razy w zeszłym tygodniu widziała w myślach twarz Maca. Trudno policzyć. - To nie jest proste.



Uznał, że jednak coś powinien zrobić. Krok do przodu, krok do tyłu. Musi wreszcie zdecydować się na jakiś krok. I zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Nie pamiętam już, kiedy byłem w kinie bez dzieci... Trzeba by chyba kogoś z nimi zostawić.

- W porządku. - Przyglądała mu się niemal tak samo uważnie jak on jej. - Zadzwoń, jeśli się namyślisz. Jutro prawie cały dzień siedzę w domu i sprawdzam prace.

Powrót do randek nie był dla niego najłatwiejszy. Irytowało go własne zdenerwowanie, irytowały uśmiešky i pytania siostrzenicy, gdy zgodziła się pilnować dzieci.

Szedł teraz po zewnętrznych schodach do mieszkania Nell na drugim piętrze i zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby oboje zapomnieli o całej sprawie.

Kiedy znalazł się przed jej drzwiami, zauważył, że ustawiła tam dwie doniczki z chryzantemami. Ładny akcent - pomyślał. Zawsze cenił tych swoich lokatorów, którym zależało na wyglądzie domu i starali się o takie miłe akcenty.

Idą tylko do kina, przypomniał sobie i zapukał. Otworzyła mu zwyczajnie ubrana - w sweter i wąskie spodnie. Ulżyło mu na ten widok. Potem się uśmiechnęła, a jemu zaschło w ustach.

- Cześć. Jesteś bardzo punktualny. Chcesz wejść, aby zobaczyć, jak sobie urządziłam twoje mieszkanie?

- Ono jest twoje, dopóki płacisz czynsz - odrzekł, a ona się wychyliła, wzięła go za rękę i pociągnęła do środka.

Mac zlikwidował w tym apartamencie ściany, dzielące wyjątkowo ciasne pokoje, i stworzył jednolitą przestrzeń, gdzie salon płynnie przechodził w jadalnię, a potem w kuchnię. A Nell umiała to wszystko zagospodarować.

Była tam duża narożna kanapa o śmiałym kwiatowym wzorze, która miał szokować, idealnie pasowała do wnętrza. Pod oknem stał niewielki stolik z wazonem pełnym kolorowych suchych liści. Regały wzdłuż ściany pomieściły książki, wieżę stereo, mały telewizor i rozmaite kobiece drobiazgi.

Jadalnię przekształciła Nell w pokój muzyczny i gabinet do pracy z biurkiem i małym szpinetem. Na stosiku nut leżał flet.

- Niewiele przywiozłam z Nowego Jorku - odezwała się, nakładając żakiet. - Tylko to, na czym naprawdę mi zależało. Najchętniej wynajduję różne rzeczy w sklepach z antykami i na pchlich targach.

- My też tam mnóstwo kupiliśmy - mruknął Mac. - Wygląda to dobrze. I wygodnie.

Rzeczywiście, dobrze to wyglądało. Używany, wyblakły kilim na podłodze, a w oknach stylo - nowe firaneczki.

- Wygoda ma dla mnie duże znaczenie. Jesteś gotowy, możemy iść?

- Jasne.

W sumie te odwiedziny nie okazały się takie trudne.

Poprosił, żeby sama wybrała film. Poszli na komedię. Zdziwiająco dobrze było mu siedzieć w ciemności, razem się śmiać i razem jeść prażoną kukurydzą.

Przez cały seans wielokrotnie myślał tylko o Nell. Że to bardzo atrakcyjna kobieta.

Późniejszy wypad na pizzę uznał za zupełnie naturalną kolej rzeczy. Zdobyli stolik w zatłoczonej pizzerii, gdzie młodzież tłumnie umawiała się wieczorem na randki.

- No więc - rzekła Nell, sadowiąc się wygodnie - jak tam postępy Zeka w dziedzinie ortografii?

- To nieustająca walka. On naprawdę bardzo się stara. Zabawne, Zak potrafi od razu napisać poprawnie prawie wszystko, co mu się powie, a Zek ślęczy nad każdym słowem, jak uczonec nad starożytnym pergaminem.

- Za to jest dobry w arytmetyce.

- Tak. - Mac nie był pewien, czy podoba mu się, że ona tyle wie o jego chłopcach. -

Obaj bardzo cię lubią.

- Nawzajem się lubimy. - Odgarnęła ręką włosy. - To zabrzmiało dziwnie, ale... -

zawahała się, bo nie umiała znaleźć właściwych słów - ale pierwszego dnia na próbie, kiedy rozglądając się, ujrzałam ich, miałam takie uczucie, no... nie wiem, coś w rodzaju:

„Och, nareszcie jesteście, ciekawa byłam, kiedy się pojawicie”. Brzmi to dziwnie, bo to było tak, jakbym się ich spodziewała. A teraz, gdy Kim czasem przychodzi sama, odczuwam jakiś zawód.

- Chyba po prostu przyzwyczaiłaś się do nich. To było coś więcej, lecz Nell nie wiedziała, jak mu to objaśnić. I nie miała pewności, czy Macowi spodoba się fakt, że po prostu się w nich zakochała.

- Strasznie lubię, jak mi opowiadają o szkole i pokazują zeszyty.

- Pierwsze cenzurki są tuż, tuż. - Uśmiech mu zgasł na twarzy. - Bardziej się denerwuję od nich.

- Zbyt dużą wagę przywiązuje się do stopni. Zdziwiony uniósł brwi.

- I to mówi nauczyciel?

- Indywidualne zdolności, pracowitość, wysiłek, zachowanie. To jest o wiele ważniejsze niż piątka, czwórka czy trójka. Ale mogę ci w zaufaniu powiedzieć, że Kim ma piątkę ze śpiewu i z historii

muzyki.

- Nie żartujesz? - Poczuł nagły przypływ dumy. - Przedtem nigdy nie była taka dobra.

Najwyżej na czwórkę.

- Pan Striker i ja mamy wyraźnie inne podejście do zajęć.

- Mnie to mówisz! W mieście gadają, że chór w tym roku to dynamit. Jak ci się to udało?

- Dzieciom się udało - odrzekła i w tym momencie właśnie podali pizzę. - Musiały tylko zacząć myśleć i śpiewać jako jeden zespół. Moim zadaniem było ich tego nauczyć. A nie krytykować pana Strikera - dodała, biorąc sobie spory kawałek pizzy. - Mam wrażenie, że on po prostu chciał tylko dotrzeć do emerytury. Jeśli zamierzasz uczyć dzieci, musisz je lubić i szanować. Mnóstwo jest wśród nich talentów, tylko że często są jak surowe diamenty, niektóre zupełnie nieoszlifowane. - Kiedy się roześmiała, zaróżowiły się jej policzki. - Niestety, część z tych dzieci będzie potem przez resztę życia śpiewać wyłącznie pod prysznicem, za co świat powinien być im wdzięczny.

- Masz takich, którym słoń nadepnął na ucho?

- No... - znów się roześmiała. - Jest kilku. Ale przynajmniej dobrze się bawią. I to się liczy. Mam też kilkoro, jak Kim, którzy naprawdę są wyjątkowi. W przyszłym tygodniu zamierzam posłać ją i jeszcze dwoje uczniów na eliminacje stanowe. A po świątecznym koncercie zrobię przesłuchania do wiosennego musicalu.

- Nie mieliśmy musicalu w naszym liceum już od trzech lat.

- W tym roku będzie. I będzie wspaniały.

- Więc czeka cię sporo pracy.

- Lubię to. I za to mi płacą.

Mac bawił się drugim kawałkiem pizzy.

- Naprawdę lubisz? Tę szkołę, to miasto, i w ogóle to wszystko?

- Dlaczego miałabym nie lubić? To fajna szkoła i fajne miasto.

- Ale nie Manhattan.

- No właśnie.

- Dlaczego stamtąd wyjechałaś? - Skrzywił się. - Przepraszam, to nie mój interes.

- Nie ma sprawy. Miałam zły rok. Chyba już wcześniej ciągle czułam się zmęczona, ale ten ostatni rok, to było po prostu dno. Zlikwidowano moje stanowisko w szkole. Cięcia ekonomiczne.

Oszczędności. Przedmioty artystyczne zawsze pierwsze ucierpią. Na dodatek moja współlokatorka wyszła za mąż. Mnie samej nie stać było na czynsz, jeżeli chciałam jednocześnie jadać z jakąś regularnością, więc dałam ogłoszenie, by znaleźć następną. Oglądałam referencje, oceniałam charaktery. - Z westchnieniem oparła brodę o łokieć. - Sądziłam, że jestem ostrożna. Ale trzy tygodnie po tym, jak się nowa lokatorka wprowadziła, zastałam mieszkanie obrobione do czysta.

Mac przestał jeść.

- Okradła cię?

- Ze wszystkiego. Telewizor, odtwarzacz, biżuteria, pieniądze, kolekcja porcelany miśnieńskiej, zbierana od czasu studiów. Strasznie byłam wściekła, a potem załamana.

Nie mogłabym tam dalej spokojnie mieszkać. A na koniec chłopak, z którym chodziłam od roku, zaczął mi robić wykłady na temat mojej głupoty i naiwności. Jego zdaniem spotkało mnie to, na co zasłużyłam.

- Miły gość - mruknął Mac. - Doprawdy miałaś w nim oparcie.

- Żebyś wiedział. W każdym razie uważnie się mu przyjrzałam i uznałam, że w jednej sprawie się nie mylił. Dopóki będę razem z nim, na tym samym utartym szlaku, będę dostawać to, na co zasłużyłam. Więc postanowiłam zerwać i zostawić go samego na tym szlaku.

- Dobry wybór.

- Też tak sędzę. - Mac to również dobry wybór, myślała, przypatrując się jego twarzy. -

A co z twoim remontem? Jakie masz dalsze plany?

- Nie wydaje mi się, żebyś się znała na instalacjach hydraulicznych.

Tylko się uśmiechnęła.

- Szybko się uczę.

Było około północy, kiedy zatrzymali się przed jej mieszkaniem. Nie przypuszczał, że wyjdzie z domu na tak długo, ani że przez ponad godzinę będzie jej opowiadał o instalacjach elektrycznych i wodnych, i o przesuwaniu ścian. I że będzie rysował na serwetkach plany remontów.

Jednak udało mu się jakoś przebrnąć przez ten wieczór bez żadnych głupich myśli czy potknięć. Jedno go tylko martwiło. Miał ochotę znów się z nią spotkać.

- Myślę, że był to dobry początek. - Położyła rękę na jego dłoni i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję.

- Odprowadzę cię na górę.

Trzymała właśnie dłoń na klamce. Uznała, że będzie bezpieczniej dla nich obojga, jeśli szybko odejdzie.

- Nie musisz. Znam drogę.

- Odprowadzę cię - powtórzył i przyspieszył kroku.

Razem weszli na schody. Lokator z parteru jeszcze się nie położył. Z okna dobiegało mruczenie telewizora i migotała upiornie błękitnawa poświata. Gdy weszli na piętro, słyszeli tylko dźwięk. A nad głowami mieli niezliczone gwiazdy, błyszczące na czystym, ciemnym niebie.

- Jeśli spotkamy się jeszcze raz - zaczął Mac - ludzie zaczną gadać i traktować nas jako... - Nie wiedział, jak zakończyć to zdanie.

- Temat plotek? - odpowiedziała Nell. - Dręczy cię to.

- Nie chcę, żeby dzieci coś sobie pomyślały czy martwiły się... czy cokolwiek... - Kiedy weszli na jej piętro, popatrzył na nią i znów go wzięło. - To musi być przez twój wygląd.

- Co musi?

- Że muszę myśleć o tobie. - Uznał to za rozsądne wytłumaczenie. Atrakcyjna fizycznie.

W końcu nie był z drewna. Ale po prostu ostrożny. - Że muszę myśleć o tym, no wiesz...

Ujął jej twarz w swoje dłonie gestem tak miłym, tak czułym, że całkowicie się rozluźniła. To było tak samo powolne, stateczne i wspaniałe, jak za pierwszym razem. Ten dotyk jego ust, ta wstrząsająca ciepłość, ta oczywistość tego wszystkiego.

Czy to jest to? - pomyślała. Czy na to właśnie czekała? Czy to jest właśnie on?

Usłyszał, jak delikatnie westchnęła, kiedy się odsunął. Wiedział, że przedłużanie tego byłoby błędem, więc cofnął ręce, zanim mogłyby sięgnąć po więcej.

Nell oblizwała się, jakby chcąc zachować na dłużej smak pocałunku.

- Jesteś w tym niesamowicie dobry, Macauley. Niesamowicie dobry.

- Bo długo pościłem. - Wcale tak nie myślał, niestety. I bardzo się tym martwił. - No, to na razie.

Skinęła lekko, a on ruszył w stronę schodów. Stała jeszcze rozmarzona, opierając się o drzwi, kiedy usłyszała, jak zapala silnik i odjeżdża.

Mogłaby przysiąc, że przez moment w powietrzu dzwoniły gdzieś z dala dzwoneczki sań.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Koniec października oznaczał dla nauczycieli i rodziców okres wywiadówek, dla uczniów zaś długo oczekiwaną przerwę w lekcjach. A dla Maca również ból głowy. Niezle się gimnastykował, wożąc bliźniaki od siostry do Kim albo do pani Hollis, a pomiędzy tymi jazdami musiał jeszcze wcisnąć wyprawy po materiały budowlane oraz inspekcję remontowanego domu w sprawie instalacji elektrycznej.

Kiedy wykręcił ciężarówką i stanął koło szkolnych budynków, był kłębkim nerwów.

Bóg jeden wie, co mu powiedzą o jego dzieciach, jak się zachowywały, skoro nie mógł ich odpowiednio dopilnować. Martwił się, że nie miał dla nich dość czasu, by pomagać im w odrabianiu lekcji, i że nie zadbał o swój udział w emocjonalnym przygotowaniu ich do nauki w pierwszej klasie.

Ponieważ nie zadbał, jego chłopcy zostaną aspołecznymi, niedouczone neurotykami.

Zdawał sobie sprawę, jak śmieszne są te obawy, ale nie umiał się opanować i uporczywie tłukły mu się one po głowie.

- Mac! - Na dźwięk własnego imienia odwrócił się i ujrzał wóz siostry. Wychyliła się przez okno i skinęła nań ruchem głowy.

- Gdzie się podziewałeś? Trzy razy do ciebie dzwoniłam.

- Wyciągałem dzieciaki z aresztu - mruknął i skręcił w stronę jej samochodu. - Za chwilę mam wywiadówkę.

- Wiem. Właśnie wracam ze swojej. Pamiętasz? Porównywaliśmy godziny.

- Owszem. Nie mogę się spóźnić.

- Nie spóźnisz się. U mnie mówiono o zbieraniu funduszy na nowe stroje dla chóru.

Dzieci od dwunastu lat noszą te same stare togi. Mam nadzieję, że zbierzemy tyle, by wystarczyło na coś ładniejszego.

- Dobra, ja też się dołożę, ale nie mogę się spóźnić. - Właśnie wyobraził sobie młodego nauczyciela pierwszaków, który odnotowuje jego spóźnienie jako kolejną pozycję na rosnącej liście zarzutów wobec trzech panów Taylorów.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że Nell wydaje się czymś zmartwiona.

- Co?

- Zmartwiona - powtórzyła Mira, rada, że w końcu zaczął uważnie jej słuchać. -

Wystąpiła z paroma ciekawymi pomysłami na zbieranie funduszy, ale była wyraźnie rozkojarzona. - Mira uniosła brwi i podejrzliwie spojrzała na brata. - Ty nie zrobiłeś jej żadnej przykrości, co?

- Nie. - Mac opanował się, zanim zaczął przestępować niepewnie z nogi na nogę. -

Dlaczego ja?

- Trudno powiedzieć. Ale od czasu waszego spotkania...

- Poszliśmy do kina.

- I na pizzę - dodała Mira. - Paru przyjaciół Kim was zauważyło.

Cholerne małe miasteczka, pomyślał Mac i wsadził ręce do kieszeni.

- Więc co z tego?

- Nic. Pasuje do ciebie. Bardzo ją lubię. A Kim wprost przepada za nią. Więc czuję, że muszę jej jakoś pomóc. Ona naprawdę czymś się gryzie, choć usiłuje to ukryć. Może powinna z tobą porozmawiać?

- Nie zamierzam wtrącać się do jej osobistego życia.

- Tak jak ja to widzę, stanowisz część jej osobistego życia. To na razie. - Ruszyła autem, nie dając mu szansy na odpowiedź.

Mac mruknął coś do siebie i pomaszerował w stronę budynku podstawówki.

Kiedy wychodził stamtąd dwadzieścia minut później, był w o wiele lepszym nastroju.

Wcale nie uznano jego dzieci za wyrzutek społeczeństwa z morderczymi skłonnościami.

Jeśli chodzi o ścisłość, to nauczyciel chwalił jego synów.

Oczywiście Mac sam dawno o tym wszystkim wiedział.

Może tylko Zek zapominał się od czasu do czasu i rozmawiał na lekcji, a Zak wstydził się nieco podnosić rękę, gdy znał odpowiedź. Ale radzili sobie coraz lepiej.

Zrzuciwszy z siebie ciężar wywiadówki, Mac zmierzał ku wyjściu. Odruchowo skręcił do budynku liceum. Wiedział, że jego zebranie było jednym z ostatnich tego dnia. Nie miał pewności, jak te spotkania wyglądały w liceum, ale parking prawie zupełnie opustoszał.

Jednak dostrzegł samochód Nell i postanowił, że nie zaszkodzi do niej zajrzeć.

Dopiero kiedy wszedł, zdał sobie sprawę, że nie wie, jak jej szukać.

Wsunął głowę do auli, ale była pusta. Skoro jednak zabrnął już tak daleko, to cofnął się do

sekretariatu i spytał, gdzie Nell zwykle ma zajęcia. Zgodnie z otrzymanymi wskazówkami poszedł korytarzem, a potem po schodkach i skręcił na prawo.

Drzwi do klasy Nell były otwarte. Pomieszczenie nie przypominało klas, w jakich sam się uczył. W tej znajdowało się pianino, statywy na nuty, instrumenty, magnetofon. Tylko czysto wytarta tablica wyglądała zwyczajnie i biurko, przy którym Nell właśnie pracowała.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę - jak opadają jej włosy, jak trzyma pióro w palcach, jak jej sweter marszczy się na szyi. Przyszło mu na myśl, że gdyby on miał

nauczycielkę o takiej prezencji, to o wiele bardziej interesowałby się muzyką.

- Cześć.

Gniewnym ruchem uniosła głowę. Zdziwił się, dostrzegając cierpienie w jej oczach i zawzięty wyraz twarzy. Na jego widok odetchnęła głębiej i zmusiła się do uśmiechu.

- Cześć, Mac. Witaj w wariatkowie.

- Zdaje się, że masz dużo pracy.

Wszedł do klasy i stanął przy biurku. Leżały na nim papiery, książki, wydruki komputerowe i nuty, a wszystko w porządnym stosikach.

- Koniec okresu, stopnie, plany zajęć, strategia zbierania funduszy, nagłośnienie świątecznego koncertu... i próby naszkicowania budżetu wiosennego musicalu. - Usiłując ukryć swój podły nastrój, oparła się o krzesło. - A jak tobie minął dzień?

- Całkiem znośnie. Właśnie wracam z wywiadówki u wychowawcy moich synów. Idzie im nie najgorzej. Ale ciągle z niepokojem czekam na cenzurki.

- To wspaniałe dzieciaki. Nie masz się o co martwić.

- Kłopoty rosną razem z dziećmi. A ty czym się martwisz? - zapytał, zanim przypomniał sobie, że nie zamierzał się wtrącać.

- A ile masz czasu? - spytała w odpowiedzi.

- Wystarczająco dużo. - Zaciekawiony oparł się o róg biurka. Pojął, że pragnie wygładzić i usunąć tę małą zmarszczkę smutku, zarysowującą się na jej czole. - Ciężki dzień?

Machnęła ręką i wstała od biurka. Gniew zawsze zmuszał ją do ruchu.

- Miewałam lepsze. Czy wiesz, ile wydaje szkoła i miasto na utrzymanie drużyny futbolowej? Czy wszystkich innych drużyn? - Nerwowo zaczęła pukać palcami w pudełko na kasety magnetofonowe, żeby czymś zająć ręce. - A nawet na zespół muzyczny. Tylko chór musi żebrać o każdego dolara.



- I to cię tak złości?

- A nie powinno? - Odwróciła się z rozpalonym wzrokiem. - Nie ma żadnego problemu z wyekwipowaniem futbolowej drużyny, żeby grupa chłopaków wyszła na boisko i tam się popychała, a ja muszę godzinami błagać o głupie osiemset dolarów na strojenie pianina. -

Opanowała się i westchnęła.

- Zresztą nie mam nic przeciwko piłce. Nawet ją lubię. Sport w szkole jest ważny.

- Znam faceta, który stroi pianina - rzekł Mac.

- Prawdopodobnie zrobiłby to bez pieniędzy. Nell potarła ręką twarz, a potem zeszywniały kark. „Tata może wszystko załatwić” - przypomniła sobie przechwałki bliźniaków. Masz problem? Zgłoś się do Maca.

- To byłoby wspaniale - odparła i tym razem naprawdę szczerze się uśmiechnęła. -

Jeśli przebrnę przez tę papierkową robotę i dostanę zgodę. Nie można przyjąć najmniejszego datku bez tej cholernej procedury. - Jak zwykle, bardzo ją to irytowało. -

Najgorsza w pracy nauczyciela jest biurokracja. Może powinnam była zostać przy śpiewaniu w nocnych klubach.

- Występowałaś w nocnych klubach?

- W poprzednim życiu - mruknęła, machnąwszy ręką. - Żeby zarobić na studia.

Wolałam to niż pracę kelnerki. A w ogóle to właściwie nie chodzi mi o sprawy finansowe.

Ani nawet o brak zainteresowania ze strony naszej społeczności. Przywykłam do tego.

- Powiesz mi więc, o co chodzi, czy będziesz się tym dalej zadręczać?

- O, gryzę się tym już od pewnego czasu. - Znowu westchnęła i popatrzyła na niego.

Wydawał się taki solidny i godny zaufania. - Może to przez moją zbyt miejską mentalność.

Po raz pierwszy spotkałam się z typowo wiejskim, tradycyjnym zachowaniem i nie wiem, co z tym zrobić. Znasz Hanka Rohrera?

- Oczywiście. Ma farmę mleczną za miastem przy Old Oak Road. Zdaje mi się, że jego najstarszy syn jest w klasie razem z Kim.

- Tak, Hank - junior. To jeden z moich uczniów, wspaniały baryton. Bardzo interesuje się muzyką. Nawet sam komponuje.

- Co ty powiesz? To świetnie.

- Ty tak uważasz, prawda? - Nell odgarnęła włosy do tyłu i podeszła do biurka, aby poprawić i tak porządnie już poukładane papiery. - Poprosiłam jego rodziców dziś rano do szkoły, bo ich syn wycofał się ze stanowych eliminacji, które odbędą się w ten weekend.

Wiem, że chłopak ma tam bardzo duże szanse i chciałam omówić z nimi sprawę muzycznego stypendium. Kiedy powiedziałam im, jak bardzo jest on utalentowany, prosząc, żeby wpłynęli na zmianę jego decyzji, ojciec zareagował tak, jakbym go ciężko obraziła. Aż pobladł z wrażenia. - W jej głosie pojawiła się gorycz pomieszana z gniewem. -

Powiedział, że żaden z jego synów nie będzie tracił czasu na śpiewanie czy na muzykę jak jakiś... - Zamilkła na chwilę, zbyt wściekła, by powtórzyć opinię Rohrera o muzykach. -

Nawet nie wiedzieli, że syn jest w mojej klasie. Chociaż wybrał sobie ten przedmiot w tym roku. Próbowałam ich uspokoić, tłumaczyłam, że chłopak musi zaliczyć jakiś artystyczny przedmiot, aby dostać promocję. Nic z tego. Stary Rohrer z trudnością strawił myśl o pozostawieniu syna na moich lekcjach. A ile się nagadał, że na co komu śpiewanie do prowadzenia farmy. I faktycznie nie zamierza puścić chłopca na sobotnie przesłuchania. A ja mam przestać zawracać dziecku głowę niedorzecznymi pomysłami dalszej nauki w college'u.

- Mają czworo dzieci - rzekł powoli Mac. - Więc nauka może być dla nich problemem.

- Gdyby to była jedyna przeszkoda, to powinni się cieszyć, że są szanse na stypendium.

- Uderzyła dłonią o dziennik lekcyjny. - A tak, pozostaje problem wybitnie uzdolnionego chłopca, którego marzenia nigdy się nie spełnią, bo rodzice nie zamierzają mu na to pozwolić. Czy raczej ojciec nie pozwala - dodała. - Matka powiedziała może ze dwa słowa podczas tej wizyty.

- Może wpłynie na Hanka, jak będą sami.

- I może przy okazji zmieni on swoją opinię na mój temat.

- Hank nie jest taki. Po prostu ma dość ciasne horyzonty, a zdaje mu się, że wszystko wie. Ale nie jest zły.

- Dziwnie mi to słyszeć po tym, jak nazwał mnie - wzięła głęboki oddech - miastowym nierobem, który trwoni jego ciężko zapracowane podatki. Zależało mi na tym chłopaku -

mruknęła Nell i znów usiadła.

- Więc niech ci przestanie na nim zależeć i zacznij na kimś innym. Tak jak na Kim.

- Dziękuję. - Uśmiech Nell trwał krótko. - To trochę pomaga.

- Mam nadzieję. - Przykro mu było widzieć ją bez dawnej energii i optymizmu. - Dzięki tobie Kim uwierzyła w siebie. Zawsze wstydziała się śpiewania i w ogóle wszystkiego. A teraz autentycznie się

odblokowała.

Te słowa nieco poprawiły humor Nell. Tym razem jakoś łatwiej jej było o uśmiech.

- Więc powinnam przestać się martwić.

- Nie jest ci z tym do twarzy. - Poglądził ją, ku własnemu i jej zdziwieniu, końcem palca po policzku.

- Tylko z uśmiechem.

- Nigdy nie umiem się długo złościć. Bob zwykł to tłumaczyć moją lekkomyślnością.

- Kim, u diabła, jest ten Bob?

- To ten, co go zostawiłam na utartym szlaku.

- Więc niech sobie będzie tam, gdzie jego miejsce.

Roześmiała się.

- Cieszę się, że wpadłeś. Pewnie siedziałabym tu kolejną godzinę z nosem na kwintę.

- To ładny nosek - mruknął Mac i zaczął się zbierać. - Muszę już iść. Trzeba posklejać dzieciom kostiumy na Halloween.

- Może pomóc?

- Ja... - Dzielenie z nią tradycji rodzinnej było kuszące, jak sądził, ale bardzo, za bardzo niebezpieczne. - Nie, mam wszystko przygotowane.

Nell pogodziła się z tą odmową i ukryła rozczarowanie.

- Zajdziesz z nimi w sobotę wieczorem, co? Prosić o cukierki?

- Jasne. To na razie. - Ruszył do wyjścia, ale w drzwiach stanął i się odwrócił.

- Nell?

- Tak?

- Na zmianę pewnych rzeczy potrzeba czasu. Niektórych ludzi zmiany denerwują.

Uniosła głowę.

- Mówisz o rodzinie Rohrerów, Mac?

- Między innymi. To do zobaczenia w sobotę wieczorem.

Nell patrzyła w puste drzwi, a echo jego kroków cichło w korytarzu. Czy uważał, że ona chce go

zmienić? A chciała? Oparła się na krzesło, odsuwając od siebie papiery. W tej chwili w żaden sposób nie umiałyby się skupić na pracy.

Zawsze, kiedy w pobliżu był Macauley Taylor, miała trudności z koncentracją. Od kiedy stała się taka wrażliwa na urok tego powolnego, sumiennego, małomównego typu?

Chyba od chwili, gdy po raz pierwszy wszedł do auli, by zabrać Kim i bliźniaków - przyznała się sama przed sobą.

Czyżby zakochała się od pierwszego wejrzenia? Była zbyt inteligentna i doświadczona, żeby wierzyć w coś takiego. I za mądra, żeby pozwolić sobie na miłość do faceta, który nie odwzajemnia jej uczuć. Albo, co gorsza, nie chce odwzajemniać.

Jego czułość i poświęcenie dla dzieci nie miały tu nic do rzeczy. Jak również to, że był

przystojny, silny i interesujący. Nie zamierzała przejmować się tym, że kiedy z nim jest czy o nim myśli, zaczyna tęsknić. Za domem, za rodziną, za wspólnym śmiechem w kuchni i za pełnymi namiętności nocami.

Westchnęła głęboko, bo jednak się przejmowała. Trudno się nie przejmować kobiecie, którą od zakochania dzieli tylko jeden krok.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

W połowie listopada wiatr ogołocił drzewa z liści. Dla Nell i ta pora roku miała swoje piękno. Ciemne nagie gałęzie, szeleszczące rdzawe liście wzdłuż krawężników, przymrozek błyszczący diamentowym szronem na trawie.

Przyłapała się na tym, że stale wygląda przez okno, wypatrując śniegu, jak dziecko - wakacji.

Cudownie jest spodziewać się zimy i wspominać jesień. Nell często wracała myślą do nocy Halloween i do wszystkich tych dzieci, które odwiedziły ją poprzebierane za piratów czy księżniczki. Zek i Zak strasznie się śmiali, gdy udawała, że ich nie poznaje w kosmicznych kostiumach wyszykowanych przez Maca.

Wspominała też koncert country, na który zabrał ją Mac, czy radość, kiedy w zeszłym tygodniu wpadła na niego i chłopców w supermarkecie. Wszyscy wybrali się tam, by zawczasu zrobić gwiazdkowe zakupy.

Teraz, przechodząc koło remontowanego domu Maca, znów o nim myślała. Z

przyjemnością patrzyła wtedy w sklepie, jak starannie wybierał prezent dla Kim.

Macauley Taylor nie dawał żadnych nieprzemyślanych podarków tym, o których się troszczył.

Musiały być we właściwym kolorze i odpowiedniej jakości.

Zaczęła wierzyć, że wszystko, co go otacza, jest właśnie takie.

Minęła dom, rozkoszując się zimnym powietrzem wieczoru. Była w świetnym nastroju.

Tego popołudnia z dumą obwieściła, że dwoje jej uczniów będzie śpiewało w chórze stanowym.

Jednak mi na tym zależało, pomyślała Nell, przymykając oczy z zadowolenia. Nie na prestiżu, i z całą pewnością nie na przyjemności odbierania gratulacji od dyrektora.

Zależało jej na radości, jaką ujrzała w oczach swoich uczniów. Duma rysowała się nie tylko na twarzy Kim i tenora, który razem z nią przeszedł eliminacje. Cieszył się cały chór.

Wszyscy dzielili z nimi ten triumf, bo w ciągu ostatnich paru tygodni stali się jednym zespołem. Jej zespół. Jej dzieciaki.

- Zimno tak spacerować.

Nell podskoczyła, a potem sama z siebie się roześmiała, ujrzawszy Maca, który wyłonił się z cienia drzewa na podwórzu siostry.

- Boże, ale mnie przestraszyłeś. O mało ci nie powiedziałam: spadaj, frajerze.

- Taylors Grove nie obfituje we frajerów. Idziesz do Miry?

- Właściwie nie, po prostu wyszłam pospacerować. Za dużo mam energii, żeby siedzieć w domu. - Uśmiech rozświetlił jej twarz. - Słyszałeś już dobre nowiny?

- Gratulacje.

- To nie moja zasługa.

- Twoja, twoja. I to duża. - Nie umiał w inny sposób powiedzieć jej, jak jest z niej dumny. Popatrzył w bok na dom, gdzie w oknach jarzyły się światła. - Mira i Kim teraz tam płaczą...

- Płaczą? Ale...

- To nie o taki płacz chodzi. - KobiECE łyzy zawsze wprawiały go w zakłopotanie.

Wzruszył ramionami. - Wiesz, o inny... o taki z radości.

- Aha. - Oczy Nell też zwilgotniały. - To miłe.

- A Dave krąży rozradowany po mieszkaniu z uśmiechem od ucha do ucha. Właśnie powiadał swoim rodzicom, gdy się stamtąd wycofywałem. Mira już zadzwoniła do naszych krewnych, jak również do wszystkich przyjaciół w całym kraju.

- No, to duży sukces.

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Sam wykonałem kilka telefonów. Chyba jesteś bardzo zadowolona z siebie.

- Żebyś wiedział. Widok dzieci, kiedy im to dziś ogłosiłam... tak, to było najprzyjemniejsze. I doda nowej energii zbierającym fundusze. - Zadrżała, kiedy mocniej powiało zza drzew.

- Przeziębisz się. Odwiozę cię do domu.

- Chętnie skorzystam. Ciągłe czekam na śnieg.

Podobnie jak każdy wieśniak od czasów przodka Adama, Mac powąchał powietrze i obejrzał niebo.

- Nie będziesz musiała długo czekać. - Otworzył jej drzwiczki ciężarówki. - Dzieci powyciągały już swoje saneczki.

- Też mogłabym sobie kupić. - Usiadła wygodnie w szoferce. - A gdzie chłopcy?

- Śpią dzisiaj u kolegi - wskazał dom po drugiej stronie ulicy. - Właśnie przed chwilą ich tam odstawiłem.

- Muszą chyba teraz dużo myśleć o Gwiazdce, kiedy zanoszą się na śnieg.

- To zabawne. Zawsze po święcie Halloween zaczynają nudzić mnie listami rzeczy, katalogami zabawek, czy reklamami w telewizji. - Skręcił ciężarówką w kierunku placu. -

W tym roku oznajmili mi, że Mikołaj sam się o to zatroszczy. Wiem, że chcieli rowery. -

Zmarszczył brwi.

- Ale to wszystko, o czym mówili. Szepczą między sobą o czymś jeszcze, ale milkną na mój widok.

- Na tym polegają święta - spokojnie rzekła Nell. - To najlepszy czas na sekrety i szepty. A ty? - uśmiechnęła się. - Co ty chcesz na Gwiazdkę?

- O dwie godziny snu więcej niż normalnie.

- Mógłbyś wymyślić coś lepszego.

- Kiedy dzieci schodzą rano na dół z rozpromienionymi buziami, mam wszystko, czego pragnę. - Zatrzymali się przed jej domem. - A ty wybierasz się na ferie do Nowego Jorku?

- Nie, po co?

- A rodzina?

- Jestem jedynaczką. Rodzice zazwyczaj spędzają wakacje na Karaibach. Wstąpisz na kawę?

To był o wiele ciekawszy pomysł aniżeli powrót do pustego domu.

- Z przyjemnością. Dziękuję. - Kiedy weszli na schody, spróbował znów nawiązać do jej rodziny i planów na ferie. - Czy to znaczy, że tam w dzieciństwie spędzałaś święta? Na Karaibach?

- Nie. Obchodziliśmy je zupełnie tradycyjnie w Filadelfii. Potem poszłam do szkoły w Nowym Jorku, a oni przenieśli się na Florydę. - Otworzyła drzwi i zdjęła palto. - Nie jesteśmy ze sobą szczególnie blisko. Niezbyt im się podobało, że zaczęłam studiować muzykę.

- Och. - Rzucił kurtkę na jej palto, ona tymczasem poszła do kuchni przygotować kawę.

- To chyba dlatego tak się pieniłaś z powodu chłopaka Rohrerów.

- Możliwe. Ostatecznie nie sprzeciwili się tak bardzo, jak się odgrażali. Z czasem się to ułoży lepiej. - Spojrzała na niego przez ramię. - Myślę, że właśnie z tego powodu ciebie podziwiam.

Przerwał oglądanie pozytywki z różanego drewna, leżącej na stole.

- Mnie?

- Twoje zainteresowanie, zaangażowanie w sprawy dzieci i całej rodziny. Takie gruntowne, takie naturalne. - Odgarnęła włosy, sięgnęła po pudełko i zaczęła wysypywać na talerz ciasteczka.

- Nie każdy chce czy potrafi poświęcać temu tyle czasu i uwagi. Nie każdy kocha tak mocno.

- Uśmiechnęła się. - Teraz ja wprowadziłam cię w zakłopotanie.

- Nie. Tak - przyznał i wziął ciasteczko. - Nie spytałaś dotąd o ich matkę. - Ponieważ Nell milczała, Mac ciągnął dalej. - Właśnie skończyłem college, kiedy ją spotkałem.

Pracowała jako sekretarka w biurze nieruchomości mojego ojca. Była piękna. Jej uroda mogła zawrócić człowiekowi w głowie. Spotkaliśmy się parę razy, poszliśmy do łóżka, no i zaszła w ciążę. - Mówił wszystko tak drewnianym głosem, że Nell zdziwiona spojrzała na niego. Ugryzł ciasteczko, sprawdzając, czy twarde. - Nie chcę się usprawiedliwiać. Nie tylko ona zawiniła. Byłem młody, ale na tyle dojrzały, by wiedzieć, co robię, i czuć się za to odpowiedzialny.

Zawsze serio traktował własne obowiązki, pomyślała Nell, i zawsze był

odpowiedzialny. Wystarczy na niego spojrzeć i od razu widać, że można na nim polegać.

- Nic nie wspominasz o miłości.

- Nie, nie wspominam. - Do tej sprawy podchodził z należytą powagą. - Podobała mi się, a ja jej. A przynajmniej tak mi się zdawało. Nie wiedziałem wtedy, że kłamała i mimo zapewnień nie stosowała żadnej antykoncepcji. Dopiero po ślubie stwierdziłem, że chciała się urządzić, więc... „usidliła syna swojego szefa”. To jej własne słowa - dodał. - Angie dostrzegła w tym okazję do podniesienia sobie poziomu życia.

Zdumiewało go, że nawet teraz, po tylu latach, zarówno jego miłość własna, jak i serce cierpiały na wspomnienie, że tak lekkomyślnie dał się wykorzystać.

- Krótko mówiąc - ciągnął tym samym beznamiętnym tonem - nie wzięła pod uwagę bliźniąt ani trudów macierzyństwa. Toteż miesiąc po urodzeniu chłopców wyczyściła nasze konto w banku i spłynęła.

- Tak mi przykro, Mac - szepnęła Nell. Żałowała, że nie zna słów czy gestów, które by odmieniły ten zimny, pusty wyraz jego oczu. - To musiało być straszne dla ciebie.

- Mogło być gorzej. - Przez chwilę spotkały się ich spojrzenia. - Mogłem ją kochać. Raz się ze mną skontaktowała, żebym podpisał rachunek za rozwód. W zamian oddała mi dzieci czyste i wolne. Czyste i wolne - powtórzył z naciskiem - jakby to były jakieś przedmioty, a nie dzieci. I na tym się rozstaliśmy. Ot, i cała historia.

- Na pewno? - Nell podeszła i wzięła jego ręce w swoje dłonie. - Nawet jeśli jej nie kochałeś, to cię zraniła.

Wspięła się na palce, by pocałować go w policzek, pogłaskać i pocieszyć. Dostrzegła zmianę: tak, w oczach Maca było cierpienie. Ta historia wiele wyjaśnia, pomyślała, obserwując jego twarz. Był człowiekiem wypalonym i pozbawionym złudzeń. Jednak się nie załamał, nie obarczył swoich rodziców wychowaniem dzieci, tylko zabrał synów i zaczął z nimi nowe życie. Zaczął żyć dla nich.

- Nie zasługiwała ani na ciebie, ani na tych chłopców.

- Nie odczuwałem tego jako ciężaru. - Nie mógł teraz oderwać wzroku od Nell. Nie tyle mu współczuła, co po prostu w pełni go rozumiała. - To najlepsze, co mam. Nie chciałbym, aby ktoś myślał, że się dla nich poświęciłem.

- Bo się nie poświęciłeś. Nie poświęcasz. - Serce jej drgnęło, gdy objęła go ramionami.

Też uważała, że to przyjemność, a nie poświęcenie. Lecz i coś więcej, coś ważniejszego, co ją głęboko poruszyło.

- Twoje słowa świadczą o tym, że ich kochasz. To zupełnie niezwykle, gdy mężczyzna traktuje swoje dzieci jako dar. I w dodatku zdaje sobie z tego sprawę.

Trzymał ją w ramionach i niezupełnie wiedział, kiedy to się stało. Takie to było łatwe, takie oczywiste, mieć ją po prostu w objęciach.

- Kiedy otrzymasz cenny dar, musisz o niego bardzo dbać. - Głos jego stał się niższy ze wzruszenia. Jego dzieci. Ona. Było coś w tym, jak na niego patrzyła, i w tym lekkim wygięciu ust.

Uniósł dłoń, by pogłodzić włosy Nell, cofnął ją jednak po chwili, kiedy się opamiętał.

- Powinienem już iść.



- Zostań - poprosiła po prostu i zwyczajnie. - Wiesz, że chcę, abyś został. Wiesz, że cię pragnę.

Nie mógł oderwać oczu od jej twarzy, a jego pożądanie było mocniejsze i słodsze, niż potrafił to sobie wyobrazić.

- Wziąłem na siebie za dużo spraw, to za duży bagaż. Po większej części na przechowanie, ale...

- Nie dbam o to. - Oddychała, drżąc. - Nie mam w tej chwili ani krzty godności. Kochaj się ze mną, Mac. - Z westchnieniem opuściła głowę i przywarła do niego ustami. - Po prostu kochaj mnie dziś wieczór.

Nie umiał się oprzeć. Marzenie to dręczyło mu ciało i duszę od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał. Była uosobieniem ciepła i łagodności. A jemu długo już brakowało obu tych cudownych kobiecych darów.

Teraz, kiedy go tak obejmowała i całowała, nie miał żadnych innych pragnień.

Nigdy nie uważał się za romantyka. Zastanawiał się, czy kobieta w rodzaju Nell nie wolałaby blasku świec, cichej muzyki, aromatów unoszących się w powietrzu. Ale sceneria była, jaka była. Jemu pozostało wziąć Nell w ramiona i zanieść do sypialni.

Zapalił światło. Zdziwił się, że nagle zniknęło jego zdenerwowanie, gdy w jej oczach ujrzał błysk niepokoju.

- Myślałem o tym od bardzo dawna - powiedział. - Za każdym razem, kiedy cię dotykam, marzę, by cię ujrzeć nagą. Pragnę cię zobaczyć.

- Dobrze. - Na widok jego uśmiechu przestała odczuwać najmniejsze napięcie. - Ja też pragnę cię zobaczyć nagim.

Zaniósł ją do łóżka i położywszy się obok, pieścił dłonią jej włosy. Potem pochylił się nad nią i pocałował.

Okazało się to takie łatwe, jakby od dawna dzielili ze sobą wszystkie noce. I takie ekscytujące, jakby oboje znaleźli się w łóżku po raz pierwszy, niewinni jak dzieci.

Dotyk - długi i cierpliwy. Szept, westchnienie - ciche i łagodne. Jego ręce nigdy nie były gwałtowne, dawały wyłącznie przyjemność, gdy spokojnie, z przerwami, wodził nimi po jej ciele i odpinał guziki bluzki.

Nell reagowała dreszczami na pieszczoty. Jej skóra pulsowała setkami punkcików ożywionych dotykiem jego palców i ust. Zadrżały mu ręce, gdy jęknęła i ze śmiechem obróciła się po tym, jak dotarł wreszcie do jej nagiego ciała.

Kochamy się. Te słowa nigdy nie wydawały się jej prawdziwsze. Była to najgłębsza czułość zmieszana z przenikającą na wskroś zmysłowością, oplatającą ciało jedwabnymi więzami. Za każdym razem jego usta całowały mocniej, namiętniej - całym sobą istniał

tylko dla niej. I niczego więcej nie pragnęła.

Oddawała mu się z bezdenną hojnością, która go oszołomiła. Ich ciała pasowały do siebie z cudowną precyzją. Za każdym razem, gdy sądził, że traci kontrolę, bez trudu powracał do wspólnego rytmu - powolnego, subtelnego i bardzo zmysłowego.

Nell była drobna, delikatnie zbudowana. Ta kruchość sprawiała, że jego ręce stawały się coraz bardziej delikatne i tkliwe w dotyku. Nawet kiedy po raz pierwszy krzyknęła, nie spieszył się.

Odpychał od siebie pragnienie pogrążenia się w niej bez reszty, nawykł do samokontroli wystarczająco długo, by chronić ich oboje. Kiedy wreszcie się to stało, zamknęli oczy.

Za oknem wiatr uderzał dźwięcznie o szyby i grał jak dzwoneczki u sań. Pierwsze tej zimy płatki śniegu spadły na ziemię sennie i cicho.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Ciągle za mało mu było Nell. Mac uznał, że w najgorszym razie jest to rodzaj choroby, w najlepszym - chwilowe zauroczenie. Niezależnie od ilości spraw do załatwienia, wciąż, i dniem, i nocą, znajdował chwile, by o niej myśleć.

Choć nie miał wątpliwości, że jest cyniczny, żałował, że nie chodziło mu wyłącznie o seks. Gdyby to był tylko seks, zwaliłby wszystko na hormony i zabrał się spokojnie do roboty. Niestety, myśląc o niej, nie wyobrażał sobie tylko scen w łóżku, ani nie roił o znalezieniu wolnej godzinki, by znów zaznać jej pieszczot i przytulić się do drobnego ciała Nell.

Czasami, kiedy stawała mu przed oczami, widział ją przed grupą dzieci, jak dyryguje z całym oddaniem ich śpiewem. Albo przy pianinie: po obu stronach stoją jego chłopcy, a ona śmieje się do nich. Albo zwyczajnie spacerującą po mieście z rękami w kieszeniach i głową zadartą ku niebu.

Napełniała go prawdziwym przerażeniem.

Jaka ona jest prosta, bezpośrednia w obejściu. W sam raz dla niego - stwierdził przy odmierzaniu listwy podłogowej. Nie musieli uważać na niewłaściwe gesty czy słowa. Po prostu... byli. To dość, by człowiek oszalał.

Lecz on nie mógł sobie pozwolić na szaleństwo. Musiał wychowywać dzieci, prowadzić interes. Właśnie, cholera, powinien zrobić pranie zaraz, gdy wróci do domu. I... a niech to, znów zapomniał wyjąć kurczaka z zamrażarki.

No, więc zjedzą hamburgery gdzieś po drodze na koncert. Zbyt dużo ma dziś na głowie, żeby jeszcze podawać obiad. Święta za pasem, a w dodatku dzieci zachowują się dziwnie.

Tylko rowery, tato, oznajmili. Mikołaj je zrobi i sam zatroszczy się o ten duży prezent.

Co to znaczy „duży prezent”? - zastanawiał się Mac. Żadne pytania ani sztuczki nie skłoniły ich do wyjawienia odpowiedzi. I aż dotąd chłopcy nie puścili pary z ust. Męczyła go ta myśl. Wiedział, że

za rok albo dwa, jeśli mu się poszczęści, przestaną wierzyć w Mikołaja i w czary. Skończy się czas niewinności. Niezależnie, czego spodziewali się na Gwiazdkę, pragnął, by odnaleźli to pod choinką.

Kiedy ich podpytywał, tylko się uśmiechali, że to będzie niespodzianka dla nich trzech.

Powinien coś z tym zrobić.

Mac przybił kolejną listwę. Na razie ustawili choinkę, przygotowali ciasteczka i prażoną kukurydzę. Miał lekkie poczucie winy, bo zbył Nell, gdy oferowała się z pomocą. I zlekceważył prośby dzieci, żeby przyszła i ubierała z nimi świąteczne drzewko.

Czyżby tylko on jeden dostrzegał, jakim błędem byłoby, gdyby chłopcy zbyt się do niej przywiązali? Nell mieszkała w tym mieście dopiero od paru miesięcy. Mogła w każdej chwili wyjechać. Nawet jeśli uważała ich za urocze i wspaniałe dzieciaki, nie ona w nie inwestowała.

Do licha, teraz on potraktował synów jak rzeczy. Ale przecież nie to miał na myśli. Po prostu nikomu więcej nie pozwoli kręcić się koło nich. Nie będzie ryzykował, za nic na świecie.

Przybiwszy ostatnią listwę, pokiwał z zadowoleniem głową. Dom prezentował się świetnie. Tutaj przynajmniej Mac wiedział, co robi. Podobnie jak wiedział, co należy robić z dziećmi. Żałował tylko, że nie ma zielonego pojęcia, co zrobić z Nell.

- Możliwe, że to będzie dziś wieczorem. - Zek patrzył na parę wydobywającą się z jego ust. Siedzieli z bratem w domku na drzewie okutani w palta i szaliki, chroniące ich przed grudniowym chłodem.

- To jeszcze nie święta.

- Ale dziś jest świąteczny koncert - twierdził z uporem Zek. Już go to czekanie na mamę zmęczyło. - Tam zobaczyliśmy ją po raz pierwszy.

I będzie muzyka, i choinka, i prezenty, więc prawie jak święta.

- Nie wiem. - Zakowi podobał się ten pomysł, nawet bardzo, ale był ostrożniejszy. -

Może, ale przed świętami nigdy nie dostajemy żadnych prezentów.

- Jak to nie?! A jak pan Perkins przebiera się za Mikołaja na zabawie w remizie i rozdaje wszystkim dzieciom podarki? To przecież cały tydzień przed świętami.

- Ale to nie są prawdziwe prezenty. To nie są rzeczy, o które prosisz. - Jednak Zak nie stracił jeszcze nadziei. - Może gdybyśmy tak strasznie mocno tego zapragnęli... Tata bardzo ją lubi. Ciocia Mira mówiła wujkowi, że tata znalazł właściwą kobietę, nawet jeśli o tym nie wie. - Zak ściągnął brwi. - Jak może nie wiedzieć, skoro ją znalazł?

- Ciocia Mira zawsze gada bez sensu - rzekł Zek z typową dla młodego wieku wzgardą.

- Tata się z nią ożeni, ona zamieszka z nami i zostanie naszą mamą. Musi. Przecież byliśmy grzeczni,

no nie?

- Aha. - Zak bawił się czubkiem buta. - Myślisz, że ona nas kocha i w ogóle?

- Chyba tak. - Zek spojrzał na brata. - Ja już ją Kocham.

- Ja też. - Zak uśmiechnął się z ulgą. Wszystko w końcu będzie dobrze.

- Proszę o uwagę. - Nell podniosła głos, by przebić się przez gwar panujący w pokoju dla chóru. Podczas wieczornych koncertów pokój ten pełnił rolę garderoby. Uczniowie zgromadzeni dokoła poprawiali stroje, makijaż i włosy oraz zagłuszali zdenerwowanie, gadając, ile sił w płucach. - Proszę o spokój.

Jedna z dziewcząt trzymała głowę między kolanami, walcząc z ostrym napadem tremy.

Nell uśmiechnęła się do niej ze współczuciem, podczas gdy grupa powoli się uciszała.

- Wszyscy pracowaliście naprawdę ciężko, żeby dzisiejszy wieczór się udał. Wiem, że wielu z was się niepokoi, bo ma przyjaciół czy rodzinę na widowni. Niech ten stres wam posłuży do lepszego występu. Pamiętajcie, proszę, że wychodzimy na scenę w porządku i z godnością, tak jak ćwiczyliśmy.

Odezwały się nieliczne chichoty. Nell lekko uniosła brew.

- Jeszcze raz przypominam, że musicie zachowywać się z większą powagą i dostojeństwem niż na próbach. Przepona. Śpiew. Postawa. Uśmiech. - Przerwała i uniosła rękę. - A przede wszystkim spodziewam się, że włożycie całą swoją energię w dzisiejszy koncert. Cieszcie się nim - rzekła z uśmiechem. - To przecież święta. No, a teraz chodźmy rzucić publiczność na kolana.

Jej samej serce również jakoś dziwnie biło, gdy kierowała dzieci na scenę i patrzyła, jak się ustawiają na podeście wśród falującego raz ciszej, raz głośniejszemu szmerowi widowni.

Nell wiedziała bowiem, że ten koncert i dla niej będzie pierwszym sprawdzianem. Dziś przekonają się wszyscy, czy szkoła uczyniła dobry wybór, angażując ją jako nową nauczycielkę muzyki.

Wzięła głęboki oddech, obciągnęła brzegi zakietu i wyszła na scenę.

Kiedy stanęła już przy mikrofonie, odezwały się uprzejme oklaski.

- Serdecznie witam na koncercie uczniów liceum w Taylor's Grove.

- Boże, tato, czy panna Davis nie wygląda ładnie?

- Owszem, Zak, wygląda. - Pomyślał, że ślicznie jest tu właściwszym słowem, bo doprawdy ślicznie jej było w ciemnozielonym miękkim kostiumie, z koralikami we włosach i nerwowym uśmiechem na twarzy.

W światłach sceny prezentowała się cudownie. Ciekawiło go, czy ona sama o tym wie.

Nell jednak wiedziała w tej chwili wyłącznie o własnym zdenerwowaniu. Żałowała, że nie może patrzeć na twarze. Zawsze wołała widzieć publiczność, kiedy występowała. To stwarzało intymniejszy kontakt i dawało więcej przyjemności. Po wygłoszeniu powitania odwróciła się i uśmiechnęła, ujrawszy wpatrzone w siebie oczy uczniów.

- Dobra, dzieci - szepnęła półgłosem, tak żeby tylko one mogły ją słyszeć. - Gramy.

Rozpoczęli od mocnego uderzenia, bo na początku odśpiewali „Święty Mikołaj przybywa do miasta” w wersji Springsteena, po której na widowni szeroko otwierano oczy ze zdziwienia. Nie był to zwykły program wywołujący ziewanie, jakiego wielu się spodziewało.

Wybuchły oklaski i Nell poczuła, że jej napięcie zelżało. Przełamali pierwsze lody.

Zaraz od tych żywych rytmów przeszła do tradycyjnych pieśni; drżała, kiedy salę wypełniły harmonijne tony „Cantate Domine”, cieszyła się śpiewem sopranów w „Adeste Fideles”, uśmiechała, gdy zaczęli „Jingle Bell Rock”, uzupełniając piosenkę rytmicznym ruchem i klaskaniem.

Serce urosło jej z dumy, kiedy Kim podeszła do mikrofonu, a w powietrzu popłynęły pierwsze czyste nuty jej solowej partii.

- Och, Dave. - Mira, pociągając nosem, złapała za rękę męża, potem zaś Maca. - Nasze dziecko.

Przepowiednia Nell sprawdziła się. Po występie Kim, która cofnęła się do szeregu, niejedne oczy były wilgotne ze wzruszenia.

Koncert zakończyli kolędą „Cicha noc”, śpiewaną a capella. Właśnie tak należało ją wykonywać - tłumaczyła Nell wcześniej uczniom - bo tak została ona napisana.

Kiedy ucichły ostatnie tony i Nell odwróciła się, by wskazać ręką na chór, publiczność powstała z miejsc. Burza oklasków przetoczyła się nad sceną. Panna Davis spojrzała na swoich uczniów, którzy zaskoczeni i zdumieni niepewnie się uśmiechali.

Ona zaś, ukrywając łzy, czekała, by podejść do mikrofonu, gdy owacja trochę przycichnie.

- Byli cudowni, prawda?

Tak jak się spodziewała, jej słowa wywołały ponowne brawa i okrzyki. Poczekała, aż nieco przycichną.

- Chciałabym podziękować państwu za obecność i za wspieranie chóru. Winna jestem specjalne podziękowania rodzicom występujących dzisiaj śpiewaków za ich cierpliwość, zrozumienie i gotowość oddania mi dzieci na kilka godzin dziennie. Wszyscy uczniowie bardzo ciężko pracowali na ten dzisiejszy wieczór, więc cieszę się, że doceniliście ich talent i wysiłek. Chciałabym dodać, że kwiaty, które widzicie na scenie, ofiarowała firma Hill Florists i są do kupienia po trzy dolary doniczka. Zbieramy w ten sposób fundusz na nowe stroje dla chóru. Wesołych świąt i proszę,

przyjdźcie tu znowu.

Zanim Nell zdążyła cofnąć się od mikrofonu, Kim i Brad stanęli obok niej.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Brad chrząknął, a tymczasem gwar na widowni zaczął przycichać. - Nasz chór chciałby wręczyć w dowód naszego uznania dla panny Davis... eee... za cały jej trud i zachętę... eee...

Kim napisała przemowę, a Brada wyznaczono, by ją wygłosił. Trochę się zająknął i uśmiechnął bezmyślnie do Kim.

- To jest pierwszy koncert panny Davis w naszej szkole... eee...

W żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć wszystkich tych miłych słów, które napisała Kim, więc powiedział prosto od serca.

- Pani jest wspaniała. Dziękujemy, panno Davis za wszystko.

- Mamy nadzieję, że się pani spodoba - szepnęła Kim, gdy pośród braw wręczała Nell pudełko opakowane w błyszczący papier. - Wszyscy się na to złożyli.

- Jestem... - Nell nie wiedziała, co powiedzieć, bała się odwinąć. Kiedy wreszcie otworzyła pudełeczko, ujrzała przez łyzy broszkę w kształcie klucza wiolinowego.

- Wiemy, że lubi pani biżuterię - zaczęła Kim - więc pomyśleliśmy...

- Jest piękna. Jest idealna. - Głęboko odetchnąwszy, Nell odwróciła się do chóru. -

Dziękuję wam. Ma dla mnie wartość prawie taką, jak wy sami. Wesołych świąt.

- Dostała prezent - z naciskiem powiedział Zak. Czekali w zatłoczonym korytarzu przed aulą, aby pogratulować Kim. - To znaczy, że i my możemy dziś dostać. Ją dostać... Dostać mamę.

- Jeżeli zaraz nie pójdzie do domu. - Zak właśnie próbował temu zapobiec. Czekał na odpowiedni moment. A gdy ją ujrzał, skoczył.

- Panno Davis! Tutaj, panno Davis!

Mac się nie poruszył. Nie był w stanie. Coś się z nim stało, kiedy siedział w trzecim rzędzie i oglądał ją na scenie. Patrzył na jej uśmiech i na łyzy w oczach. Po prostu na nią patrzył.

Był w niej zakochany. Niczego takiego wcześniej nie doświadczał. Niczego, z czym nie umiałby sobie poradzić. Ucieczka wydawała mu się najmądrzejszym wyjściem, ale nie sądził, że potrafi się ruszyć.

- Cześć! - Nell przykucnęła, objęła mocno obu chłopców i ucałowała każdego w policzek.

- Podobał się wam koncert?

- Był naprawdę dobry, a Kim najlepsza.

- Też tak uważam, ale to nasz sekret - szepnęła Nell Zekowi na ucho.

- My umiemy dotrzymywać sekretów - Zek chytrze uśmiechnął się do brata. - Jeden nawet przez całe tygodnie.

- Czy przyjdzie pani teraz do nas, panno Davis? - Zak uwiesił się jej ręki i spoglądał na nią uwodzicielsko. - Proszę. Pokażemy naszą choinkę i iluminację. Wszędzie umieściliśmy lampki, żeby pani mogła je zobaczyć z dołu na szosie.

- Byłoby mi miło. - Niepewnie spojrzała na Maca. - Ale może wasz tata jest zmęczony?

Nie był zmęczony, był powalony. Miała wciąż wilgotne rzęsy, a broszka od uczniów połyskiwała na jej aksamitnym żakiecie.

- Prosimy, jeśli sama podjedziesz samochodem - wykrztusił wreszcie.

- Lubię jeździć. Jeszcze nie ochłonęłam.

- Wyprostowała się, wypatrując na twarzy Maca jakichś oznak zadowolenia lub niechęci. - Jeżeli masz pewność, że to nie będzie nie w porę...

- Nie. - Stwierdził, że język mu zeszywniał. Tak jakby pił. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Więc przyjadę, jak tylko tu się skończy.

- Mrugnęła do chłopców i wmieszała się z powrotem w tłum.

- Dokonała cudów z tymi dziećmi. - Pani Hollis pochyliła się do Maca. - Wstyd byłoby ją stracić.

- Stracić? - Mac spojrzał na chłopców, którzy szepotali coś do siebie. - Co pani przez to rozumie?

- Słyszałam od pana Perkinsa, a on od Addie McVie z sekretariatu, że zaproponowano Nell Davis od jesieni miejsce w jej starej szkole w Nowym Jorku. Nell konferowała z dyrektorem dziś rano. - Pani Hollis paplała dalej, a Mac patrzył gdzieś ponad jej głową niewidzącym wzrokiem.

- Smutno się robi na myśl, że nas opuści. Chyba jej zależało na tych dzieciach. - Pani Hollis dojrzała jedną ze swych kum od plotek i torując sobie wśród tłoku drogę łokciami, przedarła się w jej kierunku.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Samokontrola przychodziła Macowi z łatwością, a przynajmniej tak było przez ostatnie siedem lat. Starał się zatem, na ile tylko mógł, nie okazywać swego podłego nastroju i wściekłości.

Tak ciesząc się z jej wizyty, myślał z goryczą. Jak pilnują, żeby paliły się wszystkie światła, żeby wyłożyć ciasteczka, żeby Zark miał ozdobny dzwonek na obroży.

Też są w niej zakochani, stwierdził ze smutkiem. A to cholernie pogarszało sprawę.

Powinien był wcześniej to przewidzieć. Przewidywał. Tylko jakoś pozostawił rzeczy własnemu biegowi. I sam się nie upilnował, i pociągnął za sobą dzieci.

Chyba jednak da się coś zaradzić? Mac nalał sobie piwa i odstawił butelkę. Był przecież dobry w załatwianiu spraw.

- Panie lubią wino - poinformował go Zak. - Ciocia Mira lubi.

Przypomniawszy sobie, jak Nell popijała białe wino na przyjęciu u Miry.

- Nie mam - mruknął.

Ponieważ ojciec nie wyglądał na szczęśliwego, Zak trącił go w nogę.

- Następnym razem możesz kupić, zanim przyjdzie.

Mac pochylił się i ujął w dłonie twarz synka. Ujrzał w niej miłość tak żywą i silną, że wzruszenie ścisnęło mu gardło.

- Zawsze masz odpowiedź, brzdącu, co?

- Lubisz ją, tato, prawda?

- Tak, jest miła.

- A ona nas też lubi, no nie?

- A któż by nie lubił chłopaków Taylora? - Mac usiadł na kuchennym stole i wziął Zaka na kolana. Jeszcze kiedy synowie byli mali, odkrył, jak czarodziejskie właściwości ma przytulenie własnego dziecka. - Na ogół nawet ja was lubię.

Na te słowa Zak zachichotał i przysunął się bliżej.

- Mimo to musi mieszkać sama. - Zak zaczął się bawić guzikiem ojcowskiej koszuli.

Mac wiedział, że to wyraźny znak, prowadzący do jakiegoś celu.

- Wielu ludzi mieszka samotnie.

- A my mamy duży dom i całe dwa pokoje, w których nikt nie śpi poza dziadkami, jak przyjadą w



goście.

Mac, zaalarmowany, pociągnął lekko synka za ucho.

- Do czego zmierzasz, Zak?

- Do niczego. - Zak wysunął wargę, bawił się kolejnym guzikiem. - Po prostu się zastanawiałem, jak by to było, gdyby ona tu z nami zamieszkała. - Popatrzył na ojca badawczo spod przymkniętych oczu. - Wtedy nie byłaby samotna.

- Nikt nie twierdzi, że ona jest samotna - zaznaczył Mac. - I powinieneś, jak sądzę...

Odezwał się dzwonek u drzwi. Pies pobiegł w podskokach, szczekając i dzwoniąc. Zek wleciał do kuchni tanecznym krokiem.

- Przyszła! Przyszła!

- Widzę. - Mac zwichrzył Zakowi włosy i postawił go na ziemi. - Więc wpuście ją. Jest zimno na dworze.

- Ja pójdę!

- Ja!

Chłopcy pomknęli na wyścigi przez cały dom do drzwi frontowych. Dopadli ich razem, przepychali się przy klamce, a gdy je już z hukiem otworzyli, prawie wciągnęli Nell przez próg.

- Tyle czasu to trwało - poskarżył się Zek. - Czekamy już całą wieczność. Puściłem świąteczną muzykę. Słyszysz pani? Zapaliliśmy lampki na choince i w ogóle.

- Widzę. - To był śliczny pokój i Nell starała się nie czuć żalu, że dopiero teraz ją tu zaproszono.

Wiedziała, że Mac sam zbudował ten dom prawie w całości. Wiele jej o tym opowiadał.

Stworzył otwartą domową przestrzeń, w dużej mierze drewnianą, z oszklonym kominkiem, gdzie już wisiały pończochy. Choinka - wysoka jodła przedziwnie ubrana -

stała dumnie przed szerokim frontowym oknem.

- Jest cudowna. - Pozwoliła chłopcom zaciągnąć się bliżej. - Naprawdę wspaniała. Przy niej świąteczna choineczka u mnie w mieszkaniu wygląda marnie.

- Ta może być wspólna. - Zak spojrzał na Nell wzrokiem pełnym miłości. - Powiesimy dla pani pończochę i w ogóle... i napiszemy pani imię. Weźmiemy jakąś dużą - obiecał

Zak.

Chwycili ją tym za serce, równie mocno jak za ręce. Przepętniona uczuciem ukucnęła, by ich przytulić.

- Wy, chłopaki, jesteście najlepsi. - Roześmiała się, kiedy Zark próbował zwrócić na siebie uwagę. - Ty też - dodała.

Z rękami obejmującymi dzieci i psa podniosła wzrok, by uśmiechnąć się do Maca, który właśnie wyszedł z kuchni.

- Cześć. Przepraszam, że trwało to tak długo. Paru uczniów nalegało, by omówić nasz triumf i popełnione błędy.

Nie powinna wyglądać tak na swoim miejscu, tak doskonale przy tej choince, z chłopcami w objęciach.

- Nie słyszałem żadnych błędów.

- Były, były. Ale popracujemy nad nimi.

Cofnęła się i usiadła na stołeczku razem z bliźniakami. Tak jakby zamierzała ich zabrać

- pomyślał Mac.

- Nie mamy wina - uczciwie poinformował ją Zak. - Ale jest mleko i sok, i woda sodowa, i piwo. I wiele innych rzeczy. Albo... - Popatrzył wymownie w stronę ojca. - Ktoś może zrobić gorące kakao.

- To jedna z moich specjalności - Nell wstała, żeby zrzucić palto. - Gdzie jest kuchnia?

- Ja zrobię - mruknął Mac.

- Pomogę ci. - Zmieszana jego nagłą rezerwą podeszła bliżej. - A może nie lubisz kobiet w swojej kuchni?

- Nie mamy ich tu za wiele. Dobrze wyglądałaś na scenie.

- Dziękuję. Nie najgorzej się tam czułam. Patrzył gdzieś poza nią w szeroko otwarte i pełne nadziei oczy dzieci.

- A wy dwaj, dlaczego nie idziecie się przebrać w piżamy? Zanim wrócicie, kakao będzie gotowe.

- Będziemy szybciej! - zakrzyknął Zek i rzucił się na schody.

- Tylko spróbujcie zostawić ubrania na podłodze! - Wrócił do kuchni.

- Powieszają je czy wepchną pod łóżko? - spytała Nell.

- Zak powiesi i spadną na podłogę, Zek wsunie pod łóżko.

Roześmiała się i patrzyła, jak wyjmuje mleko i kakao.

- Miałam ci powiedzieć, że parę dni temu przyszli z Kim na próbę. Zamienili się swetrami... wiesz, te kolory rozpoznawcze. Bardzo się zdziwili, kiedy mimo to wiedziałam, który jest który.

Przestał wsypywać kakao do garnka.

- A jak to zrobiłaś?

- Chyba wcale się nad tym nie zastanawiałam. Każdy z nich ma inną osobowość. Wyraz twarzy. Wiesz, jak Zek mruży oczy, a Zak patrzy spod przymkniętych powiek, kiedy są z czegoś zadowoleni. Ton głosu. - Otworzyła na chybił trafił kredens, rozglądając się za kubkami. - Postawa. Jest mnóstwo drobiazgów, jeśli patrzeć dość uważnie. O, znalazłam. -

Zadowolona z siebie wyjęła kubki i postawiła na blacie. Pochyliła głowę, gdy dostrzegła, że Mac ją obserwuje. Badawczo, jak stwierdziła. Tak jakby była czymś, co można zmierzyć i umieścić na właściwym miejscu.

- Coś nie tak?

- Chciałbym z tobą porozmawiać. - Podgrzewał kakao.

- Już wspominałeś. - Musiała oprzeć się ręką o blat. - Mac, czegoś tu nie rozumiem albo ty się wycofujesz.

- Nie wiem, czy mógłbym to tak nazwać. Coś się działo niedobrego. Nell próbowała temu zaradzić.

- A jak byś to nazwał? - spytała z największym spokojem, na jaki mogła się zdobyć.

- Trochę martwię się o chłopców. O przykre skutki twojej przeprowadzki. Za bardzo się w to uwikłali. - Zastanawiał się, dlaczego zabrzmiało to tak głupio? Dlaczego on sam czuł się tak głupio?

- Oni się uwikłali?

- Sądzę, że posyłaliśmy im niewłaściwe sygnały i lepiej dla nich będzie, jeśli się z tego wycofamy.

- Robił kakao z taką uwagą, jakby to był eksperyment nuklearny. - Parę razy wspólnie gdzieś wyszliśmy i...

- Spaliśmy ze sobą - dokończyła chłodno. To był ostateczny argument.

Rozejrzał się pospiesznie dokoła. Ale na szczęście wciąż słyszał stąpanie małych nóżek w pokoju nad kuchnią.

- Tak, spaliśmy ze sobą i było wspaniale. Problem w tym, że dzieci rozumieją więcej, niż się

ludziom zdaje. I mają swoje pomysły. Zaczynają się przywiązywać.

- A ty nie chcesz, żeby się do mnie przywiązali. - Pewno, że nie, pomyślała. To by go bolało.

- I ty sam nie chcesz się przywiązywać.

- Po prostu uważam, że błędem byłoby to ciągnąć dalej.

- Trudno powiedzieć jaśniej. Ustawiamy znowu zakaz wjazdu i już mnie nie ma.

- To nie tak, Nell. - Odłożył łyżeczkę i zrobił krok w jej kierunku. Ale przystanął przed granicą, której nie mógł przekroczyć. Którą sam sobie stworzył. Gdyby nie miał pewności, że oboje są po różnych jej stronach, jego życie, z takim trudem zbudowane, ległoby w gruzach. - Wszystko tu trzymam pod kontrolą i muszę tak postępować. Mają tylko mnie. A ja mam tylko ich. Nie wolno mi tego burzyć.

- Możesz się nie tłumaczyć. - Jej głos stał się niższy. Wiedziała, że za moment zacznie się trząść. - To było po tobie jasno widać od samego początku. Zupełnie jasno. Zabawne, że gdy po raz pierwszy zaprosiłeś mnie do domu, to tylko po to, by mnie wyrzucić.

- Wcale cię nie wyrzucam, chcę jedynie poustawić pewne sprawy.

- A idź do diabła i ustawiaj sobie swoje domy! - Wybiegła z kuchni.

- Nell, nie odchodź w ten sposób!

Ale w chwili, gdy wpadł do pokoju, Nell brała już palto, a chłopcy gnali na dół po schodach.

- Dokąd pani idzie, panno Davis? Pani nie może... - Obaj chłopcy stanęli zaszokowani łzami, które płynęły jej po twarzy.

- Przepraszam. - Za późno było je ukryć, więc dalej szła w stronę drzwi. - Mam coś do załatwienia. Przepraszam.

Wyszła. Mac tkwił bezradnie pośrodku salonu, a chłopcy wpatrywali się w niego.

Przeróżne usprawiedliwienia krążyły mu po głowie. Zanim jednak spróbował się nimi posłużyć, Zak wybuchnął płaczem.

- Odeszła! Przez ciebie płakała i odeszła!

- Nie miałem takiego zamiaru. Ona... - Wykonał ruch, by przygarnąć synów, lecz natknął się na szczelny mur oporu.

- Wszystko zepsułeś! - Po twarzy Zeka ciekły łzy gorące od gniewu. - Zrobiliśmy wszystko, co trzeba, a ty to zepsułeś!

- Ona nigdy nie wróci! - Zak usiadł na najniższym schodku i szlochał. - Teraz nigdy nie zostanie naszą mamą!

- Co? - Mac, czując pustkę w głowie, przeczesał ręką włosy. - O czym wy obaj mówicie?

- Zepsułeś to - powtórzył Zek.

- Wiecie, panna Davis i ja... mieliśmy nieporozumienie. Ludziom czasem się to zdarza.

To jeszcze nie koniec świata.

- Mikołaj ją przysłał! - Zak tarł pięściami oczy. - Przysłał ją, tak jak go prosiliśmy. A teraz sobie poszła.

- Jak to Mikołaj ją przysłał? - Mac z determinacją usiadł na schodach. Posadził sobie chlipiącego Zaka na kolanach i przyciągnął Zeka. - Panna Davis przyjechała z Nowego Jorku uczyć muzyki, a nie z bieguna północnego.

- Wiemy. - Zek, zapominając o gniewie, oparł wygodnie głowę na piersi Maca. -

Przyjechała, bo wysłaliśmy Mikołajowi list wiele miesięcy temu, żeby miał dużo czasu.

- Na co?

- Na to, żeby wybrać dla nas mamusię. - Zak pociągnął nosem i popatrzył na ojca. -

Chcieliśmy kogoś ładnego, kto ładnie pachnie i lubi psy, i ma jasne włosy. Poprosiliśmy i się zjawiała. A ty miałeś się z nią ożenić, żeby była naszą mamą.

Mac głęboko westchnął i modlił się o jakąś mądrą myśl.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście, że chcielibyście mieć mamusię?

- Nie jakąś tam mamusię - odrzekł Zak. - Tę mamusię! Panna Davis jest tą mamusią, ale odeszła. Kochamy ją, a ona teraz przestanie nas lubić, bo przez ciebie płakała.

- Na pewno dalej będzie was lubiła. - Jego zniechęciła, ale nie powinna przenosić tego na chłopców. - Ale wy jesteście już dumni i powinniście wiedzieć, że mamy nie dostaje się od Mikołaja.

- Przysłał dokładnie taką, o jaką prosiliśmy. Nie prosiliśmy o nic więcej poza rowerami. - Zak wygodniej rozsiadł się na kolanach ojca. - O żadne zabawki ani o żadne gry. Tylko o mamusię. Zrób coś, żeby wróciła, tato! Załatw to! Ty zawsze wszystko załatwiasz!

- To nie takie proste, brzdącu. Ludzie to nie popsute zabawki czy stare domy... Ale to nie Mikołaj ją tu przysłał. Przeprowadziła się do naszego miasteczka z powodu pracy...

- Nic nie rozumiesz. To właśnie Mikołaj ją tu przysłał... dla nas. - Zak ze zdumiewającą godnością

zszedł z kolan ojca. - Może ty jej nie chcesz, ale my chcemy.

Urażeni synowie solidarnie poszli na górę, zostawiając Maca samego ze ściśniętym żołądkiem i z rozchodzącym się po kuchni zapachem przypalonego kakao.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Powinnam wyjechać z miasta na parę dni, myślała Nell. Gdziekolwiek. Nie ma nic bardziej żalosego niż samotna Wigilia, kiedy widać przez okno, jak inni ludzie kręcą się zaaferowani na ulicy.

Zrezygnowała ze wszystkich świątecznych zaproszeń, a preteksty, jakich używała, nawet jej samej wydawały się niewiarygodne. I zamartwiała się, co było całkiem do niej niepodobne. Ale z drugiej strony nigdy dotąd nie musiała leczyć zranionego serca.

W historii z Bobem ucierpiała tylko jej duma. I samo przeszło z zadziwiającą szybkością.

Teraz zraniono jej uczucia, akurat w święta, kiedy miłość jest najważniejsza.

Tęskniła za nim. Och, jakże nienawidziła siebie za to, że tęskni za jego delikatnością, za tym powolnym, niepewnym uśmiechem, za tym spokojnym głosem. W Nowym Jorku mogła przynajmniej wmieszać się w zawsze śpieszący dokądś tłum. Tutaj wszakże, gdziekolwiek zwróciła oczy, czyhały na nią wspomnienia.

Wyjedź gdzieś, Nell. Po prostu wsiądź w samochód i pojedź.

Pragnęła bardzo zobaczyć chłopców. Ciekawa była, czy wyciągnęli saneczki na pierwszy śnieg, który spadł wczoraj. Czy liczą godziny do Gwiazdki, czy będą czuwać w nocy, by usłyszeć saneczki renifera?

Miała dla nich prezenty. Leżały teraz owinięte w papier pod jej choinką. Pomyślała, że pośle je przez Kim lub Mirę i znów ogarnął ją smutek, bo nie ujrzy radosnych buzi chłopców otwierających pakunki.

To przecież nie jej dzieci. Na ten temat Mac zawsze wyrażał się jasno. Już samo to, że on miałby podzielić się sobą, było dlań dostatecznie trudne. Dzielenie się dziećmi okazało się rafą nie do przebycia.

Wyjedzie stąd - postanowiła i przymusiła się do działania. Zapakuje torbę, wrzuci ją do samochodu i będzie jechać, póki jej się gdzieś nie spodoba. Zostanie tam parę dni albo nawet tydzień, do diabła. Nie zniesie siedzenia samotnie przez całe ferie.

Przez kolejne dziesięć minut pakowała bezładnie rzeczy do podręcznej walizeczki.

Teraz, kiedy już podjęła decyzję, chciała tylko jednego - wyruszyć jak najszybciej.

Zasunęła zamek walizki, zaniosiła ją do salonu i poszła po palto.

Na odgłos pukania do drzwi zacisnęła zęby.

Jeśli to znów jakiś uprzejmy sąsiad, by życzyć jej wesołych świąt i zaprosić na kolację - chyba zaczniesz krzyczeć.

Otworzyła i poczuła się tak, jakby w jej świeżą ranę wbito nóż.

- Cóż, Macauley... Chodzisz składać życzenia swoim lokatorom?

- Mogę wejść?

- A dlaczego?

- Nell. - Były w tym słowie całe złoża cierpliwości. - Proszę, wpuść mnie do środka.

- W porządku, ty tu jesteś właścicielem. - Odwróciła się do niego tyłem. - Przepraszam, ale nie wydaję żadnego przyjęcia i daleko mi do dobrego nastroju.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Próbował znaleźć odpowiednie słowa.

- Doprawdy? Wybacz, jeśli się nie ucieszę. Po tym, jak ostatnio musiałeś ze mną porozmawiać, dotąd boli mnie głowa.

- Nie zamierzałem doprowadzać cię do łez.

- Płacz przychodzi mi z łatwością. Trzeba mnie było widzieć po świątecznych reklamach w telewizji.

- Nie umiała długo utrzymać tego sztucznego tonu, więc uległa i zapytała o to, co jej najbardziej leżało na sercu. - A jak tam dzieci?

- Prawie się do mnie nie odzywają. - Na jej zdumione spojrzenie pokazał ręką w kierunku kanapy. - Usiądziemy? To dość skomplikowana historia.

- Postoję. Właściwie nie mam dużo czasu, właśnie wyjeżdżam.

Powiodł w ślad za nią wzrokiem i ujrzał walizkę. Zacisnął usta.

- No, nie trwało to długo.

- Co nie trwało?

- Domyślam się, że przyjęłaś tę ofertę pracy w Nowym Jorku.

- Plotki szybko się rozchodzą. Nie, nie przyjęłam. Lubię tutejszą szkołę i tutejszych ludzi, więc zamierzam zostać, A teraz wybieram się na ferie.

- O piątej wieczorem w Wigilię?

- Mogę robić, co mi się podoba. Nie, nie zdejmuj palta - warknęła. Była na granicy łez.

- Wygłoś swoją kwestię i do widzenia. Jeszcze płacę czynsz. A właściwie... już się wynoś. Do diabła, zaraz znowu zacznę płakać.

- Chłopcy myślą, że przysłał cię do nas święty Mikołaj.

- Słucham? Nie rozumiem...

Kiedy popłynęła jej pierwsza łza, podszedł i starł ją palcem.

- Nie płacz, Nell. Nie zniosę, że znowu przeze mnie płaczesz.

- Nie dotykaj mnie. - Odwróciła się od niego i wyciągnęła z pudełka chusteczkę.

- Przepraszam. - Powoli opuścił rękę.

- Wiem, co teraz musisz czuć do mnie.

- Nie wiesz nawet połowy. - Wytarła nos i starała się opanować. - O co chodzi z tym Mikołajem?

- Dawno, jesienią, chłopcy napisali list, jeszcze przed twoim przyjazdem. Postanowili, że chcą dostać na Gwiazdkę mamę. Nie jakąś tam mam - tłumaczył Mac, kiedy zaczęła mu się przyglądać - ale tę mamę. Cały czas mnie w tej kwestii poprawiali. Dokładnie określili, jakiej mamy pragną. Miała być blondynką, dużo się śmiać, lubić dzieci i psy, a także piec ciasteczka. Chcieli też rowery, ale to już dodatkowo. Naprawdę zależało im wyłącznie na mamie.

- Och. - Teraz wreszcie usiadła, opierając się o poręcz sofy. - To wyjaśnia parę spraw. -

Sadowiąc się wygodniej, odwróciła się do niego.

- Wpakowali cię w niezłą kabałę, co? Wiem, że ich kochasz, Mac, ale wiązać się ze mną, by ich zadowolić, to już przekracza granice rodzicielskiego poświęcenia.

- Nic nie wiedziałem. Do licha, czy myślisz, że igrałbym tak z ich i twoimi uczuciami?

- Nie z ich - powiedziała głucho. - Na pewno nie z ich uczuciami.

Przypomniał sobie, jaka się wydawała delikatna, kiedy się kochali. Teraz była jeszcze bardziej krucha. Ze smutkiem stwierdził, że zniknęły rumieńce z jej policzków. I blask w oczach.

- Wiem, jak to boli, gdy ktoś cię zrani, Nell. Nigdy nie zraniłem cię umyślnie. Nie powiedzieli mi o liście aż do tego wieczora... Nie tylko ty wtedy przeze mnie płakałaś.

Próbowałem im tłumaczyć, że Mikołaj nie działa w ten sposób, ale nabili sobie głowę tym, że cię przysłał i...



- Jeśli chcesz, to z nimi porozmawiam.

- Nie zasługuję...

- Nie dla ciebie to zrobię. Dla nich. Przytaknął z aprobatą.

- Ciekaw jestem, jak się czujesz, dowiadując się, że ci tego życzyli.

- Nie zmuszaj mnie, Mac...

Nic nie mógł na to poradzić, więc patrząc jej w oczy, przysunął się bliżej.

- Życzyli tego tobie i mnie też. Dlatego mi nie powiedzieli. Miałaś być naszym gwiazdkowym prezentem. - Pochylił się i dotknął jej włosów.

- I jak się z tym czujesz?

- A jak mogę się czuć, twoim zdaniem?

- Strzepnęła jego rękę, wstała i podeszła do okna.

- To boli. Zakochałam się w waszej trójce niemal od pierwszego wejrzenia, więc boli.

Idź sobie, zostaw mnie samą.

Ścisnęło mu się serce.

- Myślałem, że stąd wyjedziesz i nas porzucisz. Nie chciałem wierzyć, że cię aż tak obchodzimy.

- Więc byłeś idiotą - mruknęła.

- Mam sobie to i owo do zarzucenia. - Patrzył na drobne odblaski choinkowych lampek w jej włosach i nagle porzucił wszelką myśl o ratunku.

- Zgoda, byłem idiotą. I to najgorszego rodzaju, bo nie przyjmowałem do wiadomości ani własnych uczuć, ani twoich. Nie od razu się w tobie zakochałem. A przynajmniej nie zdawałem sobie z tego sprawy. Aż do wczorajszego koncertu. Zamierzałem ci to powiedzieć, lecz nie wiedziałem jak. Potem usłyszałem coś o propozycji z Nowego Jorku i znalazłem świetną wymówkę, by cię odepchnąć. Zdawało mi się, że uchronię w ten sposób dzieci przed smutnym rozczarowaniem.

- Nie, nie powinien się nimi zasłaniać, pomyślał z obrzydzeniem o swoim postępowaniu. Nawet po to, by ją odzyskać, nie wolno zasłaniać się dziećmi.

- Ale nie tylko. Chroniłem siebie. Nie umiałem kontrolować moich uczuć do ciebie.

Przerażało mnie to. - Spróbował położyć ręce na jej ramionach i odwrócić ją twarzą do siebie. - Dopiero moje własne dzieci mi pokazały, że czasami jednak otrzymujemy to, czego pragniemy. Nie

opuszczaj mnie, Nell. Nie opuszczaj nas.

- Nigdy nigdzie się nie wybierałam.

- Przebacz mi. - Zaczęła odwracać głowę, ale ujął jej twarz w swe dłonie i przytrzymał.

- Proszę. Może nie podołam, ale daj mi szansę i pozwól mi spróbować. Jesteś mi potrzebna. Jesteś nam potrzebna.

Tyle było cierpliwości w jego głosie, taka spokojna siła w tej ręce dotykającej jej twarzy. Wystarczyło spojrzeć na niego, by serce powoli zaczęło tajać.

- Kocham cię. Was wszystkich kocham. Nic nie mogę na to poradzić.

Wdzięczność i ulga były w pocałunku, który wycisnął na jej ustach.

- Kocham cię. I wcale nie chcę nic na to poradzić. - Przyciągnął ją do siebie i kołysał jej głowę na swoim ramieniu. - Po prostu za długo byliśmy sami we trójkę. Nie wiedziałem, jak to razem pogodzić. Myślę, że teraz już wiem. - Puścił ją i sięgnął do kieszeni paltka. -

Kupiłem ci prezent.

- Mac. - Ciągle jeszcze oszołomiona tą karuzelą uczuć potarła dłońmi wilgotne policzki.

- To jeszcze nie Boże Narodzenie.

- Już prawie. Mam wrażenie, że jeśli teraz otworzysz, to przestanie mnie tak ścisnąć w dołku.

- W porządku. - Starła kolejną łzę. - Potraktujemy to jako przypieczętowanie zgody.

Mogę nawet zdecydować się na... - Zamilkła nagle z otwartym pudełeczkiem w dłoni. Był tam tradycyjny złoty pierścionek z brylantem.

- Wyjdź za mnie, Nell - odezwał się cicho. - Zostań mamą.

Podniosła nań błyszczące ze zdumienia oczy.

- Działasz straszliwie szybko jak na kogoś, kto nigdy się nie śpieszy.

- Jest Wigilia. - Obserwował jej twarz, kiedy wyjmowała pierścionek z pudełka. -

Wydawało mi się, że tej nocy, a to jest jedyna taka noc w roku, mogę liczyć na dobry los.

- To dobrze wylosowałaś. - Śmiejąc się, przechyliła głowę. - Bardzo dobrze. - Kiedy pierścionek znalazł się na jej palcu, położyła mu rękę na policzku. - Kiedy?

Powinien wiedzieć, że to będzie proste. Z Nell wszystko zawsze będzie proste.

- Sylwester już za tydzień. Dobrze byłoby zacząć z nowym rokiem. Nowe życie.

- Tak.

- Pojedziesz dziś ze mną do domu? Zostawiłem dzieci u Miry. Możemy je zabrać po drodze i spędzić tam święta, gdzie twoje miejsce.

- Zanim zdążyła odpowiedzieć, uśmiechnął się i pocałował ją w rękę. - Jesteś już spakowana.

- No właśnie. To muszą być jakieś czary.

- Zaczynam w to wierzyć. - Ujął jej twarz w swoje dłonie i nieskończenie długo całował.

- Może nie myślałem o takim prezencie, ale niczego więcej nie pragnę na Gwiazdkę, Nell.

Przytulił policzek do jej włosów i patrzył przez okno na kolorowe lampki migoczące w domach.

- Czy słyszysz?

- Uhm... - Przyciągnęła go do siebie. - Dzwoneczki u sań.



# Table of Contents

